

SZUKAJ WYDANIA ZE ŚPIEWNIKIEM

KOLĘDY NA ŚWIĘTA!

NYKIEL: O IDEOLOGII LGBT BEZ CENZURY

MACIEJEWSKI: SMUTNA PRAWDA O SOWIECKIM „WYZWOLENIU"

JANECKI: ILE STAREGO PiS W NOWYM PiS

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 49 (367) 2019
9–15 grudnia

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TOMASZ GRODZKI

TAJEMNICE MARSZAŁKA SENATU

MÓWIĄ O NIM NAPOLEONEK. MIAŁ BYĆ ZBAWCĄ OPOZYCJI, ALE DZIŚ WIDAĆ, JAK WIELE NIECIEKAWYCH SPRAW SIĘ ZA NIM CIĄGNIE

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

eprasa.pl f6b46398b0

CYFROWY POLSAT

NA ŚWIĘTA WYBIERZ TELEWIZJĘ INTERNETOWĄ Z DEKODEREM, **na start 3 miesiące bez opłat!**



OTT

Na start ponad 100 kanałów 3 MIESIĄCE BEZ OPŁAT!

- Włączaj pakiety, kiedy chcesz, i płać tylko za te programy, które wybrałeś
- Oglądaj wybrany kontent nawet do 7 dni wstecz

Oferta telewizji internetowej dla nowych Klientów dostępna przy umowach pisemnych z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych, z opłatą podstawową 10 zł/mies., nieuwzględniającą opłat za dokupywane przez Klienta pakiety i usługi dodatkowe. Usługa wymaga łącza o prędkości min. 8 Mb/s na jeden dekoder. Opłata za transmisję danych zgodna z taryfą operatora usługi Internet. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera oraz opłat za transmisję danych w usłudze Internet. Funkcja oglądania wybranych programów do 7 dni wstecz (CatchUP) jest dostępna dla określonych audycji i przekazów na wybranych kanałach, które Klient posiada w ramach wykupionego pakietu usługi telewizji internetowej. Szczegóły w Regulaminie Promocji i „Regulaminie świadczenia usług telewizji internetowej", dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. Cały sezon Formula 1® w ELEVEN SPORTS. The F1 FORMULA 1 logo, F1 logo, FORMULA 1, F1, FIA FORMULA ONE WORLD CHAMPIONSHIP, GRAND PRIX and related marks are trade marks of Formula One Licensing BV, a Formula 1 company. „Green Book" © DreamWorks. „Wataha" © HBO Europe s.r.o. 2019. Wszelkie prawa zastrzeżone. La Liga Santander w ELEVEN SPORTS.

Dyktatura „nadsądu”

Chaos, zamach konstytucyjny i rozpaczliwa walka elit sędziowskich o dominację i pierwszeństwo nad Trybunałem Konstytucyjnym. Tak można określić wyrok Izby Pracy i Ubezpieczeń Społecznych Sądu Najwyższego, który miał zrealizować założenia wyroku Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej z 19 listopada 2019 r. Wchodzimy w ostateczną fazę wojny, którą polskiemu państwu wypowiedziały niektóre środowiska sędziowskie.

Sprawa, którą rozpatrywała Izba Pracy, dotyczyła odwołania sędziego Naczelnego Sądu Administracyjnego od uchwały Krajowej Rady Sądownictwa z 27 lipca 2018 r. Izba uchyliła uchwałę Rady, ale ustne uzasadnienie wyroku wykraczało dalej niż kwestie dotyczące tej jednostkowej sprawy.

Na czym polegają najważniejsze zagrożenia dla systemu sądowniczego, które zostały zawarte w wyroku Izby Pracy SN? Wyrok TSUE to dogmat dla wszystkich sądów i organów w Polsce, a prawo unijne ma pierwszeństwo przed regulacjami krajowymi – przekonuje Sąd Najwyższy. Czy to oznacza, że wyroki europejskich trybunałów stoją ponad orzeczeniami Trybunału Konstytucyjnego? Dla sędziów Izby Pracy tak! Widać, że personalne ataki na prezes Julię Przyłębską zamieniły się w próbę sądowego zamachu konstytucyjnego. Co jeszcze wmawiają nam sędziowie Izby Pracy w swoim wyroku? Są zdania, że każdy sędzia może sobie orzekać, kto może być sędzią. Oznacza to podważenie umocowania Krajowej Rady Sądownictwa, a jeśli dodać do tego całkowitą negację Izby Dyscyplinarnej SN, która miała ukrócić patologie w środowisku sędziowskim, to mamy tu próbę powrotu do tego, co „było”, czyli stanu sprzed reformy sądownictwa.

Wyrok Sądu Najwyższego z 5 grudnia to reakcja na słabnące wsparcie „ulicy i zagranicy” dla wojujących z rządem środowisk sędziowskich. Tu nie ma miejsca na odpowiedzialność ani troskę o integralność i spójność systemu sądowniczego. „Kasta” wie, że przyparta do muru musi szokować i prowokować. Bez względu na konsekwencje.

Wojciech Biedroń

Prezent dla opozycji

Marian Banaś został prezesem NIK, ponieważ wyróżnił się jako pogromca mafii vatowskiej. Tak się przynajmniej mówi. Walka z wyłudzeniami podatku VAT przyniosła ogromne pieniądze, sprawiła, że budżet nie tylko przestał wreszcie przeciekać jak sito, ale udało się nawet wygospodarować nadwyżkę. Nic więc dziwnego, że z takimi zasługami dla państwa Banaś wydawał się idealnym kandydatem na szefa NIK.

Tyle że dziś sam swoje zasługi unieważnił. Gdzie podział się ten dawny – wydawałoby się – działacz państwowy walczący z okradaniem obywateli? Zamiast niego widzimy człowieka, który – mimo ciążących na nim podejrzeń – za wszelką cenę walczy o pozostanie na stanowisku. Gdzie podziała się jego dawna troska o dobro i autorytet państwa? Czyżby była udawana?

Przychodzą tutaj na myśl perypetie, jakie PiS miewało z różnymi politykami własnego obozu podczas swoich rządów w latach 2005–2007. Egoizm, nielojalność, indywidualne gry rozsadzały wtedy prawicę od środka. Dlatego w ostatniej kadencji PiS było zdecydowanie bardziej ostrożne w doborze ludzi. Ale i tak w końcu przytrafił się Marian Banaś. Prawica może mówić o szczęściu, że stało się to dopiero po wyborach, bo nie ulega żadnej wątpliwości, że obecny upór prezesa NIK na pewno pozbawiłby ją dziś większości w Sejmie.

Przeciwnicy rządu są zachwyceni. Prezesa NIK nie da się odwołać bez zmian w konstytucji, a PiS samodzielnie nie ma wystarczającej większości. Losy Banasia zależą więc tylko od opozycji. Ta jednak nie będzie się z niczym śpieszyć, bo dostała właśnie w prezencie grill, na którym będzie mogła długo smażyć PiS.

Skądinąd jednak trudno zrozumieć, jak to możliwe, że Marian Banaś w ogóle został prezesem NIK? Dlaczego słynny raport o Banasiu, który podobno tak wstrząsnął liderami PiS, otrzymali oni dopiero teraz, gdy mleko się rozlało? Warto spróbować odpowiedzieć na te pytania. Bo w przeciwnym razie opozycja zadba, aby ta sprawa jak najdłużej ciągnęła za sobą fetor.

Konrad Kołodziejski



58/0319/F

eprasa.pl/66463981

SIECI

spis treści



28 *Z Jackiem Sasinem rozmawia Edyta Hołdyńska*



56 Z Pawłem Deląggiem *rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna*



75 Ciężarówką, nożem, czymkolwiek! *Aleksandra Rybińska*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **MISTRZ BAMBUKO**
Krzysztof Feusette

10 **1468–1572. TRUDNY ZŁOTY WIEK**
Jan Pietrzak

11 **DŁUGI CIEŃ PRL**
Bronisław Wildstein

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **PIĘKNE ZNAKI ZAPYTANIA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 **OPERACJA: SENAT**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

24 **ILE JEST PIS W PIS**
Stanisław Janecki

28 **Z JACKIEM SASINEM**
rozmawia Edyta Hołdyńska

32 **ZADANIE DLA KACZYŃSKIEGO**
Jan Rokita

34 **SZYMON HOŁOWNIA. NOWE OBLICZE „KATOLICYZMU OTWARTEGO”**
Grzegorz Górny

36 **Z RYSZARDEM CZARNECKIM**
rozmawia Michał Karnowski

40 **ODPOWIEDNIE DAĆ RZECZY SŁOWO**
Dorota Łosiewicz

44 **POWRÓT CZERWONEJ HISTORII**
Jakub Augustyn Maciejewski

46 **Z RAFAŁEM WOSIEM**
rozmawia Marcin Fijołek

50 **NAUKA CZY IDEOLOGIA?**
Marzena Nykiel

SIECI KULTURY

53 **NIE ZMARNOWAĆ TEJ SZANSY**
Jolanta Gajda-Zadworna

55 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

56 **Z PAWŁEM DELĄGIEM**
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

60 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

62 **POLECA**
Łukasz Adamski

OPINIE

64 **PRZECIWKO NAM STAWALI WSZYSCY MEDIALNI MOCARZE**
zapis debaty z twórcami filmu „Nieplanowane”

68 **S JAK STAN WOJENNY**
Hanna Karp

ŚWIAT

70 **WSZĘDZIE, GDZIE SPOJRZYSZ, OSZUŚCI**
Maja Narbutt

73 **PRZECZEKAĆ PUTINA**
Marek Budzisz

75 **CIĘŻARÓWKĄ, NOŻEM, CZYMKOLWIEK!**
Aleksandra Rybińska

W SIECI HISTORII

79 **80 I 38 LAT TEMU**
Jan Żaryn

80 **REPARACJE WOJENNE 45 LAT TEMU**
Piotr Łysakowski

83 **RYSZARD KACZOROWSKI – OSTATNI PREZYDENT RP NA UCHODŹSTWIE**
Krzysztof Tarka

GOSPODARKA

88 **Z ADAMEM KWIATKOWSKIM**
rozmawia Stanisław Koczot

92 **NIE STRASZCIE POLAKÓW KRYZYSEM**
Janusz Szewczak

SPORT

102 **COŚ JESZCZE WYMYŚLĘ**
Cezary Kowalski

KUCHNIA

104 **MOJE SMAKI: OD MARII ANTONINY DO BJÖRK**
Jolanta Gajda-Zadworna

105 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

106 **NIEMODNA POKORA**
Alina Czerniakowska

107 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

108 **KOLEJNE STARCIE**
Wojciech Reszczyński

109 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

110 **ROSÓŁ RAZ!**
Aleksander Nalaskowski

111 **NA PROGU**
Wiktor Świetlik

112 **ART. 141 I ART. 178**
Ryszard Makowski

113 **Z WILEŃSZCZYZNY**
Leszek Długosz

114 **TURBO PRZECIW TURBO**
Andrzej Zybertowicz

52/1119/F

eprasa.pl f6b46398b0



Bank Polski

PKO BANK POLSKI Z NAGRODĄ BANK OF THE YEAR 2019

Międzynarodowi eksperci z grupy Financial Times docenili bank za cyfrową transformację i nowoczesne usługi bankowe.

The Banker
Bank of the Year 2019
POLAND

eprasa.pl f6b46398b0



Sygnalista nadaje

Władysław Frasyniuk nie zamierza przepraszać za swoje wezwanie, by „j...ć pisiora”: „Mamy wojnę. My albo oni. Demokracja albo autorytaryzm. Wolność albo konformizm. Jeśli nie będzie w ludziach determinacji do walki, radykalizmu, to zamiast gwarancji wolności dostaniemy gwarancję spokoju”. Czy jeśli, nie daj Boże, poleje się krew, to Frasyniuk równie jednoznacznie powie: „Moja wina”, czy też będzie udawał, że jedynie tak sobie żartował?

Jeszcze jeden cytat z Frasyniuka: „Brakuje nam przywódców, którzy uruchomią w ludziach mocniejsze emocje”. Emocje, które sprawią, że „ulica będzie radykalniejsza”. Nie jest jasne, czy ta eskalacja języka wiąże się z nadzieją na złamanie obozu dobrej zmiany przy okazji wyborów prezydenckich, czy też chodzi o zniszczenie zalążków procesu, który prowadzi do złagodzenia napięcia. Jedno jest pewne: Tusk gotów Polskę podpalić i spalić, byle tylko wyszło na jego.

Marszałek Senatu Tomasz Grodzki pojechał do Brukseli, by spotkać się z Donaldem Tuskiem. I tak się tym przejął, że porzucił stosowanie przecinków. „Wizyta w Brukseli pracowita i owocna. Rozmowa z Przewodniczącym EPP Donaldem Tuskiem ważna i inspirująca a jednocześnie bezpośrednia i po prostu fajna jak to zwykle bywa u dobrych przyjaciół myślących i czujących podobnie” – relacjonował Grodzki. On jeszcze nie wie, że Donald Tusk nie ma politycznych przyjaciół, ma tylko interesy.

Szef NIK Marian Banaś nie chce się podać do dymisji. W wydanym oświadczeniu stwierdził, że jego „osoba stała się przedmiotem brutalnej gry politycznej” i że „jako prezes Izby nie może pozwolić, by stała się ona przedmiotem politycznych rozgrywek i targów”. Kto wie, czy nie doczekamy się niezależnej jak nigdy, odpornej na presję, Izby ze sprawnym prezesem? To naprawdę możliwe, choć cena (być może nawet szybka zmiana władzy) wydaje się odrobinę za wysoka.

Podczas konferencji podsumowującej to spotkanie Tusk wybuchnął przy pytaniu o sędziów, którzy dzielnie występują na wiecach opozycji. „To kosztuje Polskę naprawdę za dużo i jestem przekonany, że nie jestem odosobniony w tym odruchu obrzydzenia, jak słyszę tego typu argumenty” – mówił, niemal krzycząc, do reportera TVP. To jednak wielka tajemnica: jak to się stało, że tyle milionów Polaków szczerze nie cierpi tego uczciwego, szlachetnego idealisty? Jak do tego doszło?

„Ci sędziowie, którzy mają odwagę, a na szczęście jest ich zdecydowana większość, aby przeciwstawić się temu brutalnemu atakowi na polski system sprawiedliwości, zasługują na najwyższy szacunek” – ciągnął Tusk. Miał zapewne na myśli również sędziego Pawła Juszczyszyna, który – jak ujawnił olsztyński portal Debata – miał się domagać od olsztyńskiego MOPS odebrania połowy świadczenia 500+ jego byłej żonie. Uzasadnił to tym, że on również zajmuje się dziećmi.

Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej odrzucił jednak to żądanie, więc sędzia zaskarżył tę decyzję do Samorządowego Kolegium Odwoławczego, a SKO poleciło zbadać czas przebywania dzieci u obojga rodziców. I teraz inspektorzy będą badać, czy przyznać kwotę 500 zł sędziemu. Debata dodaje, że była żona sędziego jest szeregową urzędniczką, a on zarabia ok. 13 tys. zł. Widać, że to sędzia naprawdę walczący.

eprasa.pl f6b4639800

Według mediów Kamil Durczok przyznał się do podrabiania podpisu żony na dokumentach bankowych w celu wyłudzenia kredytu na niemal 3 mln zł. Durczokowi grozi nie mniej niż pięć, a maksymalnie nawet 25 lat więzienia. Mamy zdolne sądy, ale czy tym razem, w tych trudnych warunkach, też dadzą radę uniewinnić? Do tej sprawy trzeba wysłać najlepszych ludzi. Takich, co – tak jak sędzia Juszczyszyn – umieją walczyć.



Wrażliwy jest Tusk, wrażliwy jest również prezydent Sopotu Jacek Karnowski, też z PO, który nie chciał odpowiedzieć reporterowi TVP na pytanie o szczegóły sprzedaży niezwykle atrakcyjnej działki, położonej w pobliżu Ergo Areny. „Ja się do telewizji Kurskiego nie będę wypowiadał, jak pan wyłączy kamerę, do mieszkańców się wypowiem" – oznajmił Karnowski. Później przeprosił za swoją reakcję, ale na pytanie o działkę nie odpowiedział. Słusznie. Nie po to są przecież atrakcyjne działki, żeby o nich publicznie rozmawiać.



Z kolei prezydent Gdańska ***Aleksandra Dulkiewicz*** jeszcze w maju szła na czele gdańskiej parady równości, której uczestnicy tańczyli wokół rysunku waginy imitującego Najświętszy Sakrament. Teraz pochwaliła się w mediach społecznościowych spotkaniem w Rzymie z papieżem Franciszkiem, które określiła jako „wzruszające". Nie była to oficjalna rozmowa na salonach, ale krótka pogawędka na pl. Świętego Piotra. Jeśli to refleksja, to dobrze. Jeśli dwulicowość i nihilizm, to szczęścia nie przyniesie.



Tymczasem w stolicy przewodnicząca Rady Warszawy Ewa Malinowska-Grupińska ogłosiła, że spotkanie opłatkowe radnych odbędzie się poza sesją i będzie uroczystością tylko dla chętnych. Zadowolona ze zmiany jest skrajnie lewicowa radna Agata Diduszko-Zyglewska, która już rok temu protestowała przeciwko „katolickiemu rytuałowi". „W końcu ten rodzaj śledzika odbędzie się poza pracą rady. Dla mnie to ważna różnica" – się ucieszyła. Ciekawe, że lewica najszybciej przepędza księży właśnie tam, gdzie część Kościoła tak bardzo chciałaby się z lewicą zaprzyjaźnić.



Wprowadzona do Sejmu przez Grzegorza Schetynę poseł ***Klaudia Jachira*** zaangażowała się w pracę komisji środowiska. Zapytana o problem Puszczy Białowieskiej stwierdziła: „Nie dajmy sobie wmówić, że kornik drukarz niszczy polską przyrodę, bo on jest częścią polskiej przyrody". Słusznie. Ale co w takim razie zrobić np. ze szczurami, które przecież też towarzyszą naszej państwowości od samego zarania?

O przyrodę walczy także Greta Thunberg. Wraz z dwiema innymi „aktywistkami klimatycznymi" opublikowała manifest pt. „Dlaczego znów uderzamy". Pisze w nim m.in.: „Kryzys klimatyczny dotyczy nie tylko środowiska. To kryzys praw człowieka, sprawiedliwości i woli politycznej. Systemy ucisku takie jak kolonializm, rasizm i patriarchalizm stworzyły go i podsyciły. Musimy je rozmontować. Nasi przywódcy polityczni nie mogą już uchylać się od odpowiedzialności". Ten bełkot skądś znamy, prawda? Tak, to czysty komunizm.

Noblistka Olga Tokarczuk powołuje fundację swojego imienia, która ma się zająć „promocją polskiej kultury i sztuki za granicą" (czy to konieczne?), a także „promocją praw człowieka i swobód obywatelskich" (czyli wiadomo). Są już chętni do współpracy: miasto Wrocław użyczy (przekaże?) fundacji willę Marii i Tymoteusza Karpowiczów. Jest w tym echo pięknych gestów Polaków, którzy swoich wielkich pisarzy obdarzali dworkami, ale tym razem to tylko pastisz.

Noblistka wystąpiła również w spocie Inicjatywy Wolne Sądy. „Polscy sędziowie! Jesteśmy świadomi tego, w jakiej wielkiej opresji teraz żyjecie, jak jesteście zwalniani z pracy, jak jesteście przesuwani na inne stanowiska, jak bardzo cierpią Wasze rodziny" – ogłosiła. To także literatura. Gdzie ci cierpiący sędziowie? Bo owszem, tacy są, ale oni nie demonstrują. To ci, którzy śmieli wystąpić przeciwko zamordyzmowi i histerii środowiska.

Włodzimierz Czarzasty kontynuuje karierę historyka amatora, a może nawet historyka samouka, bo ci, jak wiadomo, stawiają najbardziej oryginalne tezy. Teraz ogłosił: „Armia Czerwona była taką, jaka była. To była wojna. Amerykanie na terenach niemieckich gwałcili tak samo jak Rosjanie". Szkoda, że Niemcy o tym nie wiedzieli. Niepotrzebnie ryzykowali życie, byle tylko uciec przed Rosjanami na tereny zajmowane przez Anglosasów (którzy notabene mieli mniej powodów do zemsty).

Tymczasem sekretarz generalny SLD i jednocześnie poseł Marcin Kulasek ogłosił, że posłowie za mało zarabiają. „Proponuję spróbować się utrzymać w Warszawie za 6,5 tys. zł na rękę i dietę 2,5 tys. zł" – stwierdził. Jak przekonywał, słabe warunki w pokojach poselskich, w tym brak aneksu kuchennego, powodują konieczność jedzenia na mieście, a tym samym nakręcają koszty utrzymania. Poseł Kulasek ma oczywiście rację, ale tego problemu nikt nie rozwiąże, dopóki opinią publiczną będą rządziły tabloidy, zwłaszcza te, które polskim posłom odmawiają godziwego zarobku, a niemieckim już nie.

Fot. Andrzej Skwarczyński x2, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

eprasa.pl f6b46398b0

Mistrz Bambuko



KRZYSZTOF FEUSETTE

No to teraz zobaczycie. Zabrali mi tron, koronę, krakersy i słone paluszki dla prezydentów państw członkowskich, ale nie zabrali mi siebie. A mnie akurat prezydentura nigdy nie kręciła. Żyrandola człowiek musi pilnować praktycznie non stop, a na koniec jeszcze go ciągają po mediach, żeby się tłumaczył z tego, że jakiś bohomaz zaginął. Tak wiem, że sam startowałem w 2006 r. Szczerze? Bez przekonania. Jeszcze szczerzej? Jakby się zgłosił ktoś inny, toby mi partię zajumał. Proste jak struktura sztabu.

Ktoś mi teraz powie: to pan, panie Donaldzie, zrobił na szaro w tym 2006 r. nie tylko kilka milionów wyborców, co zaskakiwać nikogo nie powinno, ale przede wszystkim – swoich ludzi! Przyjaciół! Wiernych druhów! Pierwszy i drugi garnitur Platformy Obywatelskiej oraz wszystkie jej garsonki! Przykra sprawa, nie lekceważę jej. Ale w końcu to na mnie wołają „Mister Teflon". To znaczy, kiedyś wołali, gdy byłem jeszcze premierem tego nienormalnego kraju, w którym tak wielu, niestety, zrobiło tak niewiele, żeby wielki człowiek, wielki polityk, wielki ojciec i dziadek, piłkarz, hulajnogarz i biegacz, mógł, jak demokracja europejska przykazała, wystartować na kierownika narodu! Wszyscy chcą teraz Władzia Frasyniuka nosić na rękach, bo wezwał sędziów, żeby „J...bać pisiorów!". A kto określenie „pisior" wymyślił? Nie ja przypadkiem 2 sierpnia 2013 r. na spotkaniu w ogrodzie hotelu Belweder obok kancelarii premiera z przedstawicielami regionów kujawsko-pomorskiego, dolnośląskiego i opolskiego? Nie ja wprowadziłem do Polski taką właśnie politykę miłości? Kłamał Sławek Nowak, że jestem przez Pana Boga dotknięty geniuszem?

Geniusz, Teflon, Kierownik, Słońce Peru, Król Europy – różne miałem przydomki. A mnie się wydaje, że najcelniejszy byłby jednak Pan Bambuko. Albo lepiej: Mistrz Bambuko. Czasem mówi się: „Zrobić kogoś w konia", jednak przez szacunek dla pana mecenasa, który tyle się pod oknem ostatnio naczekał, nie chcę go dobijać. Jak on dzisiaj patrzy na Monikę Olejnik... Kiedyś to się człowiek bał, że zaraz ugryzie albo kopnie co najmniej, a dzisiaj? Końskie zaloty całą dobę.

Zatem absolutnie nie w konia, ale właśnie w bambuko robiłem zawsze swoich, jak chciałem. Startowałem w 2006 r.? Dla picu. Zorganizowałem cztery lata później prawybory prezydenckie w Platformie Obywatelskiej, żeby się członkowie mogli poczuć przez chwilę, jak w prawdziwej demokracji? Ustawka. I to tak toporna, że nawet Sikorski się zorientował, a wiadomo, jak u niego bywa z orientacją poza Chobielinem. Ja obiecywałem, że skoro tak pięknie nam się te prawybory udały, to teraz będziemy identyczne organizować i na prezydentów miast, i na wójtów, a Radzio w tym czasie siedział w kącie i chlipał, czy go Bronek jeszcze przed startem nie zdubluje. Takie mieliśmy standardy. I tak się zaczęło „bambuko" na masową skalę. Potem mówiłem, że nigdy, przenigdy nie opuszczę Polski w potrzebie, bo bycie jej premierem to jest zaszczyt dużo większy niż brukselskie apanaże. A przecież bilet już miałem kupiony, i to w jedną stronę. Ależ te biedne struktury miały gęby rozdziawione, jak do samolotu wsiadałem. A ja im jeszcze na pożegnanie – taboret spod tyłka. „Spokojnie – mówię – może i wyjeżdżam, może i zostawiam was na pastwę Kaczora potwora, ale namaszczę wam takiego prezesa Rady Ministrów, że was spokojnie przez to morze biało-czerwone suchą stopą przeprowadzi". Schetyna to aż się różowy zrobił z podniecenia, a ja im – hyc – Ewkę Kopacz na premiera.

A co, może miałem kogoś lepszego od siebie na ten fotel wsadzić, jak takiej osoby w PO nigdy nie było? Cztery lata mieli, żeby sobie nowego Donalda ulepić i co? Cały czas tylko: „Doneczku, pomóż, Doneczku, wracaj...". No i mnie namówili! Bo ja grę w bambuko bardzo lubię. Przyjeżdżałem więc, a to pociągiem, a to limuzyną, a ci mędrcy dopiero po występie z Jażdżewskim zorientowali się, że coś tu nie gra. Albo ktoś. A już na pewno nie w ich orkiestrze. Miał błyszczeć, a fałszuje, miał dawać bisy, a publika gwiżdże. I znowu ich wyrolowałem.

No i wreszcie teraz, gdy czekali na decyzję. Gosia Kidawa tak się przejęła, że stwierdziła, iż nie wystartuje, jeśli ja to zrobię. Od razu widać, że jej zależy. Tyle że nie na prezydenturze. Zwłaszcza że jak tylko się zgodziła – a przecież to była dla niej degradacja: z premiery gabinetu cieni na cień kandydatki na kandydatkę, i jak tylko zaczęła nowe płaszcze do przytulania przymierzać, to ją Grzesiu w bambuko zrobił i po Jaśkowiaka posłał. Przy okazji siebie samego też wydudkał na strychu, czy jak tam się w Polsce mówi. Bo ona mu odda, gdy będą przewodniczącego partii wybierać. A ja się cieszę. W końcu na robieniu w bambuko, najpierw społeczeństwa, potem swoich, nasza partia rosła przez lata jak baba na drożdżach. To już jest tradycja, że u nas każdy każdego w jakieś bambuko robił: doły ściemniały, że naród wciąż nas kocha, góra, że jak kocha, to poczeka, a ci w środku tylko głowami na boki kiwali, jak na meczu tenisowym.

No i fajnie. A jak ten kurz powyborczy trochę opadnie – na Grzegorza głowę przede wszystkim – to mam już świeże pomysły. Partię nową założę, co zdolniejszych ludzi z PO powybieram jak ziemniaki z ogniska, a reszta – żegnaj, Gienia, świat się zmienia. Tych wybranych „wybambukam" na końcu. Bo – tak szczerze, jak w bestsellerze – co mnie jeszcze, poza zabawą, może w polityce interesować? Ja już swoje zarobiłem.

2/1119/F

eprasa.pl f6b46398b0

TAURON

Gaz

w niskiej cenie
i z usługami serwisanta!

Serwisant gazowy 24H to:

- pomoc w usuwaniu awarii wewnętrznej instalacji gazowej
- pomoc w usuwaniu awarii urządzeń gazowych
- możliwość zgłaszania awarii 7 dni w tygodniu przez 24 h

Bo dodajemy usługi, żeby odjąć zmartwień.

STABILNA FIRMA WIARYGODNA

tauron.pl/GazSerwis

eprasa.pl f6b46398b0

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

1468–1572. Trudny złoty wiek



Jan Pietrzak

Byłem na imponującym spotkaniu autorskim. Warto o nim opowiedzieć, bo na ogół promocje książek przebiegają skromnie, według utrwalonej przez lata świetlicowej rutyny. Tym razem państwo Sosnowscy z wydawnictwa Biały Kruk dali z siebie wszystko i jeszcze więcej, bo chodzi o dzieło z najwyższej narodowej półki (brzmi to nieco patetycznie, lecz inaczej brzmieć nie może): czwarty tom „Dziejów Polski" prof. Andrzeja Nowaka. Prezentowano je w Teatrze Juliusza Słowackiego w Krakowie. Pierwszorzędni artyści słowa: Halina Łabonarska i Jerzy Zelnik wystąpili w kostiumach z epoki, recytując Stanisława Wyspiańskiego. W kuluarach Zelnik, którego ze względu na strój tytułowano: „Zygmunt August", dopowiadał autoironicznie: „Były faraon". Baryton Jan Kowalczyk przypominał pieśni, będące świadectwem niegdysiejszych patriotycznych uniesień. „Rota", „Pieśń konfederatów" „Marsz, marsz Polonia" podchwytywane spontanicznie przez publiczność wywoływały dreszcz, przenikający stare mury, ogarniający polski czas i przestrzeń szczególnym rodzajem wzruszenia zwanego patriotyzmem.

Zanim zabrał głos bohater wieczoru, nastąpił profesorski support. Prof. Aleksander Nalaskowski przedstawił swoistą typologię branży profesorskiej. Przegląd postaw, zachowań w mocno satyrycznym ujęciu, by na tym tle ulokować postać autora „Dziejów Polski". Nawiązując do sceny pamiętającej premierę „Wesela" w 1901 r., doszedł do przekonania, że Andrzej Nowak jest skrzyżowaniem Wernyhory ze Stańczykiem. Profesor minister Krzysztof Szczerski, mówiąc o Unii Lubelskiej i Unii Europejskiej, zwrócił uwagę na szkodliwość utopijnego podejścia do tego rodzaju struktur.

W końcu dopuszczono do głosu samego dziejopisa, którego dzieło rodzi podziw dla jego gigantycznej pracy na rzecz wspólnego domu o nazwie Polska. Kończące tom słowa: „To był czas wybijania się na suwerenność najważniejszą, duchową. [...] Pamięć o tej szczególnej suwerenności i wieku, który ją przyniósł, wracała później w chwilach gorzkich. [...] Widzę dziedzictwo polskiego złotego wieku jako spuściznę dumnego obywatelstwa i dumnej polskości". Dziękujemy Profesorze!

Inteligencja nie jest w cenie

Z Janem Englertem, aktorem i reżyserem, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Do jakiego dworku zaprosi pan 9 grudnia widzów Teatru TV?

Jan Englert: Do inteligentnego.

Pokazanego inaczej niż we wcześniejszych inscenizacjach tej najczęściej wystawianej ze sztuk Witkacego?

Nie inaczej, pokazanego tak, jak powinna wyglądać inteligencja, tzn. powinna słuchać i rozmawiać.

Dynamiczna forma spektaklu zainteresuje współczesnego odbiorcę, a jak zabrzmi w niej tekst autora?

Nie mnie o to pytać. Sztuka teatralna polega na tym, że nie to decyduje, co artysta sobie pomyślał, tylko to, co zrozumieli ci, co to oglądali.

Jest pan w tym spektaklu reżyserem, aktorem, ale też adaptatorem tekstu. Jaka konkluzja wynikła z tej ostatniej roli?

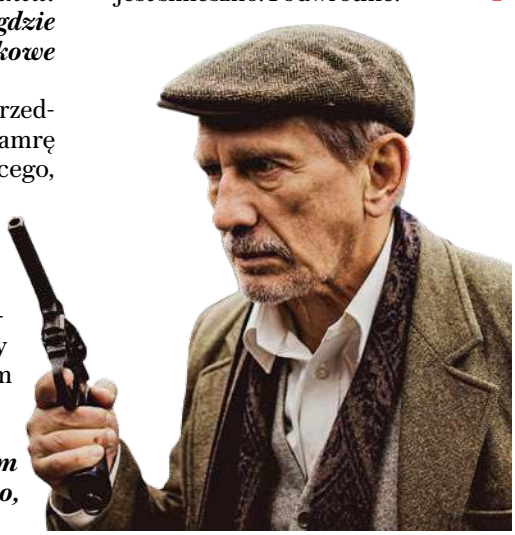
Jeżeli tamten świat wygląda tak samo jak ten, to po co się tak męczymy.

Może chociaż w dobrym towarzystwie? Jak w pana spektaklu. I w tytułowym małym dworku, gdzie pierwsze skrzypce gra zjawiskowe kobiece widmo.

Ale, jak pani pewnie zauważyła, przedstawienie jest zamknięte w klamrę Jęzorego, porte-parole Witkacego, kogoś, kto ma kłopot z twórczością, kto ironizuje na temat siebie samego, rozpamiętując dylematy inteligenta. Żyjemy w czasach, w których inteligencja nie jest w cenie. Powiedzmy sobie śmiało: jest w całkowitym odwrocie.

Dlatego u pana „W małym dworku" bywa i śmieszno, i straszno?

Jak w życiu. Tylko dobrze by było mieć pełną świadomość, że jest w nim i śmieszno, i straszno. I nie udawać wtedy, gdy jest straszno, że jest śmieszno. I odwrotnie.



Fot. PAP/Stanisław Loba

eprasa.pl f6b46398b0

BRONISŁAW WILDSTEIN

Długi cień PRL

Nazwanie rzeczy po imieniu i przyznanie historycznej prawdy zmusiłoby liderów Lewicy, w tym Czarzastego, do rozliczenia się z własną indywidualną i kolektywną przeszłością



Dużo już powiedziano o wystąpieniu lidera SLD Włodzimierza Czarzastego, który uznał zajęcie Polski przez Sowiety w trakcie II wojny światowej za wyzwolenie. Jest ono w fundamentalnym, logicznym sensie nieprawdziwe. Wyzwolenie oznacza danie wolności. Sowieci nie dali nam wolności, ale podbili Polskę i uzależnili ją od Moskwy. I nie ma z tym związku liczba ofiar, którą w trakcie walk z Niemcami ponieśli, łzy ich matek czy inne, sentymentalno-kiczowate pseudoargumenty. Polacy po wojnie nie stali się wolni. Naturalnie, zniewolenie zniewoleniu nierówne, może być takie, które prowadzi do śmierci, jak hitlerowska okupacja, może być takie, w którym można żyć.

Te oczywistości, które piszę, podkreśla opis wydarzeń. U zarania wojny legł sojusz Niemiec i Związku Sowieckiego, które wspólnie zaatakowały Polskę i podzieliły ją między siebie. To, że potem rozpoczęły walkę, która zakończyła się klęską III Rzeszy, nie ma nic do rzeczy. Często najeźdźcy walczą o zdobycz. Tereny podbite przez Niemcy, w tym Polskę, zajęły Sowiety.

Dlaczego lider SLD 30 lat po upadku komunizmu powtarza jego propagandowe tezy? Lewica nie musi przecież uznawać sowieckich podbojów za wyzwolenie. Jednak dominująca jej część, która w III RP wywodzi się z PRL, trzyma się ich uporczywie. Nazwanie rzeczy po imieniu i przyznanie historycznej prawdy zmusiłoby jej liderów, w tym Czarzastego, do rozliczenia się z własną indywidualną i kolektywną przeszłością.

III RP zbudowana została na zafałszowaniu i schizofrenicznym fundamencie. Mieliśmy tworzyć nowe państwo w miejsce PRL, który był zły, ale tworu tego nie wolno było rozliczać, bo... taki zły jednak nie był. Zwłaszcza nie wolno oceniać jego prominentów z Jaruzelskim na czele. W sensie politycznym sprawa była jasna. W III RP władzę przejął postkomunistyczny establishment z dokooptowaną częścią opozycyjnych elit, a rozliczenie podważyłoby jego pozycję, a także prawomocność całego systemu. Dlatego teoretycznie należało odrzucać ustrój PRL, był on przecież zaprzeczeniem norm nowego ładu, ale równocześnie należało relatywizować te oceny, dodając, że rzeczywistość była bardziej skomplikowana – sformułowanie to stanowi fundament erystyki, bo czy możemy znaleźć realność mniej skomplikowaną niż nasze o niej sądy – i zwłaszcza nie wolno wartościować funkcjonujących w niej ludzi. Ich ocena musiałaby prowadzić do zasadniczego pytania: jak możemy akceptować to, że występujący w imię własnego interesu przeciw swojej wspólnocie i elementarnym jej zasadom korzystają z tego w wolnym już i, podobno, demokratycznym kraju?

Sprawa tzw. wyzwolenia Polski przez Sowiety jest w tej kwestii kluczowa. Jeśli zaakceptujemy prawdę i zgodzimy się, że zostaliśmy zniewoleni przez Moskwę, która narzuciła nam totalitarny system, to uczestnictwo w tym przedsięwzięciu jest rzeczą godną potępienia. Można bronić takich czy innych kompromisów, mniej lub bardziej usprawiedliwiać określone działania, ale wcześniej należy nazwać rzeczy po imieniu. A ocena taka rzutować będzie na całość dziejów PRL.

Czarzasty w komunistyczny system zaangażował się jako młody człowiek i ciągle był nim, kiedy ustrój upadł. Jego kariera jednak i, co więcej, rola w III RP wyrasta z wyborów, których nie sposób obronić. Najwięcej mówi o tym państwie fakt, że dźwignią awansu było w nim wcześniejsze komunistyczne karierowiczostwo oraz brak zasad. Nie twierdzę, że działalność w PZPR musi przekreślać późniejsze role społeczne, ale fatalne jest, kiedy staje się ona trampoliną do sukcesu.

„Długi ceń PRL-u" to tytuł mojej książki, a potem serii programów telewizyjnych, w których wyjaśniałem rolę komunistycznego systemu w kształtowaniu ładu III RP. Niezwykłą naiwnością było sądzić, że efekty tego typu totalnego ustroju łatwo dadzą się wyrugować tylko dlatego, że sam on zbankrutował. Szczególnie ostentacyjnie widać to w walce o elementarne sprawy, takie jak przywrócenie prawdy o historii, pozwalającej rozpoznać tych, którzy walczyli o dobro wspólnoty i tych, którzy, z różnych względów ją zdradzili.

30 lat od upadku komunizmu sprawy te w społecznym wymiarze nie zostały ostatecznie nazwane. Nie dlatego, że są one tak trudne do rozróżnienia. W podstawowym sensie są dość jednoznaczne. Komplikują się później, kiedy na ich tle rozpatrujemy indywidualne losy i wybory. Po to jednak, aby zrozumieć tę złożoność, musimy odbudować owe zasadnicze znaczenia i punkty orientacyjne. Inaczej dzieje przestaną dla nas cokolwiek znaczyć. To, że liczne grupy wpływowych ludzi w Polsce mają w tym swój interes, to już inna sprawa.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f6b46398b0

Wielka Brytania

Nerwy na szczycie

Zwołany w zeszłym tygodniu szczyt NATO w Londynie miał jubileuszowy charakter. Państwa członkowskie świętowały 70-lecie Sojuszu. Jednak wielu zadawało sobie pytanie, czy to jeszcze jest sojusz? Wrażenie to potęgowała zapowiedź prezydenta Turcji Erdoğana, że zawetuje plan wzmocnienia flanki wschodniej, jeśli Sojusz nie uzna formacji kurdyjskich działających na pograniczu turecko-syryjskim za organizacje terrorystyczne. Ostatecznie Erdoğan, po odbyciu wielu rozmów na najwyższym szczeblu, zrezygnował z przeciwstawiania się planom Sojuszu. Nie są na razie znane okoliczności tej decyzji. Według oświadczenia wydanego przez kancelarię prezydenta Litwy turecki prezydent nie domagał się niczego w zamian za wycofanie swojego sprzeciwu.

Trudno jednak sądzić, że Erdoğan – znany ze swojej nieustępliwości (przykładem może być kontrakt na dostawy rosyjskich systemów przeciwlotniczych S-400 zrealizowany pomimo protestów wszystkich członków NATO) – wycofał się z weta tylko dlatego, że przekonały go argumenty rozmówców. Z pewnością doszło do jakiegoś porozumienia z Ankarą, którego treści na razie nie znamy, ale niezależnie od tego, co ono może zawierać, jest dla całego sojuszu korzystne. Bo, po pierwsze, flanka wschodnia zostanie wzmocniona zgodnie z planem, a po drugie nie doszło do dalszej dezintegracji NATO.

W deklaracji kończącej szczyt przypomniano „uroczyste zobowiązanie zapisane w art. 5 traktatu waszyngtońskiego, że atak na jednego sojusznika będzie uważany za atak na wszystkich". Jednocześnie dodano, że „terroryzm we wszystkich jego postaciach i przejawach pozostaje stałym zagrożeniem", a „podmioty państwowe i niepaństwowe kwestionują porządek międzynarodowy oparty na regułach". I właśnie tu może – choć nie musi – tkwić część odpowiedzi na wycofanie weta przez Erdoğana. Przytoczony zapis nie nazywa bowiem po imieniu żadnej konkretnej organizacji, ale wynika z niego, że wrogie działania podjęte przez „podmiot niepaństwowy" mogą być uznane za naruszenie artykułu 5 traktatu NATO. A zatem, że Turcja – tak jak i każdy inny kraj – może liczyć na wsparcie, gdyby została zagrożona przez „podmiot niepaństwowy" (w przypadku Turcji np. przez Kurdów).

Jednocześnie deklaracja – wbrew różnym zastrzeżeniom zgłaszanym przez prezydenta Francji – stwierdza, że choć Rosja nie jest przeciwnikiem Sojuszu, to jej „agresywne działania stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa euroatlantyckiego". NATO zadeklarowało w ten sposób swoje zaangażowanie na flance wschodniej. Tym samym udało się nie tylko porozumieć z Turcją, lecz i zrealizować zagrożone postulaty państw naszego regionu.

Konrad Kołodziejski



Gruzja

Znów gorąco na Kaukazie

Kryzys polityczny w Gruzji wybuchł w połowie listopada, gdy parlament odrzucił projekt reformy wprowadzającej proporcjonalny system wyborczy, co jeszcze latem, w trakcie poprzedniej fali protestów, obiecał lider rządzącego Gruzińskiego Marzenia. Siły policyjne już dwukrotnie odblokowywały budynek rządu, przed którym wiecowali przedstawiciele Zjednoczonej Opozycji. Doszło do regularnych walk z protestującymi. Rozmowy na temat uregulowania konfliktu, które toczyły się w Tbilisi pod patronatem pięciorga byłych szefów parlamentu, niczego nie dały i starcia rozlały się na prowincję.

Opozycja domaga się już nie tylko reformy systemu wyborczego, krytykowanego za to, że w jednomandatowych okręgach do parlamentu dostają się skorumpowani przedstawiciele lokalnych klik, lecz również przedterminowych wyborów i dymisji rządu Giorgi Gacharii, byłego ministra spraw wewnętrznych, oskarżanego przez opozycję o nadużywanie siły wobec demonstrantów. Sytuacja, zdaniem niektórych obserwatorów, zaczyna w niebezpieczny sposób przypominać rok 1991, kiedy Gruzja stanęła na progu wojny domowej.

Lider Gruzińskiego Marzenia miliarder Bidzina Iwaniszwili zadeklarował gotowość do rozmów ze wszystkimi, oprócz przedstawicieli Ruchu Narodowego, formacji byłego prezydenta Micheila Saakaszwilego, co zostało odebrane jako nieudolna próba podzielenia opozycji i ruch mający na celu markowanie ustępstw.

Nie cichną też oskarżenia pod adresem partii rządzącej o skrycie uprawianą politykę prorosyjską. Ma ją potwierdzać spotkanie gruzińskiego ministra spraw zagranicznych Zuraba Abaszidzego z wysłannikiem Moskwy Grigorijem Karasinem. Rozmawiano o wznowieniu ruchu lotniczego między obydwoma krajami, zawieszonego po czerwcowych antyrosyjskich zamieszkach w Tbilisi. Teraz okazało się, że Rosja uzależnia uruchomienie połączeń od tego, w jaki sposób gruzińskie społeczeństwo zareaguje na otwarcie w Tbilisi rosyjskiego centrum kultury i nauki na początku grudnia. O tym, że w ogóle planowane jest takie przedsięwzięcie, w ogóle się do tej pory nie mówiło, i przedstawiciele gruzińskiego rządu publicznie wyrażali zdziwienie. Jednak opozycja uważa, że to kolejny zaplanowany prorosyjski ruch Gruzińskiego Marzenia. „Właśnie taka jest nasza władza – powiedział mediom jeden z liderów opozycji – nawet nie jest zorientowana, że państwo, które okupuje część naszego terytorium, otwiera w naszej stolicy swoje centrum kulturalne. Z pewnością do tego nie dopuścimy".

Marek Budzisz

Fot. Lukasz Machowczyk/Shutterstock.com

eprasa.pl f6b46398b0



Rosja

Siła Syberii, czyli pokazucha

Uroczyste otwarcie gazociągu Siła Syberii Rosjanie określają lapidarnym i wymownym epitetem – pokazucha. W tym wypadku chodzi nie tylko o telemost, w którym uczestniczyli prezydenci obydwu krajów: Władimir Putin i Xi Jinping, lecz o całe przedsięwzięcie, które ma bardziej propagandowy niż ekonomiczny wymiar.

Słuchając przemówień, łatwo można było się zorientować, że w Moskwie znacznie bardziej niż w Pekinie przekonani są o historycznym znaczeniu inwestycji. Putin wychwalał zaangażowanie 10 tys. osób, które pracowały w bardzo trudnych warunkach – w trakcie syberyjskiej zimy temperatury spadają do minus 50 st. C. Innymi słowy Rosjanie dali radę, zbudowali liczący 3 tys. km gazociąg. Po prostu zuchy. Ale gdyby patrzeć na to przedsięwzięcie z ekonomicznego punktu widzenia, to w Soczi, gdzie przebywał Putin, nastroje nie powinny być już tak szampańskie. Przede wszystkim z tego względu, że na inwestycję wydano, według szacunków (oficjalne dane zostały utajnione), od 17 do 20 mld dol. A to i tak dopiero początek, bo – jak mówił w 2014 r. prezes Gazpromu Aleksiej Miller – cały projekt wart jest ok. 55 mld dol. Zdaniem rosyjskich analityków trzeba będzie czekać co najmniej 15 lat, zanim zaangażowane środki się zwrócą. I to tylko pod warunkiem stabilnych, wysokich cen gazu.

A o to nie będzie łatwo, bo w północnych chińskich prowincjach, do których dociera rosyjski gazociąg, już w ubiegłym roku odnotowano szacowaną na 9 mld m sześc. nadwyżkę podaży gazu nad popytem. W tym roku ma być podobnie. Być może dlatego partnerujący Gazpromowi chiński państwowy koncern gazowy nie spieszy się z inwestycjami i planowane przedłużenie rury do Szanghaju pozostaje na papierze.

W przyszłym roku za pośrednictwem Siły Syberii Rosja dostarczy do Chin 5 mld m sześc. gazu, co stanowi mniej niż 2 proc. tegorocznego importu tego surowca do Chin. Nawet osiągnięcie docelowej mocy 38 mld m sześc. oznaczać będzie wzrost rosyjskich dostaw do maksymalnie 8–10 proc. chińskiego zapotrzebowania. Może z tego powodu Siła Syberii jest projektem o strategicznym znaczeniu dla Rosji, ale dla Chin ma on wymiar tylko ekonomiczny. Świadczą o tym ostatnie, w przeddzień uruchomienia gazociągu, posunięcia Pekinu. Rozpoczął on reformę wewnętrznego rynku gazu właśnie w północnych prowincjach, czyli tam, gdzie ma trafiać rosyjski gaz. Stałe, gwarantowane przez rząd taryfy zastąpione zostają cenami rynkowymi, co w obliczu nadwyżki podaży nad popytem będzie oznaczać spadek cen.

Czy w takich realiach Siła Syberii kiedykolwiek będzie rentowna? Sceptycy są zdania, że może być z tym problem, bo gazociąg budowano, zakładając, że cena dostarczanego gazu nie spadnie poniżej 210 dol. za 1000 m sześc., a już dziś w Europie Gazprom sprzedaje 1000 m sześc. za 169,8 dol. Przy czym gaz na rynkach azjatyckich jest jeszcze tańszy.

Marek Budzisz

Fot. Shutterstock



Rumunia

Święto czy trauma?

1 grudnia Rumuni obchodzili święto zjednoczenia państwa, ustanowione na pamiątkę przyłączenia do tego kraju w 1918 r. Transylwanii. Szczególną oprawę miały ubiegłoroczne obchody, upamiętniające 100. rocznicę tamtego wydarzenia. Centralnym punktem była wielka parada pod Łukiem Triumfalnym w Bukareszcie gromadząca gości z całego świata. Dla Węgrów jest to z kolei data tragiczna, oznaczająca utratę Siedmiogrodu. Nic dziwnego, że żaden z przedstawicieli władz w Budapeszcie nie pojawia się nigdy na obchodach owego święta ustanowionego przez parlament rumuński w 1990 r.

W tym roku uroczystości przebiegały w cieniu kolejnego napięcia między obu nacjami. Głosami posłów Partii Socjaldemokratycznej (PSD) i prawicowej Partii Ruchu Ludowego (PMP) parlamentarna komisja ds. administracji pozytywnie zaopiniowała projekt ustanowienia nowego święta państwowego – w dniu 4 czerwca – a więc w rocznicę podpisania układu pokojowego w Trianon w 1920 r. Dla Węgrów to chyba najmroczniejsza data w ich historii. Na mocy tego traktatu Korona Węgierska straciła aż 7/8 swego terytorium i 1/3 madziarskiej ludności. Jeśli inicjatywa zostanie przegłosowana przez parlament, nowe rumuńskie święto obchodzone będzie po raz pierwszy w 100. rocznicę układu w Trianon.

Nic dziwnego, że projekt autorstwa Titusa Corlăţeana, socjalistycznego senatora i szefa rumuńskiego MSZ w latach 2012–2014, został potraktowany przez Węgrów jako prowokacja. Attila Korodi, jeden z liderów węgierskiej mniejszości, powiedział, że inicjatywa byłego szefa dyplomacji obraża wszystkich jego rodaków i zagraża pokojowemu współistnieniu obu społeczności. Według niego skompromitowani korupcyjnymi skandalami rumuńscy socjaldemokraci, którzy stracili niedawno władzę, próbują odzyskać poparcie, grając na nacjonalistycznej nucie. Wiele wskazuje jednak na to, że rządzący od miesiąca premier Ludovic Orban nie chce eskalować napięcia z Węgrami. Ta sprawa pokazuje jednak, jak trudno będzie zachować spoistość w grupie Międzymorza.

Grzegorz Górny

eprasa.pl f6b46398b0

OGNIEM NA WPROST

Szkoła Grety



Niemiecki magazyn „Deutsche Welle" podsumował tegoroczne wydarzenia w szwedzkim mieście Malmö i wylicza: 29 zamachów bombowych oraz 50 strzelanin. Dodajmy, że Malmö liczy niewiele ponad 300 tys. mieszkańców (coś między Lublinem a Białymstokiem), a jedna trzecia jego populacji jest urodzona za granicą. Jeden z mieszkańców, który przywykł już do codziennej przemocy, porównuje swoje miasto z tymi w Meksyku. Podstawowym podobieństwem są sterroryzowani przez narkotykowe kartele ludzie. „Tam też dają radę jakoś żyć" – zauważa. W Malmö lokatorzy w obawie przed pobliską eksplozją jakiejś bomby zabezpieczają swoje mieszkania. „Czasami wydaje się, że Malmö ma więcej wspólnego z Bagdadem niż z innymi europejskimi miastami" – konkluduje „Deutsche Welle". A lewica dalej – jeszcze więcej uchodźców!

W sąsiedniej Norwegii rząd przyznał właśnie kontrowersyjnej wspólnocie wyznaniowej Det Islamske Kultursenter (Islamski Ośrodek Kultury) ponad 700 tys. koron norweskich na zakup ponad 100-letniego kościoła baptystów w Stavanger i na przekształcenie go w meczet. Przyznano też dotację rządową w wysokości 200 tys. koron na zrobienie meczetu w chrześcijańskim domu modlitwy w Skien. Od czasu rozpoczęcia działalności w Norwegii Islamski Ośrodek Kultury zakupił już w tym kraju nieruchomości za łączną sumę 101 mln koron (kurs korony do złotego NBP 0,43 zł): trzy w Oslo, tyle samo w Drammen i w Nedre Eiker, jedną na Grenlandii i w Stavanger. Zwłaszcza przez ostatnich osiem lat organizacja aktywnie działała, dokonując zakupu nowych budynków na łączną kwotę ok. 56 mln koron (dane „Aftenposten" z rejestru nieruchomości). Niedawno prowadzony przez znaną aktywistkę antyimigrancką Hege Storhaug portal Rights.no donosił, że w mieście Bergen niedługo ma powstać pierwszy megameczet. Licząca ponad 3 tys. członków i mająca powiązania z ekstremizmem islamska wspólnota w tym mieście planuje wybudowanie świątyni o powierzchni 1,4 tys. mkw., z salą modlitw liczącą 400 mkw. Jak widać, i stwierdza to również sama Storhaug: „Islamizacja przebiega całkowicie jawnie, i to z ochoczą pomocą samych Norwegów. Jak głupim, ślepym i głuchym trzeba być, żeby tego nie rozumieć?". Najprawdopodobniej norweskiej i szwedzkiej lewicy oraz liberałom znudziło się już budowanie „nowego, wspaniałego świata" albo widzą go w nowej formie – kalifatu Szwecji i Norwegii.

Cudowne dziecko rewolucji klimatycznej Szwedka Greta Thunberg, mimo uzyskania promocji do IX klasy, nie poszła do szkoły. Jest permanentną wagarowiczką, pokonując nawet asy z mojej dawnej szkoły, które na koncie miały po ponad 600 godzin nieobecnych i nieusprawiedliwionych. Tak więc w Dniu Wagarowicza palma pierwszeństwa powinna zostać wręczona właśnie 16-letniej Grecie. Ona sama tak tłumaczy nowy rok szkolny, który zaczęła absencją. Poinformowała poprzez media społecznościowe, że ukończyła już szkołę podstawową, a więc według szwedzkiego prawa obowiązek szkolny wygasł. Greta nie musi kontynuować edukacji. Hurra! Chociaż pogłębianie wiedzy nie jest bezpieczne, można dojść bowiem do wniosku, że całe te akcje straszenia klimatyczną apokalipsą są funta kłaków warte i co wtedy? Wracać do szkolnej ławki. Brrr!

Dżirgi to rodzaj tradycyjnych rad tworzonych przez miejscowych starszych, rozstrzygających spory w wiejskich rejonach Pakistanu. Są jednak od pewnego czasu nielegalne z powodu wydawania wielu kontrowersyjnych orzeczeń, w tym „zabójstw honorowych" czy „gwałtów odwetowych". W Pir Mahal w prowincji Pendżab – donosi „Dawn", najstarsza i najpopularniejsza w Pakistanie gazeta anglojęzyczna – aresztowano właśnie 12 osób. Po dokonanym gwałcie rodzina poprosiła krewnych ofiary o przebaczenie i pojednanie. Ci z kolei co prawda wyrazili zgodę, ale postawili warunek. Przedstawiciel klanu zhańbionej kobiety miał w rewanżu zgwałcić siostrę sprawcy. Ostatecznie wspomnianych 12 członków obu rodzin na wspólnym spotkaniu wyraziło zgodę na ten pomysł. 21 marca dokonano więc „gwałtu odwetowego". Seksualność w Pakistanie w ogóle stanowi problem. Tamtejsze społeczeństwo lideruje na świecie w penetrowaniu internetu pod kątem pornografii. Kłopot w tym, że najpopularniejsze wyszukiwane frazy to: „seks z koniem", „seks z osłem" (pierwsze miejsce w 2007 r.) „seks z psem" oraz „seks z wielbłądem" (2004 r.). W latach 2007–2009 poszukiwali najczęściej „zdjęć gwałtów". I mamy efekt – „gwałt odwetowy".

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f6b46398b0

Piękne znaki zapytania



Marta Kaczyńska-Zielińska

W maju br. przypadła 500. rocznica śmierci Leonarda da Vinci – genialnego malarza, rzeźbiarza, architekta i inżyniera, wizjonera i twórcy wszech czasów. Do dziś przetrwały pozostawione przez niego dzieła sztuki, a także setki rysunków przeróżnych machin, które wyprzedziły swą innowacyjnością czasy, w których żył, nawet o setki lat, takich jak prototyp śmigłowca, spadochronu, prasy drukarskiej czy czołgu.

W Polsce najsłynniejszym i jedynym dziełem Leonarda da Vinci, co do którego autorstwa nie ma wątpliwości, jest „Dama z gronostajem" zakupiona przez księcia Adama Jerzego Czartoryskiego na potrzeby muzeum w Puławach, tworzonego przez jego matkę Izabelę z Flemmingów Czartoryską. Od trzech lat obraz wraz z ogromnym zbiorem stanowiącym uprzednio majątek fundacji Czartoryskich dzięki staraniom Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego stanowi własność narodu.

W związku z rocznicą śmierci włoskiego malarza Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie we współpracy z Towarzystwem Leonarda da Vinci i w konsultacji z Galerią Narodową w Londynie oraz innymi placówkami na świecie zorganizowało interesującą wystawę zatytułowaną „Leonardiana w kolekcjach polskich", której celem jest ukazanie „mitu Leonarda" widocznego na obrazach, grafikach, rysunkach i rycinach pozostających w krajowych kolekcjach. Centralnym obiektem wilanowskiej ekspozycji jest pochodzący z pałacowych zbiorów obraz „Salvator Mundi" („Zbawiciel świata"). Wszystkie pozostałe dzieła nawiązują do wymienionego malowidła swoją treścią lub formą. Według ekspertów główny punkt wystawy przypominający słynne dzieło Włocha w 20 proc. może być uznawany za dzieło Leonarda da Vinci. Oryginał pędzla wielkiego mistrza przysłużył się do wykreowania jednego z najbardziej popularnych motywów ikonograficznych. Powielali go zarówno jego uczniowie, jak i naśladowcy. Istniało ponad 20 kopii. „Salvator Mundi" podobno został namalowany na życzenie francuskiego monarchy Ludwika XII, a następnie stał się własnością brytyjskich królów Karola I i Karola II. Przez wiele lat był zaginiony, by współcześnie zyskać status najdrożej sprzedanego dzieła sztuki na świecie. Zakupiony za 450 mln dol. miał trafić do Luwru w Abu Zabi, w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Nowy właściciel zrezygnował jednak z wyeksponowania go dla szerokiej publiczności. Stało się tak najprawdopodobniej w związku z pojawiającymi się w mediach wątpliwościami dotyczącymi autentyczności płótna Leonarda da Vinci. W paryskim Luwrze trwa obecnie wystawa ponad 160 dzieł da Vinci okrzyknięta mianem „ekspozycji stulecia". Kuratorzy czynili starania, by wypożyczyć na nią „Zbawiciela świata". Bezskutecznie. Pewien krytyk sztuki miał nawet powiedzieć, że „Salvator Mundi" jest obecnie „najpiękniejszym znakiem zapytania, jaki kiedykolwiek namalowano".

Historia lubi się powtarzać. Trzeba wspomnieć, że pod koniec XVIII w. wilanowski „Zbawiciel świata" w chwili kupowania go przez Stanisława Kostkę Potockiego za 300 guldenów w złocie, czyli obecnie ok. 25 mln dol., był uznawany za oryginalne dzieło Leonarda da Vinci. U progu XVI stulecia Leonardo da Vinci współpracował z Bernardinem Luinim, Giovannim Antoniem Boltraffim, Ambrogiem de Predis i kilkoma innymi artystami z Mediolanu. Badania przeprowadzone przez konserwatorów zabytków z emirackiego Luwru wskazują na Bernardina Luiniego jako głównego twórcę dzieła wystawianego w pałacu Wilanowskim.

Niektórzy krytycy z lekceważeniem podchodzą do wystawy „Leonardiana w kolekcjach polskich", nie doceniając walorów idei, która zapewne stanowiła pretekst do jej zorganizowania. Warto zwrócić uwagę na wielowątkowość tego przedsięwzięcia, które przedstawia najwyższy kunszt malarstwa, niedzisiejszy zupełnie walor sakralnych dzieł sztuki, siłę oddziaływania harmonijnego stylu i precyzyjnej techniki malarskiej, a także skłania do refleksji nad znaczeniem oryginalności dzieł sztuki dla ich powszechnego odbioru.



Panu Profesorowi

Krzysztofowi Szwagrzykowi

Wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

SYNA

składają

Prezes, Kolegium i Pracownicy
Instytutu Pamięci Narodowej

2/1219/F

eprasa.pl f6b46398b0

Zebrała **Dorota Łosiewicz**



LGBT na ołtarzu

Doczekaliśmy się. Wreszcie jest. Pierwszy ołtarzowy obraz LGBT w Szwecji. Pojawił się w luterańskim kościele św. Pawła w Malmö. Dzieło przedstawia osoby trans- i homoseksualne w biblijnym raju. Ceremonia odsłonięcia odbyła się podczas uroczystego nabożeństwa z okazji pierwszej niedzieli adwentu. Płótno jest inspirowane dziełem Lucasa Cranacha starszego „Adam i Ewa", które znajduje się w zbiorach Muzeum Narodowego w Warszawie. „Raj" – bo taki tytuł nosi obraz – ma według przedstawicieli Kościoła Szwecji w Malmö symbolizować otwarcie się wspólnoty na osoby LGBT. „Chcemy wspólnie budować bardziej prawdziwy Kościół pokazujący, że bez względu na to, kogo kochamy i kim się określamy, wszyscy mieścimy się w raju" – czytamy w oświadczeniu prasowym. O sprawie informuje radioszczecin.pl. „Płótno przedstawia osoby różnej płci i koloru skóry w pozach sugerujących homoseksualne preferencje. Autorką obrazu jest homoseksualna malarka i fotografka Elisabeth Ohlson Wallin. W 1998 r. artystka wywołała skandal, prezentując wystawę „Ecce Homo" w katedrze w Uppsali. „Zaprezentowała na niej opatrzonych komentarzami 12 fotografii, przedstawiających m.in. osoby LGBT w roli postaci biblijnych" – informuje portal. Wystarczyło zatytułować obraz „Sodoma i Gomora" i wszystko byłoby jasne.



ok. 1 mln zł

– tyle wydał warszawski ratusz na stronę Warszawskiego Transportu Publicznego. Co ciekawe, strona została wykonana w darmowym programie. Trzeba przyznać, że Rafał Trzaskowski ma gest.

1,5 proc.

– tyle w skali rocznej będzie wciąż wynosić stopa referencyjna – poinformowała w komunikacie Rada Polityki Pieniężnej.

2015

– to w tym roku RPP po raz ostatni zmieniła poziom stóp procentowych, obniżając je o 50 pkt bazowych.

Bank



W Nowej Zelandii otworzono pierwszy na świecie bank nasienia dla osób zarażonych wirusem HIV – informuje „New Zealand Herald". Dawcami mogą być tylko mężczyźni, którzy są zarażeni wirusem, ale są leczeni od dłuższego czasu i HIV jest u nich wręcz niewykrywalny. O sprawie informuje m.in. portal rmf24.pl. Projekt prowadzi firma Sperm Positive, a wszystko oczywiście w ramach walki ze stygmatyzacją. W tym przypadku osób zarażonych wirusem HIV. Z badań wynika, że Nowozelandczycy są bardzo uprzedzeni do takich osób. Dlaczego otwarcie banku nasienia mężczyzn zarażonych wirusem miałoby to zmienić? Nie mam bladego pojęcia. Ciekawe, czy inicjatorzy akcji mają.

Jak cię widzą...

Brytyjscy dziennikarze odkryli, że Usman Khan, który dokonał zamachu na London Bridge, wystąpił przed laty w BBC. W 2008 r., kiedy miał 15 lat, Usman udzielił wywiadu lokalnemu oddziałowi z Midlands. W swoim wystąpieniu żalił się, że rasistowscy Anglicy uznają każdego muzułmanina za terrorystę. Telewizja zainteresowała się nim po tym, jak policja antyterrorystyczna dokonała przeszukania jego domu. „Urodziłem się i byłem wychowany w Anglii, w Stoke-On-Trent, w Cobridge, i cała społeczność mnie zna" – powiedział wtedy dziennikarzom. „I będą wiedzieć, jeśli ich spytacie, będą wiedzieć, że te stereotypy, jakie na nas nakładacie, jak terrorysta, będą wiedzieć, że nie jestem terrorystą" – cytuje tamtą rozmową portal Stefczyk.info. Usman Khan właśnie chyba ukuł nowe powiedzonko: „Kim cię widzą, tym się stajesz". No, chyba że jednak terrorystą był już wcześniej.



eprasa.pl f6b46398b0

Jazda bez trzymanki



Do skandalu doszło w hiszpańskiej edycji reality show „Big Brother". Prasa opisała historię, która zdarzyła się dwa lata temu na planie produkcji. W „pokoju zwierzeń" uczestniczkę zmuszono do obejrzenia nagrania, na którym jest gwałcona. Doszło do tego po suto zakrapianej imprezie w domu Wielkiego Brata, a dziewczyna następnego dnia nic nie pamiętała. Materiału z „pokoju zwierzeń" wówczas nie wyemitowano, ale teraz o sprawie stało się głośno, ponieważ hiszpański dziennik „El Confidencial" opublikował na swojej stronie internetowej nieemitowane wcześniej materiały. Patologia na patologii patologią pogania.

> Tak, zdecydowanie" – odpowiedział Emanuel Macron zapytany na szczycie NATO o swoją wcześniejszą wypowiedź o „śmierci mózgową" sojuszu. Całe szczęście, że mózg Macrona ma się dobrze. Bo ma, prawda?



Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (×2), YouTube

Czarny jak noc

12 zgonów i 117 rannych – to bilans Black Friday w USA. Jeśli ktoś się zastanawiał, dlaczego wyprzedaże noszą nazwę „czarny piątek" – ma odpowiedź. To był naprawdę czarny piątek.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Greta, promotorka nieuctwa



Dominik Zdort

To bohaterka współczesnych czasów, postać tyle symboliczna, ile typiczna. Będąca produktem postnowoczesności, równocześnie, przez samo swoje istnienie, nasze czasy współkształtująca. Uwielbiana przez tłumy, przyciągająca na spotkania tysiące fanów, wychwalana przez media, krytykowana tylko przez ludzi mikrych duchem.

Przy jej charyzmie grzali się najważniejsi przywódcy świata z papieżem Franciszkiem na czele. Każdy jej krok, każdą wyprawę opisuje się szczegółowo w internecie. Nic dziwnego, że znajduje naśladowców (i – bądźmy poprawni politycznie – naśladowczynie).

To Greta Thunberg, dziś lat 16, działaczka ekologiczna pochodząca ze Szwecji, ale już rozpoznawalna w skali globalnej, jeśli nie galaktycznej. Dotąd nikt z cywilizowanego świata (z wyjątkiem obrzydliwych ciemnogrodzian i faszystów) nie śmiał podważać jej autorytetu, dobrej woli, metod działania.

Aż zdarzył się ktoś bezczelny, nietaktowny, niegrzeczny i zadał pytanie: to nastoletnia dziewczynka, dlaczego ona nie robi tego, co jej rówieśniczki? Nie, nie chodzi o szalony seks bez zabezpieczeń i palenie trawki, ale o naukę, o chodzenie do szkoły, odbębnianie lekcji ze szwedzkiego, biologii i fizyki. Skolverket, szwedzka agencja ds. oświaty, szybko dała odpór: w Szwecji obowiązek szkolny dotyczy dzieci do 16 lat. Potem mogą, ale nie muszą iść do szkoły ponadgimnazjalnej. Greta skończyła 16 lat w styczniu tego roku, więc już nie musi się uczyć.

Po pierwsze, dobrze wiedzieć. Bo pewnie mało kto w Polsce zdawał sobie sprawę, że ten słynny szwedzki system państwa opiekuńczego pozwala, żeby 16-latek przestał się zajmować pogłębianiem wiedzy i poszedł na czeladnika do szewca (rodzice mnie tym straszyli, kiedy nie chciałem się uczyć) – i jakoś to nie szkodzi legendarnemu poziomowi skandynawskiej edukacji. Na marginesie warto przypomnieć, że ta obrzydliwa niecywilizowana Polska każe się dzieciakom uczyć do pełnoletności.

Po drugie, Greta teraz dla rówieśników może się stać wzorem także w tej dziedzinie. Promotorem nieuctwa, braku intelektualnych ambicji. Oczywiście zaraz usłyszymy, że dziewczynka ma indywidualny tok nauczania i guwernerów uczących ją podczas jachtowych podróży...

Po trzecie, tak naprawdę panna Thunberg jest żywym dowodem na to, że jak staniesz po właściwej stronie, to wszystko zostanie ci wybaczone.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl f6b46398b0

RZECZY POSPOLITE

First to fight



Tomasz Łysiak

„Polak z kłem narwala walczył z terrorystą w Londynie" – krzyczały nagłówki gazet i portali. Okazało się co prawda później, że nie był to kieł, tylko – jak opowiadał sam pan Łukasz – lanca, ale to tylko moim zdaniem dodało jeszcze uroku. Sypiące się z całego świata podziękowania i gratulacje jedynie potwierdzały to, co sami wiemy: należymy do walecznego narodu, który zaatakowany przez wroga pokazuje „kły". Naszymi „kłami" mogą być lance – szwoleżerskie lub ułańskie; mogą być husarskie kopie; mogą kosy powstańców kościuszkowskich czy styczniowych; mogą butelki z benzyną rzucane na niemieckie czołgi w czasie warszawskiej walki roku 1944; mogą nawet kamienie ciskane przez demonstrantów na szeregi zomoli. Za każdym razem udowadniamy to samo – z nami lepiej nie zadzierać. Takim przekazem były kolejne powstania i insurekcje, w których walczyliśmy nawet wtedy, gdy inni już dawno złożyli broń. Żuawi śmierci z powstania styczniowego mieli charakterystyczny krzyż malowany na piersiach, kacapy rozpoznawali ich z daleka i bali się panicznie. Czemu? Bo żuawi, zgodnie z przysięgą, nigdy się nie cofali. Gdy ruszyli do ataku, szli zawsze do przodu, nie bacząc na straty. W niektórych pamiętnikach przekazywano opisy niesamowitych scen, w których Moskale zaatakowani przez żuawów wpadali w takie przerażenie, iż po pierwszych salwach, gdy widzieli, że oddział polski zbliża się do nich, zamierali bez ruchu, trzęsąc się, a nasi powstańcy dosłownie wyjmowali im karabiny z rozdygotanych rąk.

Po londyńskiej walce Brytyjczyków i dzielnego Polaka moją uwagę zwróciły dwie wypowiedzi. Pewien Włoch napisał komentarz pod zamieszczonym przeze mnie tweetem, relacją z wydarzeń w Londynie, dziękując i pisząc, że na nas, Polaków, zawsze można było liczyć w historii, że zawsze byliśmy tu gdzie trzeba i kiedy trzeba. A druga rzecz to relacja z hiszpańskiej prasy, w której na drugi dzień pojawiły się głosy wyjaśnień, co do tego, dlaczego w Polsce nie odnotowuje się aktów terroryzmu. Hiszpańscy dziennikarze wskazywali jako przyczynę, że takich „Łukaszów", jak ten z Londynu, jest w naszym kraju wielu. To prawda. Dzielny pan Łukasz jest po prostu dobrym ambasadorem kraju, który jest zawsze... first to fight.

Ekskrementy polityki



Piotr Cywiński

Gdyby ktoś w Niemczech miał wątpliwości, z kim przyszło im budować dobrosąsiedzkie relacje, teraz już wie: od tabloidu „Bild", przez opiniotwórcze dzienniki i tygodniki, po kanał informacyjny N-TV i rozliczne portale internetowe, gruchnęła wieść o bezprecedensowym zerwaniu przez saksońską Torgawę (Torgau) partnerstwa z dolnośląskim Strzegomiem. O co poszło? O „Pozostawione ekskrementy / Nadburmistrz: zachowanie nie do przyjęcia, uwłaczające ludzkiej godności", jak zatytułowała swoją relację największa niemiecka bulwarówka.

Gdyby ktoś w Niemczech miał wątpliwości: „Polska delegacja, w tym burmistrz, nie tylko zniszczyli część wyposażenia pokoi hotelowych, zostawili też po sobie wszelkie możliwe ekskrementy w wielu pokojach i miejscach nie do pomyślenia", wyjaśniła osobiście nadburmisrz Torgawy Romina Barth. Członkowie polskiej delegacji „opuścili hotel bez słowa", czyli zwiali po prostu, sądząc zapewne, że dla dobra sprawy Niemcy nie poważą się mówić tym głośno. A tu, masz, nie tylko się poważyli, skoro „najwyżsi reprezentanci, którzy powinni być wzorcem, zachowują się w taki sposób", oznajmiła pani burmistrz, to radni Torgawy zdecydowali się zerwać 22-letnie partnerstwo ze Strzegomiem. Gdyby ktoś w Polsce miał wątpliwości, burmistrz Strzegomia Zbigniew Suchyta wyznał w „Fakcie", że „z nerwów po całej tej sytuacji miał skurczony żołądek", że „jedno z słów zostało błędnie przetłumaczone, bo o żadnych odchodach nie było mowy", bo to były „żołądkowe kłopoty zdrowotne kolegi, za co zresztą zapłacił 1500 euro". Radni przyznali natomiast, że „błędem wynikającym z naszej strony było niezgłoszenie od razu tego faktu do recepcji", co zdradził portal swidnica24.pl. Według „Torgauer Zeitung" wyrządzone szkody „Strzegom pokrył na wezwanie Torgawy".

Gdyby ktoś w Polsce miał wątpliwości, nie pierwszy to popis naszych wybrańców. A chwiejący się nad grobami na Ukrainie i bełkoczący do mikrofonów prezydent Aleksander Kwaśniewski? A pijany europoseł i wiceprzewodniczący europarlamentu Jacek Protasiewicz, zakuty w kajdanki na lotnisku we Frankfurcie? Albo nasz słynny w świecie elektryk-noblista-eksprezydent Lech Wałęsa, który zapowiedział, że jego stopa nigdy już nie postanie w Londynie...? Według świadków „mocno pachnący alkoholem" Wałęsa usiłował przemycić parę flaszek szampana i wściekł się, że jakiś byle mundurowy na lotnisku śmiał jemu do bagażu zaglądać...

Na więcej przykładów brak mi już miejsca. Ot, takie nieaustriackie, niekreolskie, ale nasze, nasze polskie, eksportowe ekskrementy polityki.

eprasa.pl f6b46398b0

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL
STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

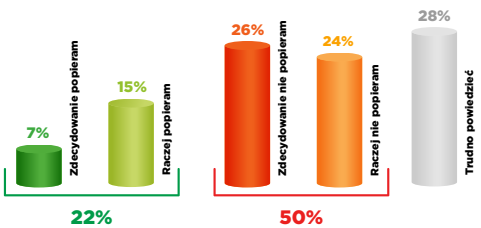
KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

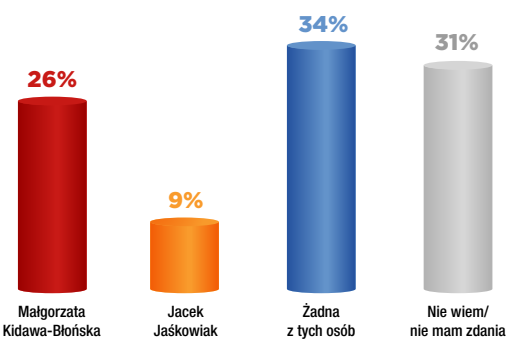
FOT. NA OKŁADCE: JAN BIELECKI/EAST NEWS, MOZCO MATEUSZ SZYMANSKI/SHUTTERSTOCK.COM, DROP OF LIGHT/SHUTTERSTOCK.COM, EVRENKALINBACAK/SHUTTERSTOCK.COM

nasz sondaż — pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

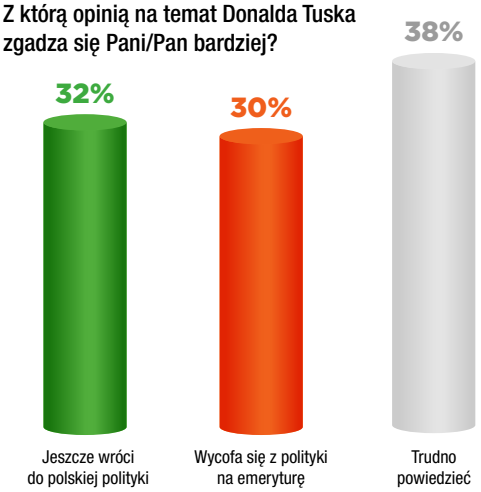
Jak ocenia Pani/Pan pomysł obowiązkowego używania żeńskich form w odniesieniu do wszystkich funkcji i stanowisk, jeśli pełni je kobieta, np. premierka, marszałkini, gościni, profesorka itp?



Kto według Pani/Pana powinien zostać kandydatem na prezydenta z ramienia Platformy Obywatelskiej?



Z którą opinią na temat Donalda Tuska zgadza się Pani/Pan bardziej?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1037.

Zakres czasowy badania 22–26 listopada 2019 r.

eprasa.pl f6b46398b0



Profesor Tomasz Grodzki w zawodzie chirurga osiągnął niemal wszystko. Jednak w polityce ceniony medyk nie znaczył dotychczas zbyt wiele. Niespodziewana nominacja na marszałka Senatu sprawiła, że z Pana Nikt stał się Napoleonem, który brawurowo przedstawia narodowi swoje sny o potędze. Czy coś go obudzi? Może wracająca właśnie przeszłość kiepskiego dyrektora szpitala, a może brutalna polityczna rzeczywistość, w której wciąż nie porusza się zbyt biegle

Operacja: Senat

Fot. Karolina Misztal / REPORTER

Z pierwszego telewizyjnego orędzia nowego marszałka Senatu Polacy mieli się dowiedzieć, że w izbie wyższej parlamentu polityka będzie teraz inna. „W tej kadencji naród w swej zbiorowej mądrości zdecydował, że w Sejmie przewagę będzie miał obóz rządzący, a w Senacie opozycja, czy raczej demokratycznie wybrana większość złożona z pań i panów senatorów Koalicji Obywatelskiej, PSL, Lewicy i senatorów niezależnych" – mówił prof. Tomasz Grodzki. Zapowiedź pracy nad dobrym prawem, odrzucenia kłótni i poszanowania dla politycznych przeciwników. Dokładnie tak – przeciwników, nie wrogów. Niczym we franciszkańskim zawołaniu: pokój i dobro!



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

I jeśli, drodzy rodacy, w nadchodzących wyborach, wybierzecie też naszego prezydenta, to Polska będzie oazą spokoju. W końcu! Spróbujemy?

Gdyby zrealizował się ten plan, którego głównym aktorem miał być prof. Tomasz Grodzki, obóz rządzący mógłby być w kłopocie.

OKRĄGŁE ZDANIA

Marszałek swoją rolę gra konsekwentnie i w kolejnych wystąpieniach używa zdań tak okrągłych, że pamięć uparcie kieruje nas na przemówienia czołowych przedstawicieli Unii Demokratycznej z jednej strony, a z drugiej – grafomańską literaturę Paula Coelha. „W naszej odysei przez życie w poszukiwaniu szczęścia i spełnienia marzeń jednym idzie łatwiej, innym trudniej, niektórych ta wędrówka wyrzuca na margines, a jeszcze inni muszą dźwigać czasami bardzo ciężki krzyż" – to również cytat z orędzia marszałka.

Pomysł genialny, ale chyba zbyt misterny. Ta szczelna maska pacyfisty

eprasa.pl f6b46398b0

nie jest skrojona na mało cierpliwych polityków. O ile pierwsze posiedzenie plenarne Senatu płynęło miodem, o tyle już na posiedzeniach komisji można było poczuć znaną z przeszłości gorycz . „Od wyborów zapanowały tutaj inne zwyczaje, nie przerywamy sobie nawzajem. (...) Ja prowadzę, a pan jest naszym gościem, w związku z tym pan słucha, a ja mówię" – to realizacja pokojowego planu marszałka w wykonaniu Bogdana Klicha (KO), szefa senackiej komisji sprawiedliwości, który wiceministrowi sprawiedliwości Sebastianowi Kalecie (PiS) dał minutę na ustosunkowanie się do zarzutów opozycji artykułowanych wcześniej przez ponad godzinę. Także w merytorycznych głosowaniach, np. w sprawie przedłużenia zwolnienia z akcyzy na gaz i paliwo lotnicze, zwycięża coraz częściej plemienna zapalczywość. Efektem mogą być drastyczne podwyżki cen za ogrzewanie i bilety.

Z obserwacji pierwszych tygodni marszałka w nowym fotelu wynika, że mimo przeświadczenia o swojej wielkości (na senackich korytarzach dźwięczy już nowe przezwisko: Napoleonek) jest on tylko marionetką większych i bardziej doświadczonych politycznych graczy. Prof. Grodzki poleciał do Brukseli, przede wszystkim na spotkanie z nowym szefem Parlamentu Europejskiego Włochem Davidem Sassolim, ale „nie mógł sobie odmówić przyjemności" odwiedzenia Donalda Tuska, na wspólnej konferencji nazwał go nawet swoim „ogromnym mentorem".

Padło tam dużo więcej napompowanych zdań. Od Tuska m.in. o „wielkim znaku nadziei", który objawił się w Senacie, a od Grodzkiego o „bijącym w Brukseli sercu europejskiej demokracji". Jeśli ktoś jeszcze miał wątpliwości, czy to rzeczywiście zapowiedź jakiejś nowej jakości w polityce, warto było poczekać dosłownie kwadrans, do końca briefingu. „Jesteśmy członkami Platformy i jesteśmy z tego dumni" – zakończyli jednogłośnie.

W połączeniu z jeszcze jednym fragmentem z orędzia: „Każda choroba, nawet najcięższa, zwłaszcza jeśli jest mądrze leczona, kiedyś się kończy", wychodzi nam stara śpiewka: antydemokratyczny PiS i my, uzdrowiciele Polski.

NIC MU NIE ZROBIĄ

„Wróciła normalność" – takimi słowami przywitał marszałek gości na zebraniu, na które zaprosił wszystkich ponad 350 pracowników Kancelarii Senatu. Zresztą od początku nowej kadencji Grodzki zatrudnił kolejne siedem osób. Niemal codziennie w senackim intranecie pojawia się anons o nowych, ważnych kadrach.

Spotkanie odbyło się w największej sali nr 217 i trwało... 10 minut. – Byliśmy w szoku, skoro nas ściągnęli, również tych pracujących poza główną siedzibą parlamentu, to liczyliśmy na jakieś konkrety, choćby na przedstawienie nowego kierownictwa kancelarii. A dostaliśmy takie... „pierdu, pierdu" – mówi nam osoba, która była na spotkaniu. Prof. Grodzki przyszedł z urzędnikami, którzy kilka dni później dostali nominacje, m.in. z Małgorzatą Daszczyk, szefową gabinetu marszałka Senatu czy Grzegorzem Furgą, byłym posłem Nowoczesnej i PO, a teraz dyrektorem Centrum Informacyjnego Senatu. Siedzieli z boku i przysłuchiwali się. Nie zostali przedstawieni.

> Robiliśmy coraz większe oczy, gdy zaczął opowiadać, jak pracował w Szczecinie. Tam był jego szpital, tutaj jest jego Senat. Pan na włościach – relacjonuje spotkanie z Grodzkim pracownik Senatu

– Robiliśmy coraz większe oczy, gdy zaczął opowiadać, jak pracował w Szczecinie. U niego w szpitalu panowała taka zasada, że za pierwszym razem, jeśli miał do kogoś zastrzeżenia, dawał ostrzeżenie, ale za drugim, to już... Zawiesił głos i choć nie była to wyartykułowana wprost groźba, tak te słowa odebraliśmy – opowiada nasz rozmówca. – Tam był jego szpital, tutaj jest jego Senat. Pan na włościach.

Osoby, z którymi rozmawiamy, uśmiechają się, gdy mówimy, że teraz Senat jest nazywany redutą opozycji. – Jak to „teraz"? Przecież gdy przyszła poprzednia władza, to owszem, zatrudniła trochę swoich ludzi, ale nie było czystek osób ze starego rozdania. Trwali sobie w swoich gabinecikach i rzeczywiście czekali na „powrót normalności". Dla nich te słowa marszałka Grodzkiego musiały być powodem do satysfakcji – słyszymy. Poczuć to można najlepiej podczas codziennych rozmów na korytarzach. Gdy zaczyna się temat łapówek, o których branie w przeszłości oskarżany jest prof. Grodzki (on zaprzecza), ton jest raczej bojowy. PiS czegoś na niego szuka. To na pewno nieprawda. I tak nic z tego nie będzie, nic mu nie zrobią.

Zanim wrócimy do tego gorącego sporu, spójrzmy jeszcze na media społecznościowe. Marszałek po wyborze uaktywnił się bowiem na Twitterze. Obserwujący, których – co zrozumiałe – przybywa z dnia na dzień, mogą śledzić aktywność polityka na koncie prywatnym i przez oficjalny serwis Senatu. Pierwszy wpis to była fotografia flag polskich i unijnych oraz podpis: „Drobny gest powrotu do normalności – do rodziny cywilizacji zachodniej". Fascynację tym kierunkiem, ba, rzekliby-śmy, że być może nawet jakiś kompleks wschodniego Europejczyka, widać również w kolejnych wpisach. Wspólna fotografia z Tuskiem w Brukseli i podpis: „Tymczasem na Zachodzie..." to już dzieło administratora oficjalnego konta Senatu. To taka nowa „normalność".

PYTANIA O ŁAPÓWKI

Na wizerunku Grodzkiego bardzo szybko pojawiła się rysa. Prof. Agnieszka Popiela, biolog z Uniwersytetu Szczecińskiego, napisała na Facebooku: „Masakra. Pan profesor Grodzki kandydatem na Marszałka Senatu. Jak moja Mama umierała, to trzeba było dać 500 dolarów za operację. Podobno na czasopisma medyczne. Faktury ani rachunku nie dostałam. Nigdy tego nie zapomnę". Marszałek szybko zaprzeczył, by miał w 1998 r. uzależniać przeprowadzenie operacji od zapłaty pacjenta:

eprasa.pl f6b46398b0

„Nie pamiętam żadnego kontaktu z autorką wpisu. Kategorycznie i stanowczo zaprzeczam, bym domagał się pieniędzy za operację. Wpłaty na działającą poza szpitalem fundację na rzecz transplantologii są absolutnie dobrowolne" – mówił w wp.pl. Chodzi o Fundację Pomocy Transplantologii w Szczecinie, w której radzie Grodzki zasiadał przez kilkanaście lat – do 2015 r., gdy został senatorem.

Marszałek szybko zapowiedział, że jeśli prof. Popiela nie przestanie go oczerniać, wystąpi na drogę sądową. Biolog złagodziła więc swoje stanowisko, choć nie wycofała się ze stwierdzenia, że fundacja nie przekazała jej pokwitowania za wpłatę 500 dol. Ale sprawa rzekomych łapówek na tym się nie zakończyła. Radio Szczecin ujawniło, że – wbrew twierdzeniom senatora – miał on kontakt z Popielą w 2016 r. Wówczas po raz pierwszy napisała ona w internecie: „Bardzo zdolny lekarz. Operował moją śp. mamę. Ale pamiętam też, że musiałam »dać«. I nigdy tego nie zapomnę". Grodzki poprzez komunikator wysłał jej wiadomość: „Bardzo proszę uważać z takimi opiniami, bo to może skończyć się oskarżaniem o zniesławienie. Jeśli Pani nie odróżnia wpłaty na fundację działającą przy szpitalu, która daje środki na zakupy sprzętu i szkolenia młodych lekarzy, od czego innego, to po prostu mi przykro".

Czy w szpitalu Grodzkiego obowiązywała niepisana zasada, że pacjenci „muszą być wdzięczni" za zabiegi i przekazywać jakieś kwoty na współpracującą z placówką fundację? Tak sugerował Karol Guzikiewicz, były wiceszef Solidarności w gdańskiej stoczni, a dziś radny PiS na Pomorzu. Napisał on na Twitterze: „Jest kolejna osoba, która potwierdza, że były łapówki w Szpitalu Szczecin Zdunowo przy ul. Sokołowskiego, gdzie Grodzki był wówczas ordynatorem. Dane osobowe nie będą publiczne ujawniane, tylko przekazane dla CBA w razie śledztwa. Zobowiązano mnie do poufności". Rzeczywiście zawiadomił Centralne Biuro Antykorupcyjne, a później dodał m.in., że chodziło o łapówkę przed operacją w 2009 r. W odpowiedzi pełnomocnik Grodzkiego wystosował „kroki prawne" wobec Guzikiewicza oraz mediów, które dość przesądzająco pisały o sprawie. W ubiegłym tygodniu Guzikiewicz usunął swoje wpisy, stwierdzając, że były...



Fot. Piotr Molecki / East News

„satyryczne". Ale doniesienia do służb nie odwołał.

Fakty są takie: cień został rzucony, choć nie ma dziś nikogo, kto by pod nazwiskiem stwierdził, że musiał zapłacić za publiczne usługi w szpitalu Grodzkiego. Sprawę bada CBA.

Interesują się nią też zachodniopomorscy radni. W czasie sesji sejmiku pytali oni marszałka województwa o zasady współpracy fundacji z podlegającym mu szpitalem. Jak relacjonowała TVP3 Szczecin, marszałek Olgierd Geblewicz (PO) nie odpowiadał na pytania. Zamiast tego stwierdził: „Wydawałoby się, że pewną jednak wielkością powinno być to, żeby być dumnym, że człowiek ze Szczecina jest dziś trzecią osobą w państwie. Nie wszyscy to potrafią. Łatwiej jest opluwać, pomawiać i insynuować".

„KOSI PIENIĄDZ, MA JAGUARA"

Cała Polska mogła zobaczyć, jak marszałek sam ścieli sobie łóżko przy Wiejskiej. Ustawka z „Super Expressem" miała pokazać, że to normalny facet, któremu nie przeszkadza skromność parlamentarnego hotelu. Choć na co dzień przyzwyczajony jest do nieco wyższych standardów.

Profesor jest majętnym człowiekiem. Ma pół miliona złotych oszczędności, dom o powierzchni 120 mkw., 70-metrowe mieszkanie i działkę budowlaną. Nieruchomości te wycenia na blisko 1 mln zł. Do tego dochodzą akcje warte ok. 75 tys. zł i wypasione auto – jaguara XF z 2016 r. Używa go w formie wynajmu długoterminowego, płacąc 6,3 tys. zł miesięcznie. Z praktyki lekarskiej w Klinice Chirurgii Klatki Piersiowej i Transplantacji Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie (jest jej kierownikiem) zarobił w 2018 r. ponad 180 tys. zł. Ponadto z tytułu innych prac zarobkowych (etatu, zleceń, praw autorskich, diet senackich) – kolejne 160 tys. zł.

Marszałek przez długie lata zapracował na dzisiejszą pozycję materialną.

eprasa.pl f6b46398b0

Jest wybitnym torakochirurgiem (gałąź chirurgii zajmująca się wadami klatki piersiowej), cieszącym się uznaniem w świecie transplantologiem. Jako pierwszy Polak został przyjęty do Amerykańskiego Stowarzyszenia Torakochirurgii, kierował Europejskim Towarzystwem Torakochirurgów. Opublikował mnóstwo artykułów w najważniejszych branżowych periodykach, współpracował naukowo z wieloma klinikami (poza Polską – w USA, Szwajcarii, Niemczech, Austrii i we Francji).

Mimo wielu obowiązków senackich wciąż jest na bieżąco z tym, co dzieje się w transplantologii. 1 grudnia odnotował na Twitterze: „Gratuluję całemu zespołowi kardiochirurgii wrocławskiej, który przeprowadził pionierską w skali Polski operację autotransplantacji serca – tzn. własne serce jest wyjęte z klatki, wyleczone (w tym przypadku chodziło o guz) i z powrotem włożone na swoje miejsce!".

W SZPITALU I POLITYCE

O ile w leczeniu idzie mu świetnie, o tyle z zarządzaniem jest dużo gorzej. To on kierował Specjalistycznym Szpitalem im. prof. Alfreda Sokołowskiego w Szczecinie, gdy w latach 2008–2016 doszło do sześciokrotnego wzrostu zadłużenia placówki – wymagalny dług wynosił 25 mln zł.

W czerwcu 2016 r. szpital przed upadłością uratowała dotacja marszałka województwa w wysokości 8 mln zł, ale Grodzki pożegnał się ze stanowiskiem dyrektora. Kilka dni wcześniej na posiedzeniu komisji zdrowia sejmiku doszło do ostrego sporu między marszałkiem Geblewiczem a dyrektorem Grodzkim (obaj z PO). „Tylko dajcie i dajcie, żadnych planów na przyszłość (...) Obecnie dług lawinowo narasta – o 1,5 mln zł co miesiąc" – punktował marszałek, stwierdzając, że przygotowywane przez Grodzkiego od 2014 r. trzy plany naprawcze zawierają tylko hasła, a żadnych wyliczeń.

Po tamtym sporze nie pozostał większy ślad. Geblewicz dziś wspiera Grodzkiego, bo ten jest wielką nadzieją Platformy. A nic na to nie wskazywało ani przez trzy kadencje pełnienia funkcji w radzie miejskiej Szczecina, ani w poprzedniej kadencji Senatu. Prof. Grodzki nie zapadł w pamięć z prac w „izbie refleksji". Ale w partyjnej armii zawsze był do dyspozycji. Dlatego pełnił funkcję przewodniczącego senackiego zespołu monitorowania praworządności i ministra zdrowia w gabinecie cieni PO z Grzegorzem Schetyną jako premierem. W Platformie zawsze pokorny wobec aktualnych władz. A wręcz potrafiący składać hołdy. Jak w wywiadzie dla „Dziennika": „W polityce jest wiele stygmatów i dziś przewodniczący Schetyna jest trochę stygmatyzowany. Jak z nim rozmawiam prywatnie, to człowiek o nieprzeciętnym intelekcie".

> Profesor jest majętnym człowiekiem. Ma pół miliona złotych oszczędności, dom o powierzchni 120 mkw., 70-metrowe mieszkanie, działkę budowlaną i wypasione auto – jaguara XF z 2016 r.

CHWIEJNY SENAT

Nic dziwnego, że szef PO chętnie kupił historię o niezłomnym profesorze, który nie dał się przekupić pisowcom – dwa dni po wyborach Grodzki obwieścił, że za przejście na stronę PiS oferowano mu kierowanie resortem zdrowia w rzeczywistości, a nie tylko w platformerskiej grze pozorów. O ile pomysł tej „nagrody" wydaje się od początku niedorzeczny, bo fotel akurat tego ministra jest najgorętszy w całym rządzie, o tyle nie ma osoby, która ze stuprocentową pewnością stwierdziłaby, że rozmów w ogóle nie było. – Nie sądzę, by wyskoczył z czymś takim ktoś z centrali, tutaj akurat Grodzki był znany jako dość konsekwentny antypisowiec, choć w sprawach światopoglądowych jest konserwatystą. Może któryś z działaczy na Pomorzu Zachodnim postanowił powalczyć o taki „prezent" i przynieść go na Nowogrodzką? – opowiada polityk PiS. – Mówiło się o innej osobie, podobno była już wstępna zgoda, ale wszystko się popsuło przez wywiad, w którym ważna dla obozu osoba zasugerowała zbyt wiele i kandydat się spłoszył.

Przez brak przewagi PiS Senat X kadencji skupił na sobie reflektory opinii publicznej. Większość, którą dowodzi marszałek Tomasz Grodzki, jest jednak krucha, 51 do 49 głosów. Już słychać, że pomysłem na jej spacyfikowanie może być łamanie kworum – by było ono ważne, głos musi oddać 50 senatorów. Jeśli PiS (49 osób) wyjdzie z sali, to opozycja musi się wykazać maksymalną mobilizacją. – Pomysł wydaje się nieco absurdalny, ale jeśli trochę się nad nim zastanowić, to nagle wszyscy przestają się śmiać i stwierdzają, że wcale nie jest taki głupi, prawda? – mówił w wywiadzie dla gazeta.pl europoseł PiS Adam Bielan.

Dlaczego konieczna jest taka ekwilibrystyka? W partii Jarosława Kaczyńskiego panuje przeświadczenie, że nie wszyscy kandydaci podeszli do kampanii poważnie, że liczyli na niemal automatyczny wybór, stąd porażka. – Ale to jest polityka, zmiany barw klubowych, nawet w środku kadencji, nie są wykluczone – mówi nam jeden z senatorów, wskazując przykład obecnego wicemarszałka Michała Kamińskiego, obecnie w Koalicji Polskiej PSL/Kukiz'15, ale wcześniej w blisko 10 innych partiach: od ZChN przez PiS do PO. – Teraz do wyborów prezydenckich nic się już raczej nie wydarzy, ale gdy zwycięży Andrzej Duda, będzie kwestią czasu, gdy ktoś postanowi się do nas przyłączyć.

– Uważam, że czeka nas bardzo ciekawa kadencja. Dla legislacji to akurat dobrze, że opozycyjny Senat patrzy na ustawy przychodzące z Sejmu, gdzie większość ma PiS, ale jak długo to potrwa? Zmian personalnych może być sporo, a każda z nich może powodować zmianę marszałka – opowiada nam ważny poseł PiS.

Prof. Tomasz Grodzki ma więc kilka miesięcy spokojnego kontemplowania zwycięskiej dla siebie sytuacji. A co potem? Waterloo?

eprasa.pl f6b46398b0



Ile jest PiS w PiS



STANISŁAW JANECKI

Wyborcy partii rządzącej chcą wiedzieć, jak ona ewoluuje, w jakim stopniu to wciąż jest ugrupowanie, na które wcześniej głosowali i je wspierali

Dwa miesiące po wyborach parlamentarnych poparcie dla Prawa i Sprawiedliwości w sondażach rzadko przekracza 40 proc., przeważnie osiągając 38–40 proc. A w wyborach 13 października br. PiS uzyskało poparcie na poziomie 43,59 proc. Przed wyborami sondaże dawały tej partii nawet 45–47 proc. poparcia. Powyborcze sondaże świadczyłyby o tym, że PiS wciąż nie dostaje premii za zwycięstwo, choć zwykle po wyborach mamy do czynienia z takim zjawiskiem. Może to wynikać z dostania się do Sejmu pięciu bloków, które zagospodarowują prawie całą scenę polityczną, przez co nie ma praktycznie wyborców rozżalonych porażką, a przez to przenoszących swoje poparcie na zwycięzców. Szczególnie może to dotyczyć wyborców Konfederacji. Na to nakładają się zmiany w obozie Zjednoczonej Prawicy wynikające z tego, że wzmocniły się zarówno Solidarna Polska Zbigniewa Ziobry (19 mandatów, w tym 2 w Senacie), jak i Porozumienie Jarosława Gowina (18 mandatów).

eprasa.pl f6b46398b0

Wzmocnione partie koalicyjne po wyborach świętowały sukces i podkreślały swoją podmiotowość, przez co PiS, które w sondażach funkcjonuje za całą Zjednoczoną Prawicę, mogło otrzymywać mniejsze poparcie. Znaczenie ma też to, że opozycji udało się przeforsować własne porządki w Senacie i utrzymać nieznaczną większość, przez co wyborcy i sympatycy PiS nie mają poczucia pełnego sukcesu, mimo że PiS także wybory do Senatu wygrało. Tym bardziej że opozycja traktuje Senat jako ważny przyczółek do odzyskania władzy, mogący mieć wpływ na wybory prezydenckie, a ostatecznie na możliwość rozpisania przedterminowych wyborów. Niewątpliwie opanowanie Senatu przez opozycję osłabiło ducha wśród zwolenników PiS i wzbudziło jakieś obawy o przyszłość tej formacji u władzy. To też wpływa na brak premii dla zwycięzców, skoro zwycięstwo jest połowiczne, mimo że w liczbach rekordowe w całej historii III RP.

Z wielu powodów zmienia się postrzeganie PiS, zmienia się też strategia rządzenia, gdyż druga kadencja zawsze niesie nowe wyzwania i problemy. Mamy więc obiektywne przyczyny zmian oraz subiektywne powody ich postrzegania. Wyborcy partii rządzącej nie tylko interesują się tym, jak ewoluuje partia, którą popierają, lecz także tym, w jakim stopniu to wciąż jest ugrupowanie, na które wcześniej głosowali lub się z nim identyfikowali. Mówiąc skrótowo, pojawił się problem tego, ile pod koniec 2019 r. jest Prawa i Sprawiedliwości w Prawie i Sprawiedliwości. Zwłaszcza po głosowaniu na Włodzimierza Czarzastego jako wicemarszałka Sejmu czy poparciu dla Magdaleny Biejat z Lewicy Razem jako szefowej komisji polityki społecznej i rodziny. Wyborcy mają swoje wyobrażenie partii, którą wspierają, i nie jest tak, że wszystkie zmiany akceptują, nawet gdy chodzi tylko o postrzeganie lub wyobrażenie, a nie fakty.

ATAK NA MORALE

Elektorat PiS dostrzega zmiany w samej partii, czyli odejście do Parlamentu Europejskiego tak znanych twarzy jak Beata Szydło, Joachim Brudziński, Witold Waszczykowski, Beata Mazurek czy Elżbieta Rafalska. Te osoby nie wypadły z polskiej polityki, jednak ich obecność w Brukseli i Strasburgu może być postrzegana tak, że mają mniejszy wpływ na to, co się dzieje w kraju i w partii, mimo że przecież Szydło i Brudziński są wciąż wiceprezesami PiS. Dodatkowo poza nowym rządem Mateusza Morawieckiego znalazły się osoby związane z rdzeniem PiS, czyli tzw. zakonem PC, np. Marek Suski, Krzysztof Tchórzewski i Jarosław Zieliński. Wcześniej z rządu wypadł Krzysztof Jurgiel, a marszałkiem Sejmu przestał być Marek Kuchciński, także politycy z zakonu PC. Z rządu odszedł też Antoni Macierewicz (8 stycznia 2018 r.) nienależący do zakonu PC, ale będący wiceprezesem PiS i jedną z najbardziej rozpoznawalnych osób w tej partii. Te wszystkie zmiany i przesunięcia mogą wśród wyborców PiS sprawiać wrażenie takiej ewolucji partii, która czyni ją mniej prawicową. Tym bardziej że na konto PiS zapisywane są działania i poglądy Jarosława Gowina oraz ministrów (wiceministrów) i posłów z Porozumienia, postrzeganych jako znacznie bardziej centrowi i liberalni niż politycy PiS. W wypadku Zbigniewa Ziobry oraz ministrów i posłów Solidarnej Polski efekt zmieniania oblicza PiS występuje w znacznie mniejszym stopniu, co wynika z oblicza ideowego tej partii, bliższego PiS niż w wypadku Porozumienia.

Opozycja dąży do tego, by PiS przedstawiać jako partię schyłkową, dotkniętą wewnętrznymi kryzysami, rozdzieraną aferami. Ma to nie tylko mobilizować własny elektorat, ale też demobilizować wyborców partii rządzącej oraz podkopywać ich morale. Ma to wzbudzać wątpliwości, czy obecne PiS to jest to samo PiS, które w 2015 r. wygrywało wybory prezydenckie i parlamentarne, a w efekcie wdrukować części wyborców, że z partią Jarosława Kaczyńskiego pod koniec 2019 r. coś jest nie tak. A morale wyborców i zwolenników PiS najbardziej ma kruszyć sprawa prezesa NIK Mariana Banasia, choć na razie nie postawiono mu żadnych zarzutów. Ale odmowa podania się do dymisji (w specjalnym oświadczeniu 4 grudnia br.) i mimo nacisków Jarosława Kaczyńskiego, Mateusza Morawieckiego oraz szefa MSWiA i koordynatora służb specjalnych Mariusza Kamińskiego, jest przez opozycję przedstawiana jako słabość PiS niepotrafiącego zmusić prezesa NIK do dymisji albo jako ustawkę w sytuacji, gdy ta opozycja kontroluje Senat, a wyższa izba musi zaakceptować kandydata wybranego przez Sejm. Do tego dochodzą argumenty przedstawione 2 grudnia br. przez Donalda Tuska, czyli oskarżanie PiS o to, że skoro na najwyższe stanowiska trafiają tacy ludzie jak Banaś, nie są oni wyjątkiem, lecz istotą polityki kadrowej oraz stanu tych kadr. Coś z tego pozostawia wśród wyborców negatywny ślad, mimo że PiS bardzo szybko i stanowczo reaguje na takie przypadki, a koalicja PO-PSL nie reagowała wcale albo wyjątkowo opieszale. Wszyscy jednak od PiS wymagają więcej, niezależnie od intencji.

ROLA MORAWIECKIEGO

Na zmianę postrzegania PiS znaczący wpływ ma Matusz Morawiecki. Nie tylko dlatego, że to on miał duży wpływ na zmiany i przetasowania w rządzie. Przez znaczącą większość elektoratu PiS premier jest postrzegany jako wzmocnienie partii rządzącej i atut rządu, jednak część wyborców pamięta o jego krótkim stażu w PiS oraz pochodzeniu z „innego świata". Nie zmieniają tego nawet bardzo wyraziste i twarde poglądy Morawieckiego w kwestiach suwerenności, patriotyzmu, komunizmu, pozycji Polski w Unii Europejskiej czy fundamentalnych wartości, w tym dotyczących rodziny, wychowania czy edukacji. Pewien dystans u części wyborców PiS nie musi mieć związku z samym Morawieckim, a prawdopodobnie ma związek z kojarzeniem go z bankierami, liberałami czy z krótkim epizodem zasiadania w Radzie Gospodarczej przy premierze Tusku. Paradoksem jest, że Morawieckiego jakaś część wyborców PiS wiąże nawet bardziej z Porozumieniem Gowina niż z partią Kaczyńskiego, choć szef rządu jest przecież członkiem 33-osobowego Komitetu Politycznego PiS, a z partią swego zastępcy w rządzie nie ma nic wspólnego. Na to, jak postrzega go część wyborców PiS, premier nie ma wpływu, gdyż te osoby akceptują zmiany znacznie wolniej niż

Fot. Julita Szewczyk

eprasa.pl f6b46398b0

partyjni działacze, choć i tu wciąż widoczny jest pewien dystans do Morawieckiego. To się oczywiście zmienia wraz z bardzo wyraźnym wyróżnianiem i wspieraniem Morawieckiego przez prezesa PiS, ale pewien dystans pozostaje. Ma to znaczenie, gdy wśród części wyborców i sympatyków formułowane są pretensje, że PiS rządzi zbyt miękko, nie rozprawia się z aferzystami i osobami skorumpowanymi, przez co mogą one swobodnie być wybierane np. do Senatu, nie jest w stanie dokończyć reformy sądownictwa i poradzić sobie z anarchią powodowaną przez część sędziów (wyborcy nie uwzględniają ogromnych problemów, jakie w tej mierze sprawiają Komisja Europejska, Parlament Europejski oraz Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej), nie rozlicza rządów PO-PSL (choćby za aferę z VAT czy Amber Gold), jest bezradny wobec donoszenia na Polskę i jej szkalowania. Trudno powiedzieć, dlaczego odpowiedzialność za to miałby ponosić Morawiecki i dlaczego jemu przypisuje się np. poglądy polityków Porozumienia, ale tak bywa. W efekcie część wyborców i sympatyków PiS uważa, że ta partia zmienia kurs na bardziej miękki i trudny dla nich do zaakceptowania głównie pod wpływem Morawieckiego. A mają to potwierdzać zmiany w rządzie, gdzie polityków z dużym stażem i silną pozycją w partii zastępują technokraci do wynajęcia, dla których idee i wartości są kwestią wtórną, a liczy się efektywność w osiąganiu różnych celów. To ma gwarantować utrzymanie władzy, a nie ideowość.

W partii rządzącej drugą kadencję istnieje problem strategii rządzenia przez kolejne cztery lata. Doświadczenia drugiego rządu Tuska (tylko on i PO wcześniej rządziły drugą kadencję z rzędu) pokazują, że wtedy rząd ma mniejszą skłonność do głębszych i radykalniejszych zmian. W wypadku Tuska było to dość leniwe i bezbarwne administrowanie, a wręcz dryf. W takiej sytuacji górę bierze przekonanie, że ważniejsze jest utrzymanie władzy i łagodzenie konfliktów, które wywołują i wzmacniają głębokie i radykalne reformy. Dlatego rząd Tuska w drugiej kadencji nie robił niczego innego poza umacnianiem strategii ciepłej wody w kranie. To oznacza zdominowanie rządzenia przez oportunizm, a w najlepszym razie ostrożność. Exposé premiera Morawieckiego na inaugurację drugiej kadencji nie było rewolucyjne, ale też nie sposób go traktować jako strategii ciepłej wody w kranie. A mimo to część wyborców PiS tak właśnie exposé premiera traktuje. Zwolennicy PiS (ale i generalnie wyborcy każdej partii rządzącej utrzymującej się dłużej u władzy) nie bardzo się przejmują kwestiami rozwoju, wzrostu, innowacyjności, pakietów dla przedsiębiorców czy różnych grup społecznych, które są głównymi zadaniami rządu. Dlatego gdy rządzący na to zwracają uwagę – a w drugiej kadencji zwykle ma to pierwszoplanowe znaczenie – część wyborców traktuje to jak odejście od zasadniczego programu, od strategii odcięcia się od III RP czy jej pokrągłostołowej wersji. Nawet apele i starania o łagodzenie społecznych konfliktów i podziałów w Polsce, z jakimi po wyborach występuje także Kaczyński, są traktowane jako odejście od twardej linii PiS i zmierzanie ku filozofii ciepłej wody w kranie. Wynika to głównie z tego, że wyborcy mają inną perspektywę niż rządzący politycy. Ci pierwsi chcą konsekwencji, zdecydowania, twardości i nieulegania opozycji, ci drudzy za najważniejsze uważają możliwość rządzenia przez kolejną kadencję. Bo tylko w ten sposób można realizować długofalową strategię i zmienić Polskę. Z punktu widzenia rządzących lepsza jest ostrożność i pewna zachowawczość podczas rządzenia przez drugą kadencję, z punktu widzenia części wyborców jest to oznaka słabości, oportunizmu, a nawet zdrady ideałów i podstawowych wartości.

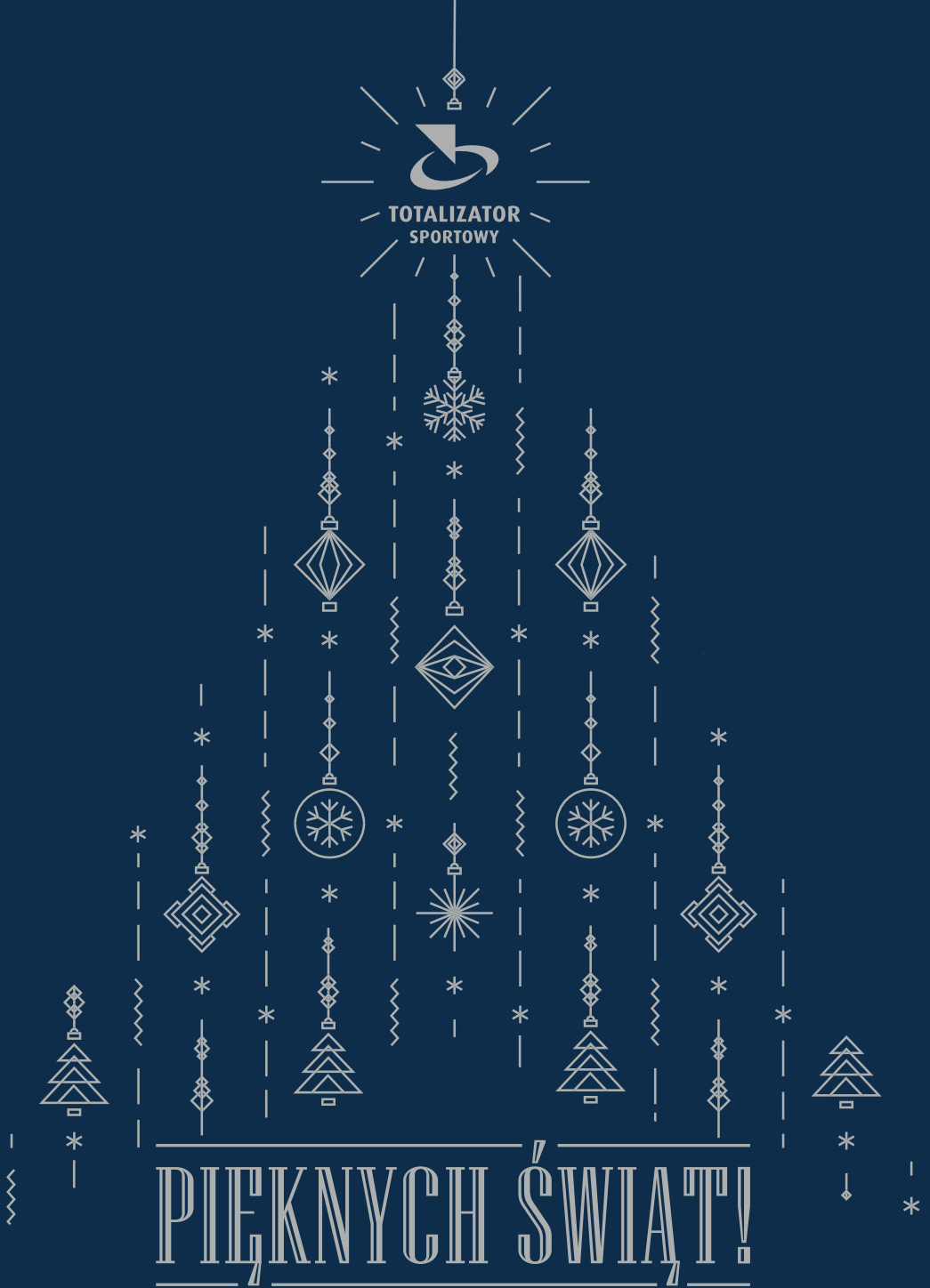
> Wśród części wyborców i sympatyków formułowane są pretensje, że PiS rządzi zbyt miękko, nie rozprawia się z aferzystami i osobami skorumpowanymi

LUSTRO KONFEDERACJI

Rządzącemu PiS jest trudniej, gdy do Sejmu z niezłym wynikiem (6,81 proc. głosów) weszła Konfederacja. Chce się ona odróżniać od PiS tym, że ma być prawdziwą prawicą w przeciwieństwie do PiS, które ma prawicowość rozmywać ze względu na różne ograniczenia władzy i uleganie zewnętrznym wpływom. To Konfederacja najbardziej wskazuje na zmniejszanie się ilości PiS w PiS, choćby wtedy gdy mówi o bezwzględnej ochronie życia od poczęcia. Część wyborców PiS jest na to odporna i widzi w działaniach Konfederacji zwykłą konkurencję, lecz do niektórych zwolenników PiS to trafia. Tym bardziej że jako dowód przedstawiają decyzje kadrowe, zmianę strategii i retoryki oraz odrzucanie ich „twardych" projektów. A potem takie opinie są multiplikowane w internecie. Politycy PiS reagują na te zarzuty często mało stanowczo, gdyż do nich także docierają głosy wyborców, że w nowym wydaniu PiS jest mniej PiS niż w tym z przeszłości. A ewolucja partii w związku z nowymi celami rządzenia i zmianą konfiguracji na polskiej scenie jest postrzegana jako odchodzenie od tego, czym było Prawo i Sprawiedliwość. I tak koło się zamyka. Niezależnie od tego, na ile PiS zmienia się realnie, a zmienia się, choć nie tak jak głosi to Konfederacja, a na ile jest to kwestia wizerunku i „gęby", stanowi to problem, z którym partia rządząca musi się zmierzyć. Nawet gdyby była to tylko kwestia postrzegania, wpływa na poparcie, stopień mobilizacji, gotowość do pracy na rzecz PiS i do poświęceń. Milczenie na te tematy nie wydaje się dobrą strategią, a gorsze sondaże o czymś świadczą. Trzeba się więc z tym otwarcie skonfrontować.

53/1119/F

eprasa.pl f6b46398b0



Niech wiara, nadzieja i pokój
zagoszczą w te Święta w każdym domu!

Oby ten magiczny czas upłynął
Państwu radośnie i spokojnie.

Najpiękniejszych Świąt Bożego Narodzenia
oraz pomyślnego Nowego 2020 Roku

życzy

Zarząd Totalizatora Sportowego

eprasa.pl f6b46398b0

Państwowymi firmami muszą zarządzać profesjonaliści

Nie jest moją intencją masowa wymiana szefów spółek skarbu państwa. Wiem, że była budowana w mediach narracja, że stanę na czele resortu, którego głównym zadaniem będzie wymiana prezesów. Żadnej rewolucji personalnej nie przewiduję. Nie wykluczam jednak, że zmiany w najważniejszych spółkach nastąpią

Z Jackiem Sasinem, wicepremierem i ministrem aktywów państwowych, rozmawia Edyta Hołdyńska

Ma pan w gabinecie, obok polskiej, flagę Unii Europejskiej. Marszałek Tomasz Grodzki zaprosił kamery na wniesienie flagi UE do holu Senatu. Ta już tu była?

Jacek Sasin: Przejąłem ten gabinet po pani premier Beacie Szydło. Ta flaga już tu była. Polska jest członkiem Unii Europejskiej i uważam, że to dobrze. Flaga Unii powinna tutaj być. Marszałek Grodzki zachował się tak, jakby przejął Senat po okupantach. Został wybrany w wyniku normalnych, demokratycznych procedur. Mógł to zrobić, odnosząc się z szacunkiem do swojego poprzednika. To rzekome przywracanie flag Unii w Senacie, kiedy nikt wcześniej ich nie wyprowadzał, miało nadać zupełnie kłamliwy przekaz. Zresztą to jest gabinet z historią. To miejsce do mnie przemawia, jestem historykiem.

Premier Morawiecki też jest historykiem. Nie zazdrości?

Nie wiem, nie pytałem go o to. Śmieję się, że to jest gabinet Cyrankiewicza, bo to za jego czasów pomieszczenie to urządzono. Jesteśmy w gabinecie premierów Polski wpisanym do rejestru zabytków. Pan premier Mateusz Morawiecki dzisiaj zajmuje gabinet, który prezesi Rady Ministrów zajmują dopiero od czasów Hanny Suchockiej. Do tego momentu od lat 40. XX w. to tutaj siedzieli kolejni premierzy. Na ścianach drewniane boazerie, płaskorzeźby. Całość pochodzi z tamtego okresu.

Gabinet piękny, ale z PRL. Teraz w Sejmie też przyjdzie się zmierzyć prawicy z lewicą. Ostatnio mówi o wyzwoleńczej Armii Czerwonej. Podoba się to panu?

Polacy zdecydowali, że lewica wróciła do Sejmu, i ja to szanuję. Smuci mnie to, że nie jest w stanie się wyzwolić z tego postkomunistycznego, a właściwie komunistycznego balastu, bo to, co opowiada Włodzimierz Czarzasty o uwielbieniu dla Armii Czerwonej, kiedy wszyscy wiemy, jak wyglądała rzeczywistość historyczna, jest niezrozumiałe. Historycy pracują od dziesięcioleci i mamy pełen obraz tych czasów. Dominująca część lewicy nie jest w stanie zerwać ze swoimi komunistycznymi korzeniami. To jest smutne. Powoduje, że w kontekście normalnej siły politycznej, wpływającej na rzeczywistość w parze z ich radykalizmem światopoglądowym, trudno oceniać ich działanie pozytywnie.

Będzie pan teraz najbogatszym człowiekiem w kraju. Majątek spółek skarbu państwa, którym będzie pan zarządzał, szacowany jest na 100 mld zł.

To przede wszystkim ogromna odpowiedzialność, bo to zarządzanie majątkiem państwa, który jest w dalszym ciągu pokaźny. Pomimo tego, że przez wiele lat po 1989 r. ten majątek był wyprzedawany. Często nawet, nie boję się tego słowa, rozkradany. Szczególnie w tym pierwszym okresie transformacji, gdzie bardzo wiele firm zostało właściwie za bezcen oddanych. I to przede wszystkim zagranicznym koncernom, które traktowały Polskę jako dobry rynek zbytu dla swoich produktów. Kupowały polskie firmy tylko po to, żeby je zniszczyć, usunąć konkurencję, a nie po to, by zmodernizować i rozwinąć.

„W dalszym ciągu pokaźny", czyli są takie obawy, że ten majątek może ulec pomniejszeniu? Możliwy jest powrót do prywatyzacji?

Nie ma mowy, abyśmy prowadzili taką politykę, jaką znamy z przeszłości. Przeciwnie, wyznajemy zasadę, iż wyborcy uznali, że mamy kontynuować wzmacnianie majątku państwowego, które prowadziliśmy przez ostatnie cztery lata. Będziemy się też starali odzyskiwać spółki, które są ważne z punktu widzenia naszego bezpieczeństwa jako państwa. Także bezpieczeństwa gospodarczego. To dlatego ponieśliśmy duży wysiłek odkupienia od włoskiego UniCredit Banku Pekao SA. Zdiagnozowaliśmy, że jest problemem dla Polski to, że zdecydowana większość sektora bankowego znaj-

eprasa.pl f6b46398b0



duje się w rękach zagranicznych. Mniej więcej w stosunku 60:40, z czego 60 proc. to majątek zagraniczny, 40 proc. krajowy. Dzięki tej transakcji odwróciliśmy tę proporcję. Chcemy pomnażać nasz majątek, a nie sprzedawać.

I dlatego zmiana nazwy resortu na Ministerstwo Aktywów Państwowych? Czy ta nazwa nie jest zbyt nieprzystępna w odbiorze?

Ministerstwo Skarbu Państwa było kontynuacją Ministerstwa Przekształceń Własnościowych. Głównym celem była prywatyzacja. Złym symbolem takiej polityki jest Janusz Lewandowski. Nas nie interesuje taka forma zarządzania. Dziś tworzymy resort zupełnie inny, nowy. W żadnym wypadku nie kompatybilny z modelem Ministerstwa Skarbu Państwa.

Ministerstwo Skarbu Państwa zostało zlikwidowane, spółki trafiły we władanie premiera i poszczególnych ministrów, teraz resort jest reaktywowany. Wicepremier Jarosław Gowin powiedział, że tamta decyzja była błędem. Wówczas argumenty „za" były np. takie, że likwidacja ministerstwa przyniesie oszczędności. To się nie udało?

Dlatego, że właściwie ministerstwo wówczas zniknęło, ale nie zniknęli ludzie i struktury. Dzisiaj mamy taką sytuację, że w ministerstwach mamy departamenty nadzoru właścicielskiego, skarbu państwa, w których pracują zazwyczaj byli pracownicy Ministerstwa Skarbu Państwa. Oszczędności to tylko jeden z argumentów. Oszczędności były rzeczywiście, ale w komórkach obsługowych.

> 99 proc. spółek przejdzie do Ministerstwa Aktywów Państwowych. Z dopuszczanych wyjątków będzie chociażby obszar gospodarki morskiej, który zostanie przy panu ministrze Marku Gróbarczyku

Zgadza się pan, że to był błąd?

Nie zgadzam się z tym, bo ten etap był potrzebny. Dziś musimy zbudować taki model, który moim zdaniem jest modelem optymalnym. To model resortu, który łączy w sobie dwa zadania: z jednej strony nadzór właścicielski skarbu państwa, w sensie dbania o to, czy w firmach nie ma błędnych decyzji podejmowanych przez zarządy. I koordynowanie rad nadzorczych. Jest też ogromny drugi obszar, czyli koordynowanie polityki spółek skarbu państwa, polegającej chociażby na generowaniu wspólnych inwestycji. Tak, żeby uzyskać efekt synergii z połączenia firm, które działają w podobnym

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f6b46398b0

obszarze, ale nie powinny z sobą konkurować.

Dobrym przykładem jest fuzja Orlenu i Lotosu. Nadal trwa proces łączenia tych spółek.

Jest on mozolny i trudny, bo potrzebne są tutaj również zgody Komisji Europejskiej. To jest przeszkoda na dzisiaj. Musimy przekonać naszych partnerów europejskich, że nie będzie zbytniej koncentracji na polskim rynku. Mówimy przecież o państwowych majątkach.

Według raportu OECD tylko Francja ma więcej majątku państwowego. My jesteśmy na drugim miejscu.

To jest kwestia tego, czy państwo powinno mieć instrumenty do tego, aby być graczem na rynku gospodarczym. My uważamy, że tak.

Prof. Leszek Balcerowicz powiedziałby, że to jest nacjonalizacja majątku.

To nie jest nacjonalizacja, bo my nikomu nic nie zabieramy. Nacjonalizacja źle się kojarzy z czasami komunistycznymi, kiedy państwo przejmowało majątek prywatny. My nie walczymy z prywatnym biznesem. Wspieramy i uruchamiamy mechanizmy podatkowe, prawne do tego, żeby ten biznes się rozwijał. Tam, gdzie państwo ma swoją władzę w gospodarce, swoje udziały w firmach, staramy się to wykorzystywać. Nie tylko w celu biznesowym, ważnym dla danej firmy, lecz także po to, by przyspieszać rozwój Polski. A to się będzie przekładało na poziom życia Polaków. Szybki rozwój zapewniają spółki skarbu państwa, bo mają warunki do tego, żeby potężnie inwestować. A to dlatego, że wypracowały przez ostatnie cztery lata ogromne zyski. Ogromnie zyskały również te firmy, które balansowały na granicy upadłości za rządów naszych poprzedników. Przykładowo, były premier Donald Tusk rozważał prywatyzację PLL LOT SA, natomiast za naszych rządów spółka otworzyła wiele nowych połączeń międzykontynentalnych, w tym do Miami, Tokio czy Singapuru. Systematycznie zwiększa się liczba pasażerów, która planowo ma przebić 10 mln w 2019 r. To ta ekspansja pozwoliła dwukrotnie w ostatnich latach uzyskać przez LOT tytuł Najlepszej Linii w Europie Wschodniej. Warto również zwrócić uwagę na Grupę Orlen, która mocno poprawiła swoje wyniki finansowe i dzisiaj rzeczywiście ma znaczące środki pozwalające na inwestycje w obszarze paliwowym czy energetycznym. Przez osiem lat rządów PO i PSL zysk PKN Orlen wyniósł jedynie 2,9 mld zł, a tylko przez trzy i pół roku za rządów PiS było to ok. 21 mld zł.

Po ogłoszeniu decyzji o powołaniu kierowanego przez pana ministerstwa padały zapewnienia, że państwo nie będzie sprzedawało swoich sreber rodowych. To piękne określenie.

To taka przenośnia, natomiast nasza nazwa nie jest tylko techniczna, ona jest również po to, by podkreślać profil resortu. Nie chcieliśmy nawiązywać do nazwy „skarb państwa", bo ona rzeczywiście mocno się zrosła z poprzednim modelem zarządzania spółkami. Chcieliśmy podkreślić wprowadzenie nadzoru właścicielskiego. Podkreślić nową jakość. Przyglądaliśmy się też europejskim instytucjom, gdzie tego typu ministerstwa czy agencje rządowe istnieją. I wydawało się, że określenie „aktywa państwowe" jest dobrym terminem. Ono pokazuje, że państwo rzeczywiście dysponuje swoimi aktywami. Przygotowaliśmy też nazwę, która mówiła o zasobach państwowych, ale zasoby państwowe to jednak jest znacznie szerszy zakres, bo to są też zasoby naturalne, jak lasy, wody i ludzie. Takich ambicji ani ja, ani ci, którzy te decyzje polityczne podejmowali, nie mieliśmy. Działalność tego resortu będzie się ograniczać do działania w sferze podmiotów gospodarczych.

Już słyszymy o tym, że z pańskich kompetencji będzie wyłączone kilka spółek. To TVP, Polskie Radio, Polska Agencja Prasowa, które mają zostać przy resorcie kultury, ale też PWPW czy Agencja Mienia Wojskowego. Dlaczego?

Nie da się wrzucić wszystkich spółek do jednego worka. To są spółki specyficzne w swojej formie. Podlegały swego czasu ministrowi skarbu państwa, ale jednak gospodarczy charakter tego resortu powoduje, że tego typu instytucje jak telewizja, czy radio pozostają poza tym obszarem. Te spółki mają misję publiczną do spełnienia i tutaj zysk ekonomiczny nie jest najważniejszy. Tym bardziej że te spółki podlegają także Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji oraz Radzie Mediów Narodowych. Nie ma sensu wprowadzanie tam jeszcze dodatkowego elementu nadzorczego. Podobnie jak w przypadku Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych, gdzie nie jest potrzebny dodatkowy nadzór. To instytucja zajmująca się produkowaniem dokumentów państwowych, ściśle związana z działalnością Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji.

To ile z ponad 300 spółek przypadnie panu we władanie?

99 proc. spółek przejdzie do MAP. Z dopuszczanych wyjątków będzie chociażby obszar gospodarki morskiej, który zostanie przy panu ministrze Marku Gróbarczyku. Kiedy cztery lata temu tworzyło się to Ministerstwo Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej, już wtedy podjęto decyzję, że w dziale administracji tego ministerstwa jest zapisany również nadzór właścicielski nad przedsiębiorstwami z tego zakresu. Ale mimo to przemysł stoczniowy był nadzorowany przez różne podmioty: Ministerstwo Obrony Narodowej i Agencję Rozwoju Przemysłu. Teraz będzie dobry moment, żeby rzeczywiście te rozproszone zarządzanie polskimi stoczniami, a często tym, co z nich zostało, trafiło do ministra gospodarki morskiej. To pozwoli skuteczniej odbudowywać tę gałąź przemysłu zniszczoną za rządów Donalda Tuska.

Spółki energetyczne, po likwidacji Ministerstwa Energii i odwołaniu Krzysztofa Tchórzewskiego, przechodzą jednak w pańskie kompetencje. Pan będzie decydował także o cenach

eprasa.pl f6b46398b0

prądu. Ministerstwo Klimatu nie będzie się tym zajmowało. Dlaczego?

Ministerstwo Energii łączyło kilka różnych funkcji: politykę energetyczną państwa włącznie z transformacją energetyczną i nadzór nad spółkami energetycznymi. Jesteśmy w UE i są pewne przyjęte przez rządy naszych poprzedników zobowiązania klimatyczne. To powoduje, że polityka energetyczna jest dziś trudna. Nasza energetyka oparta jest na węglu i długo tak jeszcze pozostanie. Opłaty emisyjne powodują z kolei, że cena energii obiektywnie wzrasta. Ogromną rolę odegrał minister energii, który tę politykę umiejętnie prowadził i uniknął podwyżek. Do obowiązków tego resortu należało też zarządzanie złożami, czyli górnictwo, które jest ważną częścią polskiej gospodarki. Teraz zapadła decyzja, że taki rozdział obu ministerstw będzie najbardziej optymalny w świetle stojących przed nami nowych wyzwań. Dlatego powstało Ministerstwo Klimatu, które będzie działało w sferze kształtowania polityki klimatycznej. Można powiedzieć, że to będzie ministerstwo energii i klimatu, bo te dwie sprawy są z sobą nierozłącznie związane. W MAP pozostanie część gospodarująca złożami, nie tylko węgla kamiennego, lecz również gazu, miedzi, siarki i innych, oraz nadzór właścicielski. Nie tylko nad energetyką, lecz właśnie nad całością spółek skarbu państwa.

Spółki energetyczne sporo zainwestowały, choćby w budowę nowego bloku elektrowni w Ostrołęce. Inwestycja budzi kontrowersje. Będzie audyt? Fuzje? Zamknięcia?

Audyt jest konieczny wtedy, kiedy następuje nowe otwarcie. A my mówimy o kontynuacji nadzoru, który był stosowany również przez ministrów tego rządu. Ufam rządom Prawa i Sprawiedliwości. Nie mam też sygnałów, by w spółkach były nieprawidłowości. Oczywiście zawsze można oceniać prawidłowość pewnych decyzji podejmowanych przez poszczególne spółki, ale to są podmioty gospodarcze, które mają prawo do tego, żeby samodzielnie decydować o swojej działalności. Minister ma możliwość wpływania na decyzje spółek poprzez swoich przedstawicieli – chociażby w radzie nadzorczej. Wpływa także na to, jak wyglądają zarządy. W żadnym wypadku nie mam zamiaru z tych kompetencji rezygnować. I zamierzam stosować je tam, gdzie stwierdzę, że zarządzanie nie jest tak efektywne, jak być powinno.

> W żadnym wypadku odejścia prezesa Krupińskiego nie należy traktować jako odbierania komukolwiek wpływów. To była jego suwerenna decyzja

Wymieni pan zarządy spółek?

Nie jest moją intencją masowa wymiana szefów spółek. Wiem, że była budowana w mediach narracja, że stanę na czele resortu, którego głównym zadaniem będzie wymiana prezesów. Żadnej rewolucji personalnej nie przewiduję. Nie wykluczam jednak, że zmiany w najważniejszych spółkach nastąpią, jednak w tym momencie nie mogę zapowiedzieć, jakie to będą zmiany.

Mówiło się także, że będzie pan pilnował wpływów poszczególnych frakcji Zjednoczonej Prawicy w spółkach. Do dymisji podał się już Michał Krupiński, prezes Pekao SA. To umniejszy wpływy Zbigniewa Ziobry? Czy to ma przełożenie na funkcjonowanie spółek?

W żadnym wypadku odejścia prezesa Krupińskiego nie należy traktować jako odbierania komukolwiek wpływów. To była jego suwerenna decyzja. Pani pytanie jest dowodem na emocje, jakie budzą zmiany w zarządach najważniejszych spółek. To naturalne, ponieważ mamy za sobą już 30 lat doświadczeń. Obecnie standardy zarządzania są nieporównywalnie wyższe. W ciągu czterech lat udało nam się poprawić to, co zastaliśmy. I nie chodzi tu o to, by jedne wpływy ograniczać, a inne zwiększać. Państwowymi firmami muszą zarządzać profesjonaliści, natomiast nie da się tu całkiem uniknąć polityki. Ministerstwo jest częścią rządu. Nie jest to urząd apolityczny kierowany przez urzędników. Także Ministerstwo Aktywów Państwowych jest kierowane przez polityków i mogę dzisiaj powiedzieć, po podpisaniu umowy koalicyjnej Zjednoczonej Prawicy, że jej elementem są wiceministrowie mojego resortu. Będą reprezentować pozostałe partie, Solidarną Polskę i Porozumienie Jarosława Gowina. Jestem pewien, że stworzymy dobrą ekipę współpracującą przy realizacji jednego celu – inwestowania w rozwój Polski.

W tym kontekście jest mowa także o Centralnym Porcie Komunikacyjnym. Teraz spółka przejdzie w pańskie ręce. Jest nowy pełnomocnik rządu ds. CPK Marcin Horała. Prace przyspieszą?

CPK będzie w moim ministerstwie. Pełnomocnik rządu Marcin Horała jest przypisany do Ministerstwa Infrastruktury i to na tym resorcie będzie spoczywał obowiązek przyspieszenia tych działań. Nie chcę przez to mówić, że to, co dotychczas się działo, nie miało tego oczekiwanego dynamizmu. Zdaję sobie sprawę, że ta inwestycja wymaga ogromnego przygotowania. Działań niewidocznych dla opinii publicznej, bo nikt tam jeszcze nie wbił łopaty w ziemię. Trzeba stworzyć dokumentację, uzyskać pozwolenia, a także akceptację społeczną, bo w warunkach państwa demokratycznego to konieczne. I dobrze. Za cztery lata ten projekt nie będzie już tylko w obszarze działań niewidocznych. To jest cywilizacyjna inwestycja powodująca, że Polska stanie się potężnym graczem.

eprasa.pl f6b46398b0

Zadanie dla Kaczyńskiego



W chwili gdy piszę ten tekst, trwa fatalny dla kraju zamęt wokół osoby prezesa Najwyższej Izby Kontroli. Wolno żywić nadzieję, że gdy za kilka dni ten numer tygodnika znajdzie się w ręku czytelnika, rzecz będzie już zakończona w jedyny racjonalny sposób: dymisją Mariana Banasia



JAN ROKITA

Jednak na razie sporo wskazuje na to, iż w krótkim czasie może to nie nastąpić. Widać bowiem wyraźnie, że Banaś należy do tego, wcale licznego gatunku polityków, którzy broniąc się przed stawianymi im zarzutami karnymi, będą próbować użyć rządzonej przez siebie instytucji jako *sui generis* „obronnej twierdzy", która wraz z ich upadkiem również ma lec w gruzach. Z winy Banasia NIK znalazła się bowiem w sytuacji paraliżu, co łatwo można było zaobserwować podczas niedawnego posiedzenia sejmowej komisji kontroli, zamienionego w na poły skandal, na poły sensację. Oznacza to, że atrofia dotyka jedynej w istocie państwowej instytucji, mającej władzę prowadzić z zewnątrz audyt całego państwa, w tym zwłaszcza newralgicznej sfery finansów publicznych.

Prezes NIK stoi w obliczu formalnych oskarżeń ze strony dwóch państwowych instytucji. Generalny Inspektor Informacji Finansowej (GIIF) oskarża go o nadużycia podatkowe przy prowadzeniu spraw sławetnej już krakowskiej kamienicy (tak przynajmniej ustalili dziennikarze, bo sam GIIF treść swego doniesienia obkłada klauzulą tajności), Centralne Biuro Antykorupcyjne zaś o ukrywanie źródeł majątku i składanie fałszywych deklaracji majątkowych. Krótko mówiąc, rzecz jest arcypoważna, bo dotyczy prania brudnych pieniędzy. Ale to przecież nie wszystko. Bodaj najmniej „sensacyjna" gazeta, jaką jest „Rzeczpospolita", publikuje cały cykl śledczych tekstów na temat roli obecnego prezesa NIK w ochranianiu uczestników mafii vatowskiej zatrudnionych w Ministerstwie Finansów. Głośny reportaż TVN niedwuznacznie zaś sugeruje współpracę prezesa NIK z krakowskim gangiem sutenerów. W jakim stopniu owe dziennikarskie ustalenia pokrywają się z ustaleniami raportu służb specjalnych, pozostaje niestety tajemnicą. Dla zdrowia polskiego życia publicznego wiedza o rzetelnym stanie spraw, ustalona przez służby specjalne, jest o wiele lepsza niż krążące w opinii publicznej coraz to nowsze i coraz bardziej niestworzone podejrzenia i pogłoski. Premier Mateusz Morawiecki popełnia błąd, nie nakazując w takich warunkach publikacji raportu służb. Żądania opozycji w tej sprawie są uzasadnione. Jawność ustaleń dotyczących prezesa NIK nie zagraża przecież dzisiaj żadnemu realnemu interesowi publicznemu. A jeśli w owym raporcie są dane dekonspirujące służby specjalne, to nie ma nic prostszego, jak zastrzec tego rodzaju informacje, tak jak robiono to wielekroć przy materiałach wyprodukowanych przez służby.

Utajnianie kluczowego raportu to zresztą niejedyny błąd Morawieckiego w tej sprawie. Wicepremier Jacek Sasin ma zapewne rację, przekonując opinię publiczną, iż służby specjalne nie miały możliwości „zablokowania" kandydatury Banasia na szefa NIK. Kandydatura była zgłoszona przez partię rządzącą, co w praktyce oznacza wyznaczenie Banasia do nowej roli w NIK przez szefa partii Jarosława Kaczyńskiego. Jednak Morawiecki od września 2016 r. – odkąd objął urząd ministra finansów – przez całe ostatnie trzy lata był bezpośrednim, a potem pośrednim zwierzchnikiem Banasia. Obowiązkiem zwierzchnika było zebranie w podległych mu służbach wiedzy na temat dziwnych (delikatnie mówiąc) interesów urzędnika, któremu oddawał tak newralgiczne uprawnienie, jak nadzór nad całością służb fiskalnych państwa. I to tym bardziej że Banaś otrzymał tę władzę w okresie reform organizacji służb fiskalnych oraz szczególnego nacisku politycznego, jaki PiS i rząd położyły na likwidacji tzw. luki vatowskiej i zwiększeniu dochodów państwa z tego podatku. Są tylko dwie

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f6b46398b0

możliwości. Albo Morawiecki nie podjął w ogóle takich kroków, co byłoby niezłym argumentem na rzecz tezy o „tekturowej" w gruncie rzeczy konstrukcji naszego państwa, wbrew wszystkim propaństwowym sloganom głoszonym z takim upodobaniem przez premiera. Albo też premier zebrał jakąś wiedzę o naturze pozasłużbowych interesów Banasia, ale ją zlekceważył. To z kolei świadczyłoby o niskich standardach w dziedzinie etyki władzy.

W końcu kiedy w ostatnich dniach kryzys wokół Banasia sięgał zenitu, szef rządu nie powinien był jednak włączać się w wywieranie publicznej presji na rzecz dymisji prezesa NIK. To owszem jest zadanie dla partii, która dokonała błędnego (jak przyznał wiceprezes PiS Adam Lipiński) wyboru kandydata. Jednak podsycające nerwowość zapowiedzi premiera, że „jeszcze nie przeczytał raportu służb", ale jak przeczyta, „to może zadzwoni do prezesa NIK w sprawie jego dymisji", stworzyły niedobrą sytuację pomieszania instytucjonalnych zadań w państwie. A już całkiem nieprzemyślane były zapowiedzi premiera, że Banaś „ustąpi jutro". Przede wszystkim, nie ustąpił w tamten piątek, więc Morawiecki dał się wystrychnąć na dudka. Ale co ważniejsze, szef rządu nie jest od tego, aby publicznie domagać się dymisji szefa NIK. Izba jest w polskim ustroju głównym organem kontrolującym rząd. Naturalną rzeczą byłoby więc, gdyby to prezes NIK po jakiejś hipotetycznej, druzgocącej dla rządu kontroli uznał za stosowne zasugerować publicznie ustąpienie premiera. Sytuacja odwrotna, niezależnie od wszystkich szczegółowych okoliczności, jest złym ustrojowym precedensem. Nie mówiąc już nawet o spekulacjach niektórych mediów (m.in. „Rzeczpospolitej"), iż to właśnie owa otwarta presja szefa rządu utrudniła, zamiast ułatwić, rozwiązanie zapętlonego problemu.

Ryzykowne są także zapowiedzi polityków obozu rządowego (m.in. marszałek Sejmu Elżbiety Witek i wicepremiera Jarosława Gowina) na temat tzw. planu B, gdy idzie o metodę usunięcia Banasia z urzędu. Miałoby to stać się za sprawą specjalnej ustawy, która wprowadziłaby do systemu prawnego dodatkową przesłankę odwołania prezesa NIK, przypuszczalnie odnoszącą się do sytuacji, w której staje on wobec postawionych zarzutów karnych. Zapewne jest kwestią dni, kiedy na skutek oskarżeń ze strony CBA i GIIF Banaś stanie pod formalnymi zarzutami prokuratora. Rzecz jednak w tym, iż prezes NIK to jeden z nielicznych urzędów publicznych w Polsce, wobec których konstytucja precyzuje czas jego kadencji (sześć lat). Utrwalony dobry zwyczaj konstytucyjny przesądza, że w takich razach wcześniejsze usunięcie kogoś z urzędu jest możliwe tylko na skutek skazującego wyroku sądowego albo stanu zdrowia wyłączającego trwale możliwość sprawowania funkcji. Dość przypomnieć, że w nieco podobnej sytuacji z pierwszą prezes Sądu Najwyższego Małgorzatą Gersdorf PiS musiało wycofywać się ze skrócenia kadencji pod pretekstem emerytalnym, na skutek zarządzenia unijnego trybunału. Ale nawet abstrahując od tamtej nauczki, sam szacunek dla dobrych i trwałych zwyczajów konstytucyjnych jest niezwykle cenny dla jakości ustroju. I w żadnym razie nie warto poświęcać go tylko po to, aby rzekomo „łatwiej" rozwiązać polityczny kłopot z Banasiem.

> Trzeba zapobiec kompromitującemu paraliżowi NIK, ale ochraniając przy tym dobre i budujące ustrój państwa zwyczaje konstytucyjne

W jakimś sensie ma rację lider opozycji Grzegorz Schetyna, gdy z nieskrywaną satysfakcją mówi, iż teraz PiS „musi ponieść odpowiedzialność za swoje winy". Tego rodzaju szyderstwo z władzy, która sama wpędziła się w obecny kłopot, jest (jak zwykło się mawiać) „zbójeckim prawem opozycji". Źle, że kulminacja kryzysu przypadła akurat na dni, kiedy Jarosław Kaczyński udał się na zaplanowaną wcześniej operację do szpitala. To bowiem prezes partii jest jedyną osobą, która powinna znaleźć polityczny sposób na zmuszenie szefa NIK do podania się do dymisji. Bracia Kaczyńscy „stworzyli" niegdyś Banasia, który Jarosławowi i Lechowi zawdzięcza całą swoją wieloletnią urzędniczą i polityczną karierę. Nie była to bynajmniej kariera oczywista. A przed nominacją Banasia na ministra finansów publicznie przestrzegał nawet Jerzy Kropiwnicki, minister w wielu dawniejszych rządach, obecnie zaś wysłannik PiS do Rady Polityki Pieniężnej. Teraz trzeba zapobiec kompromitującemu paraliżowi NIK, ale ochraniając przy tym dobre i budujące ustrój państwa zwyczaje konstytucyjne przed jakimiś fatalnymi precedensami. To nie jest łatwe zadanie, dlatego nadaje się ono dla prezesa PiS.

I jeszcze jedno. PiS broni się w sposób, który niestety już utrwalił się na dobre w polskiej polityce: atakując przeciwników. Ujawnione przez prasę partyjne „przekazy dnia" nakazują krytykować PO za zachowanie wobec poprzedniego szefa Izby Krzysztofa Kwiatkowskiego. Ale w rzeczywistości analogia pomiędzy tymi dwoma przypadkami nie istnieje. Istotnie Kwiatkowski stanął pod zarzutami karnymi i długo nie składał urzędu, ba... nawet nie był do tego zachęcany przez PO i PSL, które go na ów urząd wysłały. Tyle że zarzuty wobec Kwiatkowskiego dotyczyły tego, iż w trakcie konkursowej procedury obsadzania szefów delegatur NIK konsultował kandydatury z lokalnymi politykami. Całkiem możliwe, że Kwiatkowski naruszył w ten sposób procedury. Ale wolno przypuszczać, że w identyczny sposób naruszali je bodaj wszyscy prezesi NIK, gdyż są to procedury wadliwe. Trudno przecież wyobrazić sobie szefa państwowej instytucji, który wykazuje całkowity brak zainteresowania co do tego, kto w niej obejmie stanowisko dyrektorskie i z definicji lekceważy w tej materii opinie polityków. Hipotetyczna wina Kwiatkowskiego ani nie dyskredytowała go moralnie, ani nie paraliżowała działania Izby. W przypadku Banasia obie te kwestie mają się dokładnie odwrotnie.

eprasa.pl f6b46398b0



Niegdyś twarzą „Kościoła otwartego” w Polsce była zasępiona, poorana zmarszczkami twarz Tadeusza Mazowieckiego. Dziś jest nią dziecięca buzia Szymona Hołowni. Czy wystartuje on w przyszłorocznych wyborach prezydenckich? Kto lansuje jego kandydaturę?

Szymon Hołownia.
Nowe oblicze „katolicyzmu otwartego”



GRZEGORZ GÓRNY

To, co zwykło nazywać się „Kościołem otwartym” w Polsce, od początku było projektem nie tylko religijnym, lecz także politycznym. Od poczęcia uwikłane zostało bowiem w światopoglądowe spory przebiegające nie tylko między Kościołem a władzą komunistyczną, lecz także w poprzek samego katolicyzmu. Lewica starała się zawsze wygrywać podziały wewnątrz Kościoła, licząc na jego osłabienie i skaptowanie części katolickich elit.

ZŁOTE LATA

W lutym 1957 r. kierownik działu filozoficznego „Po Prostu” Janusz Kuczyński opublikował na łamach tego popularnego wówczas tygodnika tekst „Miłość wojująca”. Dokonał w nim podziału na dwa rodzaje katolicyzmu: zły i dobry. Ten pierwszy to „katolicyzm instytucjonalny” (na czele z prymasem Wyszyńskim), który „odurza się smakiem władzy i panowania, »rząd dusz« dla sprawujących go podmiotów jest jedną z największych psychologicznych atrakcji”. Po drugiej stronie umieszczał natomiast „katolicyzm indywidualistyczny”, dla którego „religia jest sprawą prywatną, a nie publiczną, jest sprawą serc”.

Głównym dowodem na odurzanie się władzą przez „katolików instytucjonalnych” miał być krótkotrwały powrót katechezy do szkół zapoczątkowany w grudniu 1956 r. Dla Kuczyńskiego wydarzenie to oznaczało „łzy wielu polskich dzieci i cierpienie społecznych presji i często piekących epitetów”.

Podobny schemat myślenia przejął Adam Michnik, który w książce „Kościół, lewica, dialog” z 1977 r. zachęcał lewicę laicką, by szukała porozumienia z przedstawicielami katolicyzmu otwartego i tolerancyjnego. Do grona tego nie zaliczał jednak kard. Stefana Wyszyńskiego. Jego niepokój wzbudził choćby list duszpasterski wystosowany z okazji Wielkiego Postu 1970 r., w którym prymas stanowczo krytykował uczestników młodzieżowej rewolty ’68 w krajach zachodnich, nazywając ich „potężnym liczebnie pokoleniem »synów kłamstwa«”. Jak wspominał po latach Michnik: „W gronie komandoskim wciąż uważaliśmy Prymasa za naszego przeciwnika, w gruncie rzeczy sojusznika Gomułki, zagrożenie polskiej wolności i ostatnią podporę PZPR”.

Wspomniana książka „Kościół, lewica, dialog” zapoczątkowała późniejszy sojusz między „katolicyzmem otwartym” a „lewicą laicką”. Był on widoczny już w stanie wojennym, lecz w pełni ujawnił się po upadku komunizmu. Jego emanacją polityczną stały się kolejne partie: Ruch Obywatelski Akcja Demokratyczna (ROAD), Unia Demokratyczna (UD) i Unia Wolności (UW). W rządzie Tadeusza Mazowieckiego fotele ministerialne otrzymali przedstawiciele obu środowisk.

Funkcję platformy ideowej aliansu pełniły szpalty „Tygodnika Powszechnego” i „Gazety Wyborczej”, których wpływ

Fot. EastNews/Beata Zawrzel/REPORTER

eprasa.pl f6b46398b0

na opinię publiczną był wówczas przemożny.

Złotym okresem „katolicyzmu otwartego" okazały się lata 90. Nowe stulecie przyniosło jednak poważny kryzys. W 2001 r. UW nie dostała się do Sejmu, uzyskując zaledwie 3 proc. głosów. „Tygodnik Powszechny" systematycznie tracił czytelników. Zabrakło osobowości na miarę Jerzego Turowicza czy ks. Józefa Tischnera. Powstała pokoleniowa wyrwa. Ci, którzy pod koniec PRL jawili się nadzieją pisma, jak Adam Szostkiewicz, Jacek Żakowski, Krzysztof Burnetko, Jacek Rakowiecki czy Witold Bereś, pożeglowali w inne strony. Doszło do tego, że w 2007 r. na łamach „Rzeczpospolitej" Tomasz Terlikowski obwieścił wręcz koniec „katolicyzmu otwartego" w Polsce.

NIEDOSZŁA ŚMIERĆ I ODRODZENIE

Za tezami Terlikowskiego przemawiało kilka racji. „Katolicyzm otwarty" jako formacja przestał się liczyć w polityce. W sferze medialnej został natomiast w dużej mierze uzależniony od kapitału lewicowo-liberalnego. W 2007 r. grupa ITI, ówczesny właściciel TVN, przejęła 49 proc. udziałów w deficytowym „Tygodniku Powszechnym", rok później zaś uzyskała w nim pakiet kontrolny 53 proc. akcji. W 2007 r. medialny potentat uruchomił kanał Religia.tv, będący telewizyjną wypustką „katolicyzmu otwartego", stawiając na czele stacji ks. Kazimierza Sowę. Niektórzy publicyści żartowali wówczas, że gdyby nie Mariusz Walter i Jan Wejchert, to „Kościół otwarty" w Polsce przestałby istnieć.

Siłom lewicowo-liberalnym nigdy nie zależało na rozprzestrzenianiu się chrześcijaństwa, dlatego najczęściej traktowały swoich katolickich sojuszników instrumentalnie. Ci ostatni natomiast zbyt często dawali się sprowadzać do roli narzędzi w politycznych rozgrywkach. A jednak – wbrew prognozom Terlikowskiego – projekt o nazwie „katolicyzm otwarty" nie umarł, mimo że w 2010 r. „Tygodnik Powszechny" stanął na krawędzi upadku, a rok później wycofało się z niego ITI. Pismo odbudowało się jednak, a nawet zaczęło zyskiwać czytelników. Do szeroko rozumianego środowiska dołączył też założony w 2009 r. portal deon.pl, na którym regularnie zamieszczają swoje teksty m.in. ks. Jacek Prusak czy ks. Grzegorz Kramer.

> Start Szymona Hołowni w wyborach prezydenckich oznaczałby powrót „katolicyzmu otwartego" do sfery politycznej. Jednak w nowym wydaniu: już nie nobliwych mędrców czy inteligentów, lecz trefnisia z programu „Mam talent", obrońcy parad gejowskich i „fajnokatolika" prezentującego „dobroludzizm"

Przez lata zmieniła się też formuła „katolicyzmu otwartego". Pozbawiony reprezentacji politycznej, skoncentrował się na kulturze i religii. W tej ostatniej sferze coraz mocniej opowiada się za postulatami postępowych teologów, żądających zmiany nauczania Kościoła w sprawach moralnych i obyczajowych, m.in. feminizmu czy gender. Najbardziej widoczne jest to na łamach „Znaku" redagowanego od 2010 r. przez Dominikę Kozłowską.

Kontakt z TVN zaowocował wejściem niektórych przedstawicieli tego nurtu ideowego w świat kultury masowej. Sztandarowym przykładem jest zwłaszcza medialna kariera niedoszłego zakonnika Szymona Hołowni, który z katolickiego publicysty przeistoczył się w telewizyjnego celebrytę.

NOWA NADZIEJA „KATOLICYZMU OTWARTEGO"

Gwiazdor programu „Mam talent" od lat zaangażowany jest w debatę publiczną, stosujące zazwyczaj starą zasadę Adama Michnika, czyli stara się przedstawiać jako zdroworozsądkowy reprezentant złotego środka pomiędzy dwiema radykalnymi skrajnościami. O ile wcześniej pisał jednak dość uładzone teksty, o tyle od czasu wejścia do TVN dał się poznać jako coraz ostrzejszy polemista. Choć jego stanowisko było centrowe, jakimś dziwnym trafem zawsze mocniej obrywała prawa strona. W 2010 r. podczas sporu na Krakowskim Przedmieściu stwierdził, że „obrońcy krzyża splugawili krzyż". Pisał też o „grupie machających flagami i pochodniami krzykaczy, w których ten wypadek obudził demony".

W tym roku Szymon Hołownia coraz ostrzej atakuje niektórych hierarchów polskiego Kościoła, zwłaszcza tych, którzy jednoznacznie deklarują się po jednej ze stron wojny kulturowej, jaka toczy się dziś w naszym kraju. Winą za atak chuliganów i kibiców na marsz równości LGBT w Białymstoku obciążył np. tamtejszego ordynariusza abp. Tadeusza Wojdę, który wcześniej ogłosił list duszpasterski krytykujący homoparadę. Nie szczędził też słów krytyki pod adresem abp. Marka Jędraszewskiego za jego słowa o „tęczowej zarazie", pisząc na łamach „Tygodnika Powszechnego": „Niech jak najszybciej opustoszeją te kościoły, w których Pan Jezus jest członkiem PiS-u, w których szczuje się heteroseksualistów na gejów".

Hołownia zasłynął ostatnio z głoszenia dość oryginalnych poglądów teologicznych, zwłaszcza w odniesieniu do zwierząt. Podczas jednego ze spotkań autorskich stwierdził: „Mnie zwierzęta, które spotkałem w życiu, będą sądzić na sądzie ostatecznym. Ludzie i zwierzęta. Świat mnie będzie sądzić. Stworzenie mnie będzie sądzić". Z kolei w rozmowie z portalem deon.pl powiedział: „Ludzie nie widzą jednej podstawowej rzeczy, że Jezus stał się człowiekiem, ale też, przecież powtarzamy to w każde święta Paschy, stał się zwierzęciem".

Niedawno media obiegła wiadomość, że być może Szymon Hołownia wystartuje w przyszłorocznych wyborach prezydenckich. Gdyby to nastąpiło, byłby to powrót „katolicyzmu otwartego" do sfery politycznej, jednak w nowym wydaniu: już nie nobliwych mędrców z Koła Poselskiego „Znak" czy statecznych inteligentów z Komitetu Obywatelskiego, lecz trefnisia z „Mam talent", zdeklarowanego wegetarianina, obrońcy parad gejowskich i „fajnokatolika" prezentującego „dobroludzizm". Jedno się w tym czasie nie zmieniło: nadzieja lewicy na rozgrywanie podziałów w polskim Kościele.

eprasa.pl f6b46398b0

Będą w nas bili ze wszystkich stron

Gdy nie ma maksymalnej mobilizacji obozu patriotycznego, wraca III RP. To lekcja, którą każdy powinien wziąć do serca

Michał Karnowski rozmawia z Ryszardem Czarneckim, politykiem Prawa i Sprawiedliwości, posłem do Parlamentu Europejskiego

Cztery lata temu wywiad z wpływowym politykiem PiS oznaczał spotkanie z przedstawicielem formacji o ambicjach rewolucyjnej zmiany Polski i Europy, dziś coraz bardziej przypominacie niemiecką chadecję z lat 80 i 90. – sprawy klimatu na agendzie, próba wejścia do głównego nurtu w UE. Taki krajobraz wyłania się po wyborach. Zgadza się pan z takim opisem?

Ryszard Czarnecki: I tak, i nie. Wtedy zdobyliśmy władzę na fali buntu społecznego, po ośmiu latach bardzo niedobrych dla Polski rządów PO-PSL. Teraz tę władzę utrzymaliśmy, dobrze dźwigając odpowiedzialność za państwo. To jest zatem inny moment, inna jest także nasza pozycja w Unii Europejskiej. Ale cel – silna Polska w Europie – pozostaje bez zmian. Przypomina mi się w kontekście PiS i Polski – bo dobrze pasuje – hasło wyborcze polityka akurat socjalistycznego, François Mitterranda, z jego pierwszej zwycięskiej kampanii prezydenckiej w 1981 r.: „Spokojna siła".

Brzmi znajomo – pamiętamy „siłę spokoju" Tadeusza Mazowieckiego.

Nieprzypadkowo, bo zapewne francuscy doradcy Tadeusza Mazowieckiego skorzystali z tego wzorca. Nam „siła spokoju" kojarzy się fatalnie, ale francuski oryginał dobrze oddaje, czym



eprasa.pl f6b46398b0

PiS chce być w wymiarze zewnętrznym i krajowym.

Gdzie jest istota tej korekty, gdzie ona się dokonuje? Już nie mierzycie się z III RP? Nie chcecie zmieniać reguł gry?

Sam fakt istnienia rządu obozu patriotycznego oznacza diametralną zmianę polityki historycznej i daleko idące rozliczenia z postkomunizmem. Jeżeli one jeszcze nie są w pełni takie, jak by wielu chciało, to warto pamiętać, iż polityka jest sztuką osiągania rzeczy możliwych w danym miejscu i czasie. Warto porównać to, co my robimy w tym obszarze, z tym, czego nie robili nasi poprzednicy, którzy dziedzictwo postkomunizmu w każdym wymiarze utrwalali.

Tu zgoda, ale Budapesztu nad Wisłą, rozumianego jako dogłębna w każdym wymiarze przebudowa państwa, nie ma i nie będzie?

Polska jest Polską, a Węgry – Węgrami. Mamy inną sytuację w polityce krajowej. Ale te różnice są widoczne także w podejściu do Rosji czy stosunku do Unii. Viktor Orbán w Budapeszcie bardzo ostro krytykuje brukselską biurokrację, Komisję Europejską, ale jak przyjeżdża na posiedzenia Rady Europejskiej, to zwykle jest gołębiem, a nie jastrzębiem. A my mamy generalnie ten sam przekaz w sprawach europejskich i w Warszawie, i w Brukseli. A przebudowa polskiego państwa nadal jest naszym celem.

Może Orbán ma rację, pilnując, by na podwórku krajowym nikt mu z prawej strony ponownie nie wyrósł? Premier Mateusz Morawiecki kilkadziesiąt razy odmieniał słowo „normalność" i to exposé zrobiło dobre wrażenie na Polakach. Ale długoterminowo trzeba się będzie mierzyć z presją z dwóch stron – ideologicznie nakręconej Lewicy i narodowej, jadącej bez żadnych hamulców, podpalającej emocje, Konfederacji. Czy da się tu wygrać tą „normalnością"?

To prawda, że ta kadencja będzie dużo trudniejsza niż poprzednia, bo musimy grać w coś, co przypomina grę w dwa ognie – będzie w nas biła Konfederacja z jednej, Lewica z drugiej strony, a nie zapominajmy o Platformie Obywatelskiej i sprzyjających jej mediach, a więc głównej sile opozycyjnej. Znacznie trudniejsza będzie także sytuacja gospodarcza. Rząd do tej pory świetnie sobie radził, skutecznie uciekaliśmy przed spowolnieniem, które dopadło naszych sąsiadów. Ale siłą rzeczy Polska nie jest samotną wyspą w gospodarce europejskiej i z tym spowolnieniem też będziemy musieli się zmierzyć, choć później niż inni. Tym bardziej Polacy będą chcieli normalności, choć ja dodaję od siebie: na najwyższym możliwym poziomie gospodarczym i socjalnym. Ta normalność to także szacunek dla wartości rodzinnych, respekt dla tradycji narodowej. A to nie jest oczywiste dla opozycji, bo słychać, co wygadują liderzy SLD, widać, jak przywracają komunistyczne nazwy ulic politycy PO.

Sama PO nie brzmi już dzisiaj archaicznie w swojej totalności? Wiele jest takich głosów – cztery lata minęły, a oni się zachowują, jakby był 2015 r. i właśnie stracili władzę. Nie rozwijają się, nie modernizują. Dalej straszą PiS.

Może i tak, ale w politycznym realu codziennie odcinają kupony od tego, że są największym antypisem. Jest prawdopodobne, że jednak wygrają bratobójczy wyścig w opozycji o to, kto ma się zmierzyć z prezydentem Andrzejem Dudą w drugiej turze. Zakładając, że ta druga tura będzie, ale trzeba się z tym liczyć. To petryfikuje obecny układ polityczny w opozycji, nawet jeśli nam się wydaje, że PO trąci myszką, a windy wiozą dziś do góry Lewicę czy w dużo mniejszej mierze także Konfederację.

Struktury i pieniądze mają znaczenie, ale Lewica znowu je ma – i w niektórych badaniach bardzo zbliża się do PO. Idą zmiany na scenie opozycyjnej?

Najważniejsze jest to, że Lewica rośnie dzisiaj głównie kosztem Platformy. Na dłuższą metę jest to dla PO ogromne wyzwanie. Czy to skłoni tę partię, jak chcą niektórzy zwolennicy Platformy i wspierający ją znani dziennikarze, do ustawienia się jako siły jednoznacznie liberalnej? Pokusa jest duża, ale też może prowadzić do zguby. Zwracam uwagę, że w 2/3 krajów europejskich liberałowie są mało liczącymi się przystawkami, a rządzą czy współrządzą tylko w 1/3 państw wspólnoty. To pokazuje szerszy trend.

W Holandii premier Mark Rutte wygrał ostatnie wybory. A to przecież superliberał.

Nie taki super, bo wygrał wybory – zresztą ponownie – dzięki podjęciu haseł antyimigranckich. PO taka nie jest i raczej się nie odważy, mimo iż jej nastawienie proimigracyjne jest wbrew jej wyborcom. Taka ciekawostka: badania wykazały, że 64 proc. wyborców PO jest przeciwne imigracji spoza Europy, głównie z krajów muzułmańskich, a wśród wyborców PiS tylko o kilka procent więcej.

Czyli pana zdaniem za wcześnie, by Platformę przekreślać?

Przestrzegam przed politycznym chowaniem PO i czegokolwiek lub kogokolwiek do grobu. Tu anegdota sprzed 27 lat. Rzecz się dzieje w czasie gniewnego wystąpienia przewodniczącego komisji finansów publicznych Henryka Goryszewskiego w Sejmie, który w kontekście ekspansji wówczas austriackich kasyn w Polsce i nacisków politycznych Wiednia w tej sprawie przywołuje ambasadora rosyjskiego Repnina z okresu rozbiorów I Rzeczypospolitej. Spora część posłów reaguje salwami śmiechu, bo wystąpienie choć merytorycznie uzasadnione, ale w sensie formy specyficzne i kontrskuteczne. Nachyla się wtedy do mnie ówczesny przewodniczący klubu parlamentarnego ZChN Stefan Konstanty hrabia Myszkiewicz-Niesiołowski i mówi: „Rysiu, Kobra jest skończony". A „Kobra", czyli Goryszewski, po dwóch miesiącach został wicepremierem w rządzie Hanny Suchockiej.

Jest pan politykiem mocno kojarzonym z centrum decyzyjnym PiS, znającym kuluary Nowogrodzkiej. Jak

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f6b46398b0

z tej perspektywy wygląda sytuacja wewnętrzna? Skrzydła nie chcą machać za bardzo? Frakcje nie rzucają się sobie do gardeł?

Prezes Jarosław Kaczyński uważa, że PiS nie jest ptakiem, więc skrzydeł nie powinno mieć. Jeśli są jakieś odrębne środowiska, to nie dzielą się według podziałów ideowych, ale grupują się wokół pewnych osób, co naturalne. Prezes bardzo dba o równowagę sił, by nikt nie miał poczucia, że jest pod ścianą lub dominuje.

Wicepremier Gowin realnie zablokował tzw. 30-krotność, więc jednak siłę mają.

Ale tu mówi pan już o czymś innym – pan Gowin nie jest w PiS, jest liderem partii Porozumienie. Koalicjanci to inna sprawa. To normalna rzecz, że jeżeli jakaś formacja ma kilka „szabel", to jest bardziej minimalistyczna w swoich postulatach, a jak ma kilkanaście, to pręży muskuły. Nie obrażajmy się zatem na naszych sojuszników, Jarosława Gowina czy Zbigniewa Ziobrę, że mają teraz większe ambicje. Możemy się natomiast niepokoić, gdyby zapomnieli – oni lub my – jak bardzo szkodzi całemu obozowi publiczne pokazywanie różnic. Zwłaszcza teraz, po tym, jak wygraliśmy wybory do Sejmu, ale może nie w takiej skali, jak liczyliśmy, a Senat został, może czasowo, ale jednak stracony. Dziś jedność powinna być elementem instynktu samozachowawczego.

W kuluarach PiS krąży wersja, że dobry wynik PiS to efekt zamrożenia rywalizacji wśród kandydatów partii, swego rodzaju zakazu podgryzania wskazanych liderów list. Nie obowiązywało to ludzi Gowina ani Ziobry, którzy na tym tle jawili się jako energiczni, dynamiczni i bardzo obecni. Zgadza się pan z tą teorią?

Nie, to nieprawdziwy opis. Brałem udział w kampanii i wiem, że jest wiele przykładów kandydatów z PiS, którzy z dalszych miejsc przebili się do Sejmu i kilku liderów czy współliderów list, którym poszło słabiej. Wyjaśnienie silniejszej, niż przewidywano, pozycji koalicjantów leży gdzie indziej. Po pierwsze, mniejszym środowiskom politycznym w ramach naszego obozu łatwiej się skupić na kampanii jednego kandydata na liście w okręgu i tam skoncentrować wszystkie siły. Po drugie, rzecz nie w tym, że koalicjanci mają po kilkunastu posłów, ale w tym, że PiS zdobyło poniżej 200 mandatów, a nie – jak szacowano – dwieście kilkadziesiąt.

> Nie radziłbym nikomu zakładać się, że obecna kompozycja Senatu przetrwa do 2023 r. Uważam, że mogą nastąpić zmiany, docierają różne sygnały

Gdzie tkwi przyczyna?

Nastąpiło wahnięcie części naszego elektoratu w miastach paradoksalnie w kierunku PSL, o czym świadczy choćby wybór posła ludowców z Warszawy, pierwszy raz od 1993 r.

Został nim Władysław Teofil Bartoszewski.

Kolejnym czynnikiem osłabiającym wynik PiS było przekroczenie progu wyborczego przez Konfederację.

Dlaczego te wahnięcia nastąpiły?

Myślę, że jest ziarno prawdy w analizach wskazujących, że pewne nasze obietnice w sferze społeczno-gospodarczej generowały obawy polskich przedsiębiorców, zwłaszcza mniejszych i średnich.

Co poszło nie tak w Senacie?

Marszałek Stanisław Karczewski powiedział mi parę tygodni przed wyborami, że według jego szacunków jest fifty-fifty, gdy chodzi o szanse na nasze zwycięstwo w wyborach senackich. Miał wiarygodne analizy, jak się okazało. Rację mieli też nasi przeciwnicy, którzy podobnie szacowali – miałem takie przecieki.

Zdecydowała formuła jedności opozycji, pakt senacki? Gdyby opozycja poszła razem do Sejmu, też by tam wygrała?

Nie, to tak nie działa. Przecież przećwiczono już ten wariant w wyborach do Parlamentu Europejskiego i tam taka formuła „wszyscy razem przeciw PiS" odepchnęła część wyborców. Wybory do Senatu też moglibyśmy zatem wygrać, mimo paktu senackiego. W mojej opinii pewna część naszych kandydatów uznała, że ponieważ sondaże są dobre, a oni mają znane nazwiska, to nie muszą już robić na maksa. Przeliczyli się, a my wraz z nimi. Tu była przyczyna porażki, tym bardziej że dotyczyło to niektórych okręgów, które można było teoretycznie uznać za bezpieczne, przychylne prawicy.

Kto konkretnie?

Nie namówi mnie pan na takie partyjne samobójstwo.

To odpowiem panu, co mówią ci przegrani senatorowie: nie mieli wsparcia ze sztabu, byli skazani na siebie. A w części okręgów partia wystawiła osoby nieznane, w oczach wyborców mało atrakcyjne. Dodam jeszcze: skoro wybory do Senatu miały taką wagę, może trzeba było powołać specjalny sztab zajmujący się tylko pomocą kandydatom w okręgach jednomandatowych?

Dotychczas nigdy żadna formacja polityczna takiego osobnego sztabu nie powoływała.

Nigdy nie było to tak ważne.

Zgadzam się, że należy wyciągnąć wnioski i w kolejnych wyborach mocniej się skoncentrować na wyborach do Senatu. Na pewno warto pamiętać, że o rządzeniu decyduje Sejm. A także o tym, że sporo silnych, popularnych, ważących politycznie nazwisk, lokomotyw wyborczych, wystartowało w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Siłą rzeczy zabrakło ich w wyborach do Sejmu i – może szczególnie – do Senatu. To koszt decyzji, która

eprasa.pl f6b46398b0

była jednak uzasadniona – zwycięstwo w majowych wyborach do PE, których zresztą nigdy wcześniej nie wygraliśmy! – dało naszej formacji silną pozycję wyjściową do najważniejszych wyborów: sejmowych, i na długo osłabiło opozycję.

Senat jest stracony dla prawicy na cztery lata?

Nie radziłbym nikomu się zakładać, że obecna kompozycja Senatu przetrwa do 2023 r. Uważam, że mogą nastąpić zmiany, docierają różne sygnały. Teraz presja na senatorów ze strony ich opozycyjnych partii jest ogromna, ale co będzie, jeśli wygramy wybory prezydenckie? Wtedy przed nami trzy i pół roku bez wyborów i niektórzy senatorowie mogą krytyczniej ocenić własne formacje totalnej opozycji.

O ile wygracie.

Prezydent ma wielką szansę na reelekcję, ale zwycięstwo nie będzie położone na tacy. Na pewno jedno już mu sprzyja – nie ma prawyborów całej opozycji, nie będzie jednego kandydata, trwa tam realna, krwawa przedwyborcza bitwa. Dla naszego zwycięstwa kluczowa będzie mobilizacja społeczna. Paradoksalnie to, że przegraliśmy Senat, będzie jej sprzyjało.

Bo ludzie zobaczyli, że rządy dobrej zmiany nie są oczywiste?

Tak, dla wielu to zimny prysznic. Gdy nie ma maksymalnej mobilizacji obozu patriotycznego, wraca III RP. To lekcja, którą każdy powinien odrobić.

Jest szansa na pierwszą turę?

Będzie to bardzo trudne. Naszą szansę można upatrywać w tym, że wyborcy PSL i innych formacji, także tych o profilu konserwatywnym, nawet wbrew swoim liderom partyjnym poprą Andrzeja Dudę. Bardziej może w drugiej niż pierwszej turze. Bo widzą, że partie przez nich popierane akurat w wyborach prezydenckich grają w scenariuszu lewicowo-liberalnym. Tak się zresztą już zdarzyło w 2015 r., kiedy wyborcy PSL nie posłuchali apeli swoich liderów, by głosować na Bronisława Komorowskiego, i poparli Andrzeja Dudę.

Szymon Hołownia jest groźny?

To tylko pokazuje, jak rozpaczliwe jest tam szukanie kandydata, który albo byłby „czarnym koniem", w co wątpię, albo posłusznie poparłby w drugiej turze kandydata PO.

Tu dochodzimy do kwestii, jak czytać wyniki ostatnich wyborów – czy tak, że więcej głosów padło na formacje krytyczne wobec PiS, czy jednak w ten sposób, że prawie 11 mln wyborców opowiedziało się za formacjami choćby formalnie konserwatywnymi, chrześcijańskimi, niechętnymi lewicowym planom reedukacji Polaków?

Teza druga jest mi bliska. Czyli że jednak większość Polaków głosowała za obozem patriotycznym, za wartościami narodowymi. Przekonywająco mówił o tym marszałek senior Antoni Macierewicz. Poza tym mówienie o zwycięstwie antypisu w liczbie głosów jest jakimś kuriozum – mamy taką ordynację, a nie inną, i wszyscy grają wedle znanych reguł.

Opozycja liczy, że sprawa prezesa NIK Mariana Banasia do maja was pogrąży. Widzi pan takie ryzyko?

To na pewno nam nie służy.

Co, pana zdaniem, u progu kolejnej kadencji jest największym zagrożeniem dla obozu Jarosława Kaczyńskiego? Jest oczywiste, że narastają konflikty, ludzie odrywają się od wyborców?

Tego akurat nie widzę, prezes Jarosław Kaczyński pilnuje, by politycy prawicy wiedzieli, co ludzie mówią, czego chcą, i mieli „słuch społeczny". Największe ryzyko jest w poczuciu samozadowolenia i mylnym przekonaniu, że nie mamy z kim przegrać. Jeśli do tego dopuścimy, to przegramy.

Donald Tusk może namieszać?

Nie. Dziś widzimy, jak ważną i dalekowzroczną decyzję podjął Jarosław Kaczyński w 2016 r., kiedy zdecydował, by wystawić polskiego kandydata przeciwko kandydatowi innych państw Donaldowi Tuskowi w wyborach na szefa Rady Europejskiej.

> Ta kadencja będzie dużo trudniejsza niż poprzednia, bo musimy grać w coś, co przypomina grę w dwa ognie – będzie w nas biła Konfederacja z jednej, Lewica z drugiej strony, a nie zapominajmy o PO i sprzyjających jej mediach

I był łomot – 27:1.

Na dłuższą metę powiedzenie tej prawdy rozpoczęło proces totalnej erozji poparcia dla Tuska. Wielu ludzi zobaczyło, że to nie jest polityk umocowany w Polsce, że jest związany z innymi interesami. To miało fundamentalne znaczenie dla przebiegu dalszych wydarzeń i ma do dzisiaj. Uważam, że nie odegra już większej roli, przynajmniej w perspektywie najbliższych kilku lat. Jego rezygnacja z kandydowania w wyborach prezydenckich pokazuje, że jest chyba niezdolny do twardej, konsekwentnej walki politycznej w Polsce. Przecież kalendarz mu sprzyjał: koniec kadencji prestiżowej funkcji szefa Rady Europejskiej przypadł pół roku przed wyborami! A jednak oddał pole walkowerem. Natomiast na pewno będzie z Brukseli wbijał szpile, atakował z emigracji. Ale akurat jego ataki my, ludzie PiS, znosimy dość dobrze – w ostatniej kampanii wyborczej do europarlamentu jego aktywne wsparcie nie pomogło Koalicji Europejskiej, wręcz przeciwnie.

eprasa.pl f6b46398b0



Odpowiednie dać rzeczy słowo

Dzisiejsza dyskusja o feminizowaniu języka polskiego przypomina tę sprzed wieku, pytanie tylko, dokąd zmierza i jaka będzie jej kolejna odsłona



DOROTA ŁOSIEWICZ

Już drugi miesiąc trwa w Polsce odświeżona dyskusja o feminatywach, czyli żeńskich formach nazw zawodów i tytułów. Rozpętały ją lewicowe posłanki, zgłaszając do szefowej kancelarii Sejmu wniosek o „uwzględnienie ich płci" w nowej kadencji. Chodziło o stosowanie żeńskiej formy ich zawodu („posłanka") w dokumentach, na tabliczkach w sali plenarnej i kartach do głosowania.

„Brak żeńskich końcówek dowodzi dyskryminacji kobiet" – grzmiała na konferencji w Sejmie Joanna Senyszyn, posłanka Lewicy.

To już kolejna odsłona tej samej dyskusji, którą w 2011 r. rozpętał Ruch Palikota, wprowadzając do sejmowego języka formę „pani marszałkini". Przez Sejm przeprowadzono wówczas procedurę, dzięki której posłanki mogły oficjalnie korzystać (np. na tabliczkach na drzwiach) z formy żeńskiej. I tak mieliśmy w Sejmie np. tabliczkę: „Wicemarszałkini Wanda Nowacka". W 2012 r. swoje trzy grosze wrzuciła do tej dyskusji Joanna Mucha, która zażyczyła sobie, by tytułować ją „ministrą".

„Język jest odwzorowaniem rzeczywistości, a w rzeczywistości kobiety funkcjonują w sferze publicznej, choć w tej sferze są stosunkowo od niedawna. Wcześniej funkcjonowały głównie w sferze domowej. Gdy w 1918 r. kobiety uzyskały w Polsce bierne i czynne prawo wyborcze, pojawiła się potrzeba nazwania właściwymi słowy tej rzeczywistości i stąd właśnie lewica uważa za ważne, by zaznaczać, że kobiety są w tej sferze, mają prawo tam być i funkcjonować, ale także powinny być nazywane odpowiednią formą. Dla nas to jest bardzo ważne, by słowo odwzorowywało rzeczywistość, choć wiem, że są kobiety, które mają inną wrażliwość" – mówiła w studiu wPolsce.pl Wanda Nowicka, posłanka Lewicy.

„Ja należę do tej drugiej grupy – ripostowała Dominika Chorosińska, posłanka PiS. – Ja w ogóle nie mam takiej potrzeby, by manifestować swoją kobiecość przez końcówkę gramatyczną. Co więcej, wydaje mi się, że to słowotwórstwo może odbierać powagę kobietom. Ważna jest godność kobiety, walka o szacunek do niej, a słowo »pani« przed zawodem w zupełności wystarczy i tę godność oddaje. Czasem słowotwórcze neologizmy potrafią ośmieszać, warto więc kierować się zdrowym rozsądkiem" – tłumaczyła Chorosińska.

W podobnym duchu wypowiedział się prof. Jerzy Bralczyk, uznając, że w języku polskim żeńska końcówka nie dodaje wystarczającej powagi danej profesji, np. posłanki. W stacji TVN24 Bralczyk stwierdził, że w dyskusji, czy używać damskich końcówek, czy nie, dominują dwie tendencje. „Z jednej strony tradycja językowa, która jest ważna, bo to jeden z elementów, które nas otaczają w tej rzeczywistości, a z drugiej strony pewna chęć manifestowania tożsamości" – wskazywał.

– To, że język może dyskryminować, nie jest wyłącznie obserwacją paru feministek, ale stanowiskiem gremiów międzynarodowych – nie ma wątpliwości Wanda Nowicka. – To jest ważne dla młodych kobiet, żeby wiedziały, że mogą aspirować do stanowisk w sferze publicznej i temu służą formy językowe.

CZY TO BAJKA, CZY NIE BAJKA

Podobna dyskusja toczy się nie tylko w Polsce. W Wielkiej Brytanii argumenty podnosili krytycy jednego z odcinków znanej bajki dla dzieci. Jakiś czas temu znana i lubiana bajka „Świnka Peppa" znalazła się w ogniu krytyki środowisk postępowych. I to wcale – przynajmniej tym razem – nie

eprasa.pl f6b46398b0

dlatego, że rodzinę tworzy tam mama, tata i dwójka dzieci, ale z powodu użycia określenia „strażak". Londyńska straż pożarna skrytykowała popularny program telewizyjny dla dzieci, stwierdzając, że słowo „strażak" (ang. fireman) to „przestarzały stereotyp płciowy", który szkodzi próbom zatrudnienia większej liczby strażaków płci żeńskiej. Zamiast tego, jej zdaniem, używać się powinno słowa „firefighter". Odcinek, który został poddany krytyce, nosił tytuł „The Fire Engine" i zaczynał się od słów narratora o mamie Śwince ubranej jak strażak, czyli „fireman". W dyskusji podnoszono argument, że używanie nieaktualnych stereotypowych sformułowań dotyczących płci uniemożliwia młodym dziewczętom zostanie strażakami. Zresztą ta dyskusja na gruncie języka angielskiego także toczy się od dłuższego czasu i miewa różne odsłony. Była też afera o bałwana, który nie okazał się neutralny płciowo. Na dyskryminujący wpływ bałwanów na społeczeństwo zwróciła uwagę brytyjska dziennikarka podczas prowadzenia programu dla dzieci w stacji BBC CBeebies. Jednocześnie postanowiła być poprawna politycznie i zamiast słowa „snowmen" (lm. od rzeczownika bałwan, czyli snowman) użyła określenia „snowpeople" (śnieżni ludzie). Coraz częściej w języku angielskim dla określenia kobiety przewodniczącej używa się słowa „chairwoman" zamiast „chairman".

W polskiej dyskusji nad feminatywami często pojawia się argument, że tak naprawdę chodzi tu o pieniądze i status społeczny, gdyż za zawodami istniejącymi wyłącznie w męskiej formie często stoi właśnie kasa i prestiż, np. mecenas, a za żeńskimi, np. sprzątaczka – wręcz przeciwnie.

DAWNO, DAWNO TEMU

Choć walka o feminatywy budzi sporo emocji, warto zauważyć, że to nie jest wynalazek dzisiejszych lewicowych posłanek. „Wraz z pierwszymi doktorkami, asystentkami, habilitantkami i profesorkami pojawiły się też dylematy językowe. Już na początku XX w. czytelnik podpisujący się inicjałami X.M.J. pytał na łamach »Poradnika Językowego«, czy poprawne jest używanie tytułu »doktor« w odniesieniu do kobiety. Redakcja miesięcznika wskazywała na konieczność utworzenia formy żeńskiej »doktorka« na wzór „aptekarz – aptekarka", nawet wbrew upodobaniom bezpośrednio zainteresowanych". „W miarę przypuszczania kobiet do studyów uniwersyteckich może będziemy musieli stworzyć jeszcze i magisterkę (farmacyi), a może i adwokatkę, i nie cofniemy się przed tem, czego różnica płci wymaga od logiki językowej" – deklarowano. W tymże periodyku w 1904 r. wydrukowano zbiorowy protest czytelników „przeciwko gwałceniu języka polskiego i łączeniu z nazwiskami żeńskimi tytułu Dr. (Doktor) zamiast Drka (Doktorka)". Podobne stanowisko zajęła redakcja w 1911 r., zarzucając paniom „brak cywilnej odwagi przyznania się do tego, że się jest kobietą, wstyd swojej kobiecości, i podszywanie się pod płaszcz męski" – przypomina tę historię portal Culture.pl.

REKLAMA

#WYBIERAM 5 90 #sobotadlaPolski #wybieram590



Żyj świadomie, kupuj świadomie **i zapamiętaj**

Bądź na bieżąco: www.wybieram590.pl

Partner Strategiczny: ORLEN Partnerzy Główni: GRUPA CEDROB Poczta Polska Partnerzy +: BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO LEWIATAN Libet SUEMPOL ini

KS/12/2019

eprasa.pl f6b46398b0

SZKIEŁKO I OKO

Wreszcie pod koniec listopada bieżącego roku głos w dyskusji zabrała Rada Języka Polskiego przy Prezydium PAN. Wcześniejsze stanowisko w tej sprawie pochodziło z 2012 r., a sama Rada zauważyła, że od tego czasu zaszły w świadomości społecznej i języku istotne zmiany. Naukowcy przypomnieli, że dyskusja o formach żeńskich trwa od ponad stu lat. „Na początku dwudziestego wieku zwyciężyła tendencja do regularnego tworzenia feminatywów, ale przez cały czas żywa była także przeciwna tendencja – do zaznaczania żeńskości za pomocą rzeczownika »pani« poprzedzającego formę męską (pani doktor) lub przez związki składniowe typu »nasza dyrektor zdecydowała«. Ta ostatnia tendencja w drugiej połowie XX wieku stała się zwyczajem językowym, szczególnie w odniesieniu do zawodów nowych, funkcji wysokiego prestiżu. Jednakże od lat dziewięćdziesiątych formy żeńskie rzeczowników osobowych znacznie się rozpowszechniły; w języku przyjęły się wyrazy »socjolożka«, »polityczka« czy »posłanka«, choć tylko ostatni z nich był obecny, a nawet powszechny w polszczyźnie I połowy XX wieku" – przypomina Rada Języka Polskiego. Zdaniem członków Rady większość argumentów przeciw tworzeniu nazw żeńskich jest pozbawiona podstaw. Jednakowe brzmienie nazw żeńskich i innych wyrazów, np. pilotka jako kobieta i jako czapka, nie jest bardziej kłopotliwe niż np. zbieżność brzmień rzeczowników pilot (osoba) i pilot (urządzenie sterujące). Trudne zbitki spółgłoskowe, np. w słowie „chirurżka", nie muszą przeszkadzać tym, którzy wypowiadają bez oporu słowa „zmarszczka" czy „bezwzględny" (pięć spółgłosek). Nie powinna też przeszkadzać wieloznaczność przyrostka -ka jako żeńskiego z jednej strony, a z drugiej zdrabniającego, tworzącego nazwy czynności czy narzędzi, ponieważ polskie przyrostki są z zasady wielofunkcyjne. Dlatego zresztą nie dziwi szczególna popularność jedynego przyrostka wyłącznie żeńskiego -ini/-yni, np. naukowczyni czy gościni. Warto też zaznaczyć, że tworzenie nazw żeńskich przez zmianę końcówek fleksyjnych, np. (ta) ministra, (ta) doktora, (ta) dziekana nie jest dla polskiego systemu słowotwórczego typowe (wyrazy blondyna, szczęściara są wyraźnie potoczne), a lepsze od niego jest wykorzystywanie tradycyjnego modelu przyrostkowego, czyli tworzenie nazw typu doktorka – bez skojarzeń z potoczną nazwą lekarki. Należy pamiętać, że wciąż dominujący dla większości rzeczowników tytularnych jest model „pani doktor zrobiła", który jest także zrozumiały.

Członkowie Rady Języka Polskiego zauważyli, że dążenie do symetrii systemu rodzajowego ma podstawy społeczne; językoznawcy mogą je wyłącznie komentować. Prawo do stosowania nazw żeńskich należy zostawić mówiącym, pamiętając, że obok nagłaśnianych ostatnio w mediach wezwań do tworzenia feminatywów, istnieje opór przed ich stosowaniem. Nie wszyscy będą mówić o kobiecie „gościni" czy „profesorka", nawet jeśli ona sama wyartykułuje takie oczekiwanie. Jednocześnie Rada uznała, że w polszczyźnie potrzebna jest większa, możliwie pełna symetria nazw osobowych męskich i żeńskich w zasobie słownictwa. Stosowanie feminatywów w wypowiedziach, np. przemienne powtarzanie rzeczowników żeńskich i męskich (Polki i Polacy) jest znakiem tego, że mówiący czują potrzebę zwiększenia widoczności kobiet w języku i tekstach. Nie ma jednak potrzeby używania konstrukcji typu Polki i Polacy, studenci i studentki w każdym tekście i zdaniu, ponieważ formy męskie mogą odnosić się do obu płci.

> „Brak żeńskich końcówek dowodzi dyskryminacji kobiet" – grzmiała na konferencji w Sejmie Joanna Senyszyn, posłanka Lewicy

BEZ PŁCI

Warto zauważyć, że światowa dyskusja na temat języka wyraźnie zaczyna zmierzać jeszcze w innym kierunku. Chodzi o to, by przestać zauważać płcie w ogóle. Na przykład linie lotnicze Air Canada zadecydowały, że personel pokładowy ma przestać witać pasażerów słowami: „Panie i panowie". Ma być to dowód na bycie tolerancyjnymi i otwartymi na różnorodność. Nie jest to jeszcze oficjalne stanowisko, ale nowe zalecenia zostały już rozesłane do pracowników Air Canada. Według wytycznych pasażerowie usłyszą: „Dzień dobry wszystkim" lub „Witamy wszystkich". Wszystko po to, by nie urazić osób, które mają problemy z tożsamością płciową. „Chcemy zapewnić integracyjną przestrzeń dla wszystkich, w tym dla osób utożsamiających się z płcią X. Zmiana zostanie odzwierciedlona w instrukcjach pokładowych w ramach naszego zobowiązania do poszanowania różnorodnej tożsamości płciowej i integracji. Poinformujemy cię, kiedy wprowadzić tę zmianę" – napisano w notatce dla personelu pokładowego Air Canada.

Możliwe także, że zmiana nastąpi w brytyjskich teatrach. Publiczność może już nie usłyszeć zwrotu: „Panie i panowie"? Walczą o to osoby związane ze środowiskiem LGBT, twierdząc, że tradycyjne powitanie widowni może być obraźliwe. Sformułowanie: „Panie i panowie, prosimy o zajęcie miejsc" funkcjonowało w teatrze przez dziesięciolecia. Jednak związek zawodowy Equity (ang. sprawiedliwość), którego przedstawicielami są aktorzy i performersi LGBT, zwrócił uwagę na „krzywdzący" zwrot. Natychmiast odpowiedziały teatry. Teatr Narodowy w Wielkiej Brytanii zobowiązał się do nieużywania sformułowania „Panie i panowie". Zespół teatralny Royal Shakespeare Company zapewnił, że „dąży do stworzenia środowiska przyjaznego osobom, które identyfikują swoją płeć jako płynną". Do postulatu pozytywnie odniosła się także współwłaścicielka teatru Nimax Nica Burns.

Czy to kolejny etap dyskusji o języku, jaka stoi przed Polską?

eprasa.pl f6b46398b0



PKP Cargo powinno objąć rolę krajowego operatora logistycznego, którego zadaniem będzie zapewnienie polskiej gospodarce mocniejszej pozycji konkurencyjnej

Logistyka to konkurencja

PKP Cargo ma bowiem duży potencjał, który może służyć integracji i koordynacji procesów logistycznych. Wynika on nie tylko z tego, że spółka ma ponad 2,3 tys. lokomotyw i ponad 60 tys. wagonów, lecz również z tego, że spółka posiada sieć terminali rozsianych po całym kraju i realizuje szeroki program inwestycji logistycznych.

Dyskusja na temat przejmowania przez PKP Cargo roli krajowego operatora logistycznego była jednym z głównych tematów konferencji naukowej „Modelowanie procesów i systemów logistycznych" na Uniwersytecie Gdańskim. Znaczenie takiego operatora w realizacji Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju jest kluczowe, gdyż od poziomu logistyki zależeć będzie realizacja podstawowych celów SOR, takich jak reindustrializacja Polski, podnoszenie konkurencyjności kraju i jego atrakcyjności inwestycyjnej, zwiększanie eksportu, podnoszenie poziomu innowacyjności gospodarki.

ROZWÓJ NIE MOŻE BYĆ ŚREDNI

Czesław Warsewicz, prezes PKP Cargo, przypomniał, że SOR ma być programem, który wyrwie Polskę z pułapki średniego rozwoju. Zwrócił uwagę, że co prawda Polska zajmuje 21. miejsce na świecie pod względem wielkości PKP, ale już w przeliczeniu PKB na jednego mieszkańca jesteśmy dopiero na 62. pozycji. I chodzi o to, aby zwłaszcza w tym drugim rankingu piąć się w górę.

Warsewicz zaznaczył, że logistyka ma kluczowe znaczenie dla rozwoju kraju, gdyż to ona decyduje o konkurencyjności gospodarek na świecie. – Bez stworzenia efektywnego krajowego systemu wsparcia logistycznego nie będzie możliwości wyrwania się z pułapki średniego rozwoju – stwierdził Czesław Warsewicz.

Prof. Mirosław Chaberek (UG) stwierdził, że w działalności biznesowej PKP Cargo dominuje w tej chwili przewóz ładunków i rzeczy, a kolejnym etapem rozwoju spółki będzie integrowanie usług logistycznych, czyli przejęcie roli tzw. wieży kontrolnej w logistyce. – Rząd powinien być zainteresowany budową takiej wieży, bo inaczej zrobią to za nas inni – powiedział Mirosław Chaberek.

Podczas debaty wskazywano, że rozwój kompetencji krajowego operatora logistycznego będzie procesem długoletnim, uzależnionym od wielu czynników, takich jak infrastruktura sieciowa (drogi, linie kolejowe, rzeki) i punktowa (np. porty, terminale, magazyny) informatyzacja, ale musimy też uwzględniać sytuację gospodarczą w Polsce, Europie i na świecie. Nie chodzi też o sztuczne tworzenie dominującego podmiotu na rynku. – Krajowy operator nie będzie dysponował wszystkimi zasobami logistycznymi, ale będzie integratorem rynku. PKP Cargo ma pewne zasoby, chce się skupiać na ofercie, zapewnieniu najbardziej konkurencyjnej usługi. Musimy tak zarządzać zasobami, aby były jak najbardziej racjonalnie wykorzystywane – stwierdził Czesław Warsewicz.

Prof. Andrzej Grzelakowski (Uniwersytet Morski w Gdyni) zwrócił uwagę, że atutem PKP Cargo jest obecność na rynkach międzynarodowych przez spółkę PKP Cargo International. To dlatego, że jednym z kluczowych aspektów dla Polski jest obsługa logistyczna europejskich korytarzy logistycznych i nowego jedwabnego szlaku.

Fot. PKP | 50/1019/F

eprasa.pl f6b46398b0



Powrót czerwonej historii

Być może zwiodły nas patriotyczne marsze młodzieży, uroczyste pogrzeby żołnierzy wyklętych, ustawa dezubekizacyjna i zmiany nazw ulic. Bo oto powraca lewica ze swoją załganą historią i rozpyla ją wśród Polaków po raz kolejny



JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Jesień 2016 r. Pod Uniwersytecki Szpital Kliniczny im. Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi zajeżdża prezes IPN dr Jarosław Szarek.

Urzędnik udaje się na oddział paliatywny, by odwiedzić szczególnego pacjenta – w niewielkiej salce leży Józef Bandzo, legendarny „Jastrząb", żołnierz wyklęty, wieloletni więzień PRL. Staruszek już mocno niedomaga, jest cieniem siebie sprzed kilku tygodni. Niedawno spotykał się jeszcze z przyjaciółmi, a rok wcześniej wziął udział w pogrzebie jednego ze swoich dowódców – Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki", odnalezionego przez zespół prof. Krzysztofa Szwagrzyka. Panowie krótko rozmawiają, zresztą „Jastrząb" nie jest w formie na wyczerpujący dialog.

„Panie kapitanie, co mogę dla pana zrobić?" – pyta prezes IPN. Weteran łapie go za rękę i słabym, ale zdecydowanym, głosem mówi: „Znajdźcie »Szczerbca«!".

O Gracjanie Frógu ps. Szczerbiec Józef Bandzo mógłby mówić po imieniu – przecież 73 lata wcześniej przeszli na „ty". W grudniu 1943 r. „Szczerbiec" zaprosił go do stołu wraz z elitą oddziału, podniósł kieliszek i powiedział: „Niezależnie od tego, czy ja będę generałem, a wy szeregowcami, piję z wami bruderszaft". Ale zaraz po chwili dodał: „Oczywiście aktualny po zakończeniu wojny".

Problem w tym, że dla obu panów wojna nie zakończyła się w 1945 r. Dla nich „wyzwolenie" oznaczało tortury, więzienia, skazanie na zapomnienie, a dla Gracjana Frógа także śmierć. Aresztowany przez NKWD został zesłany tysiąc kilometrów w głąb ZSRR, ale stamtąd zbiegł, aż w końcu funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa dopadli go w Łodzi. Choć został stracony w maju 1951 r. w warszawskim więzieniu na Mokotowie, jego doczesnych szczątków do dziś nie znaleziono – stąd wezwanie umierającego „Jastrzębia". Jego prośba wciąż czeka na spełnienie. Poszukiwania trwają.

TESTAMENT HELENY MICHNIK

Wydawało się, że w Polsce nigdy więcej nie będzie już wątpliwości, czym był komunistyczny terror po 1945 r. i jakim represjom byli poddawani Polacy. Jednak w 2019 r. do Sejmu dostali się posłowie Lewicy Razem – zarówno dawni członkowie i sympatycy PZPR, jak i neomarksiści, którym tożsamość narodowa jest obojętna albo nawet niepotrzebna. Wspomnieni politycy mają dostęp do sejmowej mównicy i do mediów – i choć ustaw w tej kadencji raczej nie przeforsują, to już zaczęli intoksykować społeczeństwo kłamliwą wersją historii. A robią to z zapałem.

19 października poseł Joanna Senyszyn stwierdziła w programie TVP Info: „Ksiądz Popiełuszko został uznany męczennikiem Kościoła, chociaż tak naprawdę nie zginął za wiarę, tylko za działalność polityczną. Zajmował się działalnością polityczną, która w tamtym czasie była niewygodna nawet dla Kościoła katolickiego". Nie mogła przecież przyznać, że w PRL każdą działalność kwestionującą autorytet władzy uznawano za sprawę polityczną – w stanie wojennym potrafiono nawet skazać handlarza bułkami, który przewoził pieczywo z powiatu do powiatu, ośmieszając tym samym system cen i zaopatrzenia.

Dzień wcześniej, 18 października, Jerzy Urban zorganizował w jednej z warszawskich knajp imprezę z młodzieżą. Rzecznik rządu PRL, drwiący z Polaków nawet w stanie wojennym, został przywitany burzliwymi oklaskami przez zebraną tam młodzież, dla której ten były komunistyczny aparatczyk jest zabawnym 86-letnim staruszkiem znanym z serwisu YouTube. To tu publikuje on swoje prześmiewcze i wulgarne filmiki.

eprasa.pl f6b46398b0

Komuna wraca – bezkarnie, z kłamstwami i z kpiarskim uśmiechem na ustach. Gdyby wznowić podręczniki do historii autorstwa Heleny Michnik, jeden z klubów poselskich mógłby brać z tego obszerne cytaty. Właściwie trudno się oprzeć wrażeniu, że już z nich korzysta.

PRZYZWYCZAIĆ SIĘ DO KŁAMSTWA

Stalinowska narracja zaczęła się sypać z wielu mediów. Włodzimierz Czarzasty stwierdził nie tylko, że Armia Czerwona wyzwoliła Polskę, lecz zapewniał także, że żołnierze amerykańscy tak samo gwałcili jak Rosjanie (absolutne łgarstwo). Inny poseł SLD, Tomasz Trela, nazywa powojenną stalinowską okupację „Polską nieidealną" i chwali wypowiedź Czarzastego. Adrian Zandberg atakuje żołnierzy wyklętych peerelowską retoryką: „Łupaszkę" nazywa „bandytą", a Brygadę Świętokrzyską – „hitlerowskimi okupantami". Lider partii Razem zwraca się na Facebooku do Polaków broniących żołnierzy wyklętych i zapowiada: „Możecie zacząć się do tego przyzwyczajać".

Dowodem na to, że lewica ma pakt z komunistycznym diabłem, jest brak potępienia dla zbrodni PRL. Wybielanie czerwonych, nawet z najmroczniejszego okresu, nie zdarzało się nawet za Gomułki czy Gierka. Przecież nawet w PZPR przyznawało się jednoznacznie, że czas powojenny był „okresem błędów i wypaczeń", a nie używano łagodnego, wręcz pozytywnego określenia posła Treli: „państwo nieidealne". Przytaczanie liczb o ofiarach nazizmu i komunizmu w Polsce nie wyjaśnia sprawy. Przecież aparatczycy PRL zabijali w czasie pokoju!

PRZEJŚCIE SZARAŃCZY

Gdy latem 1945 r. Armia Czerwona wracała do domu ze zdobytego Berlina, w samej Warszawie – jak zanotowała Maria Dąbrowska – „ludność ze strachem myśli o tym przejściu szarańczy, po którym w wielu miejscach kraju nic nie zostaje". Choć gwałty na Niemkach stały się powszechne, to także „wyzwolona" ludność polska nie mogła się czuć spokojna. Choć cytowana Dąbrowska szybko dołączyła do czerwonych elit, nigdy nie zamknęła oczu na zbrodnie. W swoich „Dziennikach" opisała brutalny gwałt na nauczycielce nazwiskiem Brzeska. Gdy Polka rozglądała się na peronie (1945 r.!), czy uda jej się wsiąść do pociągu, „z otwartych drzwi wagonu towarowego wyskoczyło czterech sołdatów, chwycili ją pod pachy, wrzucili do wagonu i zamknęli drzwi. Pociąg ruszył, w wagonie było osiem koni i kilkunastu żołnierzy. Ta nieszczęsna walczyła przez parę godzin z gromadą rozbestwionych bydlaków moskiewskich usiłujących ją zgwałcić. Była cała pokrwawiona i posiniaczona, gryzła ich i kopała, chowała się w ciemności pod konie, woląc by ją zadeptały, a konie były bardziej ludzkie od ludzi. Całe odzienie miała na sobie porwane".

> Wydawało się, że w Polsce nigdy więcej nie będzie już wątpliwości, czym był komunistyczny terror po 1945 r. i jakim represjom byli poddawani Polacy. Jednak w 2019 r. do Sejmu dostali się posłowie lewicy

Bagatelizowanie agresji Sowietów ma jeszcze jeden wymiar – utrudnia przekonanie Polski i świata, jak bezprecedensowym barbarzyńcą był ZSRR, jak i dzisiejsza Rosja. To nie jest tak, że prawica dba o ckliwe historyjki z romantycznych czynów naszych bohaterów – bez nich po prostu przestajemy rozumieć, co się dzieje we współczesnym świecie. Jeśli Rzeczpospolita ma przetrwać, o wielkości nie wspominając, musi znać swoją wartość, swoje winy i swoje zasługi, musi też umieć rozeznać, gdzie w Europie są nasze interesy, a gdzie wrogowie. Bo Sowieci byli de facto wykwintem rosyjskiego patriotyzmu. „Mołotow en personne, najzażartszy nacjonalista rosyjski, wróg Polski, [w 1939 r.] powiedział: »Państwo polskie upadło i nigdy więcej nie powstanie«" – komentowała Dąbrowska.

TESTAMENT Z „ŁĄCZKI" I Z RAKOWIECKIEJ

Nic dziwnego, że praca wolontariacka w zespole prof. Szwagrzyka bywa nazywana „narodowymi rekolekcjami". Drobiazgowe przesiewanie ziemi i piasku, ziarenko po ziarenku, by odnajdywać choćby najmniejsze szczątki pomordowanych żołnierzy, to nauka pokory i wiary. Przy kilku szkieletach odnaleziono święte medaliki. Obok wyznania wiary służyć miały bohaterom w ich identyfikacji przez bliskich. Więźniowie nie wiedzieli, że za kilkadziesiąt lat instytucja wolnej Polski będzie dysponowała technologią badania DNA, trzeba było się starać o rozpoznanie przez rodziny w inny sposób.

Odnajdywanie szkaplerzy, notatek, napisów na ścianach w celi – osobiste zetknięcie się ze śladami i znakami od tamtego pokolenia pozostaje już na zawsze w pamięci.

Podobnie jest z wizytą w Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Osób Represjonowanych przy ul. Rakowieckiej w Warszawie. Nikt, kto własną ręką otworzy mały, ciasny karcer, miejsce torturowania Witolda Pileckiego, kto przejdzie schodami, na których metodą katyńską mordowano członków podziemia niepodległościowego, nie powie więcej o „wyzwoleniu" w 1945 r.

To może być jedna z recept powstrzymania ofensywy kłamstwa – przeprowadzić przez święte miejsca jak najwięcej Polaków. Wiedza, fakty i dziedzictwo sprzed 70 lat są naszą bronią, której musimy użyć, by powstrzymać odwrót żołnierzy wyklętych, których pamięć jest brukana przez spadkobierców PRL.

Mamy do wyboru testament Bolesława Bieruta pisany piórem Heleny Michnik albo zobowiązanie od niezłomnych pisane krwią na posadzkach komunistycznych więzień.

eprasa.pl f6b46398b0

Sprawdźmy, co nam wyje w tle

Kiedy zajrzymy pod maskę naszej 30-letniej, to przestaje być tylko kolorowo i pojawiają się wyraźne rysy, które obarczają konto III RP – mówi ***Rafał Woś,*** publicysta, autor książki „Trzydziestoletnia", w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Lubisz tę naszą 30-letnią?

Rafał Woś: Pisałem o niej z emocjami, ale – mam nadzieję – zdrowymi emocjami.

Co to znaczy?

Mój stosunek do III RP jest zwyczajny. Powiedziałbym – partnerski. Z jednej strony nie mam tak, jak pokolenie ojców (rzadziej niestety matek) założycieli, którzy podejmowali decyzje około roku 1989 lub bronili ich potem publicystycznie. Im do dziś trudno się zmierzyć z krytyką, bo traktują III RP jak swój wychuchany skarb. Ja czy ty patrzymy na to inaczej. Obaj jesteśmy mniej więcej w wieku III RP: więc kiedy trzeba ją pochwalić, to chwalimy, a kiedy zachowywała się jak „dzban", to nie owijamy w bawełnę, tylko mówimy, co nam nie pasuje.



Dlaczego piszesz o nieautoryzowanej biografii III RP?

Bo nasza 30-letnia była wychowywana...

...bezstresowo?

Coś w tym jest. Jej ojcowie bezkrytycznie patrzyli na jej wzrost i rozwój, a moja książka jest w tym sensie nieautoryzowana, że pokazuje trudne strony 30-letniej: przypominam, że bywała zimna, obojętna, kłamała, myślała o sobie, wściekała się...

Ale znasz te porównania: spójrz na Ukrainę czy Białoruś, to zobaczysz, gdzie dziś jesteśmy, a gdzie oni.

Nie lubię tych powracających prób porównywania III RP z innymi krajami. To oczywiście ciekawe, ale bezsensowne. Zawsze jest też tak, że już na początku porównania mamy intencję: gdy chcemy pokazać, jak świetnie nam III RP wyszła, to szukamy odpowiednika po wschodniej granicy. Z drugiej strony możemy się porównywać przecież na przykład z Czechami, które lepiej poradziły sobie z problemem nierówności, a które też startowały z poziomu eksperymentu z realnym socjalizmem. Oba obrazy będą tylko częścią prawdy, wskazówką, przestrogą, ale niczym więcej.

Już w dedykacji piszesz, że 30-letnia za rzadko się uśmiechała.

To mój główny zarzut: że była zimna.

Co realnie znaczy ten zarzut wobec III RP?

Z różnych powodów nie potrafiła sprawiedliwie rozdzielić tego, co miała najlepszego. Była bardzo dobrym czasem, miejscem i pomysłem dla części polskiego społeczeństwa; zazwyczaj dla ludzi mających kapitał finansowy (to przypadek biznesmenów wywodzących się z późnego PRL), dla tych, którzy podążyli w ich ślady, też była w porządku. Idźmy dalej. Jeśli chodzi o inteligencję, to nie przekładało się to zawsze na kapitał finansowy, ale już kulturowy, godnościowy jak najbardziej. Ale

eprasa.pl f6b46398b0



Fot. Andrzej Wiktor

na tym obraz się nie kończy. Bo byli też tacy, którym albo III RP nie przyniosła pozytywnej zmiany – czytali, widzieli, słyszeli, co się zmienia, ale nie czuli tego na własnej skórze, albo – jak dawnej klasie robotniczej czy ludziom z mniejszych miejscowości i zapomnianych regionów – przyniosła pogorszenie sytuacji.

Nie przesadzasz?

Spójrzmy na zimno na tę naszą „zimną". Na ludzi, którzy za komuny mieli przystanek autobusowy i nagle przestali go mieć, jeździli na wczasy nad morze i nagle przestali, mieli pracę i płacę, a tu nagle pstryk i już ich nie mieli. Wszystko w imię tego, że teraz rodzi się ta cholerna III RP i oni muszą to wziąć na klatę. A jaka była reakcja samej 30-letniej na te problemy? Im bardziej rosła, tym chętniej im wygrażała, że to niby ich wina. „Jesteście leniami, zróbcie coś z sobą!" – to najczęściej słyszane słowa. I gdy mam wybrać, po której stronie stoję, to wybieram stronę tych, których 30-letnia lekceważyła. To jest książka dla nich. Dedykowana właśnie im.

Rozumiem, ale w tych powiedzeniach, że każdy jest kowalem swojego losu, że jak pościelesz, tak się wyśpisz, też przecież coś było. Niektórym w państwie musi się nie udać: bo napisali kiepski biznesplan, wybrali zły zawód czy branżę. To się po prostu zdarza.

Nie zgadzam się z tymi hasłami. Stawianie sprawy w ten sposób to przemoc ze strony tych, którym się udało. Gdy się komuś udaje, to on albo ona nie lubią mówić, że mieli szczęście. Raczej słyszymy, że zdecydowały jego lub jej wyjątkowe umiejętności i zdolności. A szczęście? „W zasadzie sprzyja lepszym".

I co w tym złego?

To niemoralny argument. Ale i niefunkcjonalny społecznie: to się może udawać przez 5–10 lat, ale z czasem rodzi wzajemne resentymenty. Zwycięzcy patrzą na przegranych, mówiąc: „Nam się chciało i mamy, a wy narzekacie i jeszcze chcecie czegoś od nas". A przegrani? Mogą albo ugiąć kark, albo wzbudzić w sobie opór, a może i agresję.

Nie jesteś zbytnim pięknoduchem? Może to po prostu cena za życie w demokracji?

Jeśli wszystko to dzieje się w ramach jednej wspólnoty demokratycznej, to jest to wybuchowa mieszanka. I dokładnie tak było w Polsce, a odpowiedzią ze strony kolejnych ekip rządzących było więcej tego samego. Echa tych napięć są obecne do dziś, to nie jest spór historyczny, jak rozmowa o Francji XVIII wieku.

Jeśli byłoby to napięcie tak duże, jak mówisz, to miałbyś protesty na ulicach, „żółte kamizelki", wreszcie, gdyby

eprasa.pl f6b46398b0

to nie skutkowało, jest kartka wyborcza. Jakoś się ten lud nie buntował tak mocno.

Trochę się jednak buntował, co pokazuję w książce. Ten bunt był, jest i będzie obecny. Owszem, nie był odpowiednio nagłaśniany, ale raczej z tego powodu, że zwycięzcy tak sobie poustawiali media. Był więc bunt słuszny i niesłuszny.

Przykład?

Spójrzmy na przykład Solidarności. Ten sam bunt oparty, oprócz fundamentów godnościowych, na postulatach społecznych czy współdecydowanie o zakładach pracy traktujemy jako część dziedzictwa. Ale potem to się szybko zmieniło. Ci, którzy weszli po drabinie buntu Solidarności i stali się władzą, szybko odkopnęli tę drabinę, nie pozwalając wejść innym, na przykład utrudniając akcje strajkowe w ramach związków. Karol Modzelewski do końca życia zarzucał Jackowi Kuroniowi, że ten popierał legislację utrudniającą działalność związkową w Polsce. A z tymi protestami sporo zależało od kontekstu.

> Zwycięzcy patrzą na przegranych, mówiąc: „Nam się chciało i mamy, a wy narzekacie i jeszcze chcecie czegoś od nas". A przegrani? Mogą albo ugiąć kark, albo wzbudzić w sobie opór, a może i agresję

To znaczy?

Powiedzmy, że w mieście typu Leszno na bazarze mamy handlarzy, którzy protestują przeciw budowie supermarketu. Mamy protest, który z definicji trafiał do szufladki niewłaściwego. Bunt jest trudny – musisz wstać, zakwestionować status quo, postawić się. Wielu to robi, ale ludzie nie są szaleni ani naiwni. Gdy widzą, że to walenie głową w mur, wymyślają sobie inne strategie przetrwania, nie chcąc rozwalić sobie głowy do końca.

Mieli przez te 30 lat kartkę wyborczą. Mogli wpływać na to, jaka była 30-letnia.

W teorii demokracja oferuje równość głosu, ale w praktyce wiele zależy od tego, w jakim otoczeniu są przeprowadzane wybory: kto ma ile pieniędzy na kampanię, kto może pokazywać swój przekaz w mediach, kto w momencie przyjęcia ważnej ustawy gospodarczej (na przykład uelastyczniającej rynek pracy) ma narzędzia do organizowania kampanii. Pracodawcy czy pracownicy? W praktyce bardzo łatwo jest sprawić, że argumentacja niezadowolonych jest przekierowana na tory sugerujące oszołomstwo czy nieodpowiedzialność. Żadna władza w III RP – od Mazowieckiego po Morawieckiego – nie lubiła krytyki. A jak władza nie umie słuchać, to jest zimna.

Pobędę jeszcze advocatus diaboli tej 30-letniej. Jak ktoś wraca do kraju po 15 czy 20 latach przerwy (na przykład emigracyjnej), pierwsze, co mówi, to jak bardzo na plus zmieniła się Polska. I to ta powiatowa, gdzie widać zadbane podwórka, zastawione coraz lepszymi samochodami.

Kiedyś w radiu rozmawiałem z Witoldem Gadomskim, który wymieniał, jak zmienił się parytet siły nabywczej gospodarstwa domowego w Polsce: ile więcej można dziś kupić pralek, lodówek, mikrofalówek. Ale to sprowadzanie dyskusji o tym, czym jest dobre społeczeństwo, do kwestii towarów konsumpcyjnych.

To też pewien wyznacznik. I to dość ważny.

Do pewnego stopnia jest to argument uzasadniony. Po najtrudniejszej – wyjąwszy czasy stalinizmu – dekadzie PRL, czyli latach 80., gdy był problem z podstawowymi produktami, to może przemawiać do świadomości, ale na litość – to nie wszystko! To tak, jakbyśmy oceniali daną rodzinę na podstawie zdjęcia z Wigilii – a przecież, aby ją poznać, musimy z nią pobyć, zobaczyć, jak zachowują się jej członkowie, gdy nikt nie patrzy, czy ten mechanizm działa też na co dzień. Ten test III RP zdaje słabiej, niż jej się wydaje, że zdaje.

Dlaczego tak twierdzisz?

Trzeba zajrzeć pod maskę naszej gospodarki, na to, jak wygląda poziom płac, rozwarstwienie społeczne, stabilność zatrudnienia, prawo do urlopu, kwestia ubezpieczenia społecznego czy poziom zadłużenia jednostek. I nagle widzimy, że przestaje być tylko kolorowo i pojawiają się wyraźne rysy, które obarczają konto III RP. Im głębiej wchodzimy do lasu, tym jest trudniej.

Trudno ci przypiąć łatkę pisowca, choć próbują to robić.

Nie mam żadnego problemu z tym, żeby na tej planszy publicystycznej – pełnej poglądów i przekonań – okazało się, że mój pionek stoi obok pionka z logo PiS. Część diagnozy jest podobna, leczenia też – jak choćby program 500+, który traktuję jako namiastkę eksperymentu z dochodem bezwarunkowym, na wiele rzeczy patrzymy odmiennie, życie toczy się dalej. W samym PiS są różne siły: liberalne, socjalne, prozwiązkowe etc. Gdyby na tym polu stała dziś Platforma, też nie miałbym z tym kłopotu.

Często wracasz do cytatu z rapera Łony „Co to tak wyje tam w tle?".

Tak, to dobry cytat z niezłego twórcy, przedstawiciela rapu inteligenckiego w Polsce. Ten cytat jest piękny, bo dotyka problemu nierówności z perspektywy pasażera pociągu i wagonu pierwszej klasy. Tego wycia w tle nie da się zagłuszyć, żeby był spokój. To wagon trzeciej klasy trzeszczy bowiem i wyje: nie da się go wyprzeć z pamięci. A trzeba w końcu pomyśleć, jak wyremontować ten wagon, by przypominał choć w części ten z pierwszej klasy. Wtedy pociąg się nie wykolei. Niektórzy mówią, że będzie jechał szybciej, ale to wtórne. Chciałbym, żeby moje książki były małym katalizatorem tej refleksji.

97/1019/F

eprasa.pl f6b46398b0

Niech bliskie Tobie kobiety
odczują siłę męskiego wsparcia
w trosce o swoje zdrowie.
W nadchodzącym roku
zadbaj o nie uważniej.
Przypomnij im o regularnych
bezpłatnych badaniach
cytologicznych
i mammograficznych
– niech Twoje czułe „Zbadaj się!"
będzie synonimem
„Jesteś dla mnie ważna!".



Zbadaj się!
Jesteś dla mnie ważna!

Kobiety. Kruche i delikatne, a przecież tak odważne w trosce o codzienność – o dom i pracę, o zgodę w rodzinie, o potrawy, które na Święta najbardziej lubisz. Własne zdrowie odkładają na dalszy plan, a profilaktykę chorób przewlekłych i nowotworowych na wieczne „potem".

Każda kobieta w wieku 50-69 lat powinna raz na 2 lata wykonać bezpłatną mammografię.

Rak piersi

Rak piersi jest najczęściej występującym nowotworem złośliwym wśród kobiet w Polsce, o nie ustalonej dotąd jednoznacznej przyczynie. Kobiety, które regularnie wykonują mammografię dużo rzadziej umierają z powodu raka piersi w porównaniu z tymi, które nie poddają się systematycznym badaniom profilaktycznym.

Każda kobieta w wieku 25-59 lat powinna raz na 3 lata wykonać bezpłatne badanie cytologiczne.

Rak szyjki macicy

Rak szyjki macicy jest jednym z najbardziej „podatnych na profilaktykę" nowotworów złośliwych u kobiet. Badania cytologiczne umożliwiają wykrycie choroby na bardzo wczesnym etapie, gdy stany przedrakowe są wyleczalne w 100%.

Telefoniczna Informacja Pacjenta
800-190-590

www.nfz.gov.pl

NFZ
Narodowy Fundusz Zdrowia

eprasa.pl f6b46398b0



Nauka czy ideologia?

„Nie ma czegoś takiego jak ideologia LGBT" – przekonują politycy opozycji i homoseksualni działacze, wdrażając jednocześnie najbardziej absurdalne założenia tęczowej doktryny. Wszelkie próby obnażania manipulacji i ukazywania prawdy uznawane są za akty homofobii i skutecznie zwalczane. Czym więc jest genderyzacja przestrzeni publicznej? Na czym oparte są teorie, które zaczęto uznawać za obowiązujące?



MARZENA NYKIEL

Wiele wysiłku i czasu włożono w proces ideologizacji życia społecznego, którego korzenie tkwią w głębokim marksizmie-leninizmie. Zrodzona przed stu laty strategia rozmontowania rodziny, osłabienia Kościoła i zniszczenia systemu moralnego, usystematyzowana przez Szkołę Frankfurcką i wszelkiej maści nurty krytyczne, zawojowała świat swoim „długim marszem przez instytucje". Pseudonaukowe teorie zawładnęły uczelniami, stworzono programy edukacyjne, badawcze (często oparte na fałszywych założeniach i nierzetelnych badaniach), wypracowano nowe kierunki, zaangażowano media w ich popularyzację, porwano masy, zorganizowano siatki organizacji pozarządowych, których eksperci promowali nowe trendy i wymuszali na rządach poszczególnych krajów respektowanie nowej doktryny, wprowadzanie zmian legislacyjnych i realizację założeń nowego systemu społecznego. Ideologia LGBT wkroczyła na uniwersytety i udaje naukę. Organizacje mniejszościowe dyktują warunki większości. Ktokolwiek sprzeciwi się takiemu stanowi rzeczy, zostaje ukarany i publicznie wyklęty.

CO JEST CZYM?

Różnica pomiędzy nauką a ideologią jest prosta. Ta pierwsza szuka prawdy w rzeczywistości, druga narzuca jej własne założenia. Celem pierwszej jest odkrycie prawdy wpisanej w byt, celem drugiej dostosowanie bytu do własnych wymysłów na jego temat.

W tym kontekście warto spojrzeć na założenia gender studies, by umiejscowić je należycie w przestrzeni naukowej. W opisie podyplomowego studium na Polskiej Akademii Nauk czytamy, że „studia dostarczają interdyscyplinarnej wiedzy w zakresie społeczno-kulturowej tożsamości płci, poddają krytycznej analizie dotychczasowe przekonania o »naturze« człowieka i zwracają uwagę na to, co przemilczane, wypierane czy usuwane z kultury, nauki, społeczeństwa. Gender studies uzupełniają wiedzę o kwestie istotne dla zrozumienia wpływu kultury na człowieka i relacje panujące w społeczeństwie". Hasło przewodnie to sztandarowa maksyma radykalnego feminizmu z książki „Druga płeć" Simone de Beauvoir: „Nikt nie rodzi się kobietą, tylko się nią staje".

Fot. Piotr Molecki/East News

eprasa.pl f6b46398b0



ILE NAUKOWOŚCI W IDEOLOGII?

Genderyści za wszelką cenę próbują zdobyć legitymację naukowości. Wtargnąwszy na uniwersytety, zasypują rynek wydawniczy zideologizowanymi publikacjami, a organizacje pozarządowe odpowiedzialne za promocję LGBT transponują je na zasady życia społecznego. I choć co rusz się okazuje, że badania, na których oparto postępujący genderyzm, zostały przeprowadzone w sposób nierzetelny, rozpędzona lokomotywa sunie dalej. Współcześni seksuolodzy powołują się na raporty Alfreda Kinseya, choć doskonale wiadomo, że są nieprawdziwe. Zmyślone zostały też fundamentalne dla genderyzmu badania Margaret Mead. Obalony został również autorytet Johna Moneya, ojca genderyzmu. Opisywałam to bliżej w artykule „Niebezpieczna pseudonauka" w tygodniku „Sieci" nr 46/2019. Mity założycielskie kruszą się w posadach, ale ideologia tak dalece przeniknęła w struktury międzynarodowych i krajowych instytucji, że trudno ją zatrzymać. I choć Polska próbuje się oprzeć ideologicznym trendom, spora przestrzeń została już zawłaszczona.

Gender studies rozsiadły się na kilku polskich uniwersytetach, tworząc podyplomowe szkółki dla mniejszościowych aktywistów. Coraz agresywniej naciskają na resorty, by zarządzono obowiązkowe szkolenia równościowe kadr oświatowych, urzędniczych i medialnych. Studia gender to kompilacja przypadkowo wybranych elementów z takich dyscyplin jak socjologia, psychologia, historia, filozofia, ekonomia czy historia sztuki i literatury. Choć każda z tych nauk ma inny cel i zupełnie odmienne metody badawcze, gender studies obejmują je wszystkie wspólną kategorią badań nad płcią. Przy takim układzie rozbieżności nie ma szans na prowadzenie rzetelnych badań, które mogłyby zweryfikować teoretyczne założenia gender. Jaki mamy efekt? Brak wewnętrznej spójności koncepcji genderowej, niedoróbki metodologiczne i poważne nadużycia interpretacyjne.

Cały jej fundament opiera się na programowym kwestionowaniu dotychczasowych paradygmatów i osiągnięć naukowych. Neguje uniwersalność rozumu i klasyczną prawdę rozumianą jako zgodność poznania z rzeczywistością. Szukanie prawd ostatecznych, niezmiennych, spójnych zostaje wyparte przez pojęcia chaosu, przygodności, fragmentaryczności, histerycznie rozumianej równości oraz źle pojętego pluralizmu i tolerancji. Dochodzi w ten sposób do takich postmodernistycznych kategorii „naukowych" jak skrajny relatywizm epistemologiczny, aksjologiczny oraz całkowita degradacja wartości rozumu i racjonalności. Nauka zostaje pozbawiona autorytetu i postawiona w jednej linii z każdym rodzajem ludzkich mniemań.

Nie bez powodu śp. prof. Bogusław Wolniewicz, stanąwszy po stronie zdrowego rozsądku, oświadczył, że gender jest jak szamanizm. „Hańbą Uniwersytetu Warszawskiego, wielkiej europejskiej uczelni o pięknych tradycjach naukowych w naukach ścisłych, jest to, że poniżyła się do tego, żeby uruchomić coś, co się nazywa gender studies. Z nauką to nie ma nic wspólnego" – stwierdził, dodając, że przy tej eskalacji absurdów nie wyklucza, iż również szamanizm w końcu trafi na uczelnie.

Wypowiedziane kilka lat temu słowa okazały się prorocze. Miesiąc później Śląski Uniwersytet Medyczny zapowiedział wprowadzenie studiów podyplomowych z homeopatii, co spotkało się z protestem naukowców i lekarzy, którzy skierowali do resortu nauki i władz uczelni list interwencyjny. Ale to nie koniec. W ubiegłym tygodniu, w kilka lat po pamiętnych słowach prof. Wolniewicza, Śląski Uniwersytet Medyczny wyrzucił z pracy wykładowcę po zażaleniach środowisk LGBT na prelekcję pt. „Homoseksualizm a zdrowie". Do władz uczelni zgłosiły się osoby oburzone stwierdzeniami, że tylko związek kobiety i mężczyzny jest zdolny przekazywać życie. Co tak oburzyło genderystów? „Tak było, jest i będzie i nikt tego faktu nie zmieni, że fizycznie jak również psychicznie pasują do siebie tylko kobieta i mężczyzna – o tym mówi biologia i nauka".

„Tylko taki związek potrafi przekazywać życie, które przedłuży istnienie rodzaju ludzkiego i – jak pokazuje wiele badań – najkorzystniejsze jest dla dziecka, gdy wychowują je biologiczni rodzice" – podano na jednym ze slajdów zaprezentowanych podczas wykładu. „Badania berlińskiego Instytutu im. R. Kocha pokazują, że geje stanowią w Niemczech 60 proc., w Kanadzie 70 proc., a w Indiach 86 proc. chorych na AIDS. Ponadto aktywni geje cztery razy częściej popadają w depresję, pięć razy częściej w nikotynizm, sześć razy częściej próbują popełnić samobójstwo. Żyją przeciętnie, zależnie od form i intensywności swojej aktywności, o 8–20 lat krócej niż pozostali mężczyźni" – można było przeczytać na innym slajdzie. Środowiska LGBT nie wytrzymały takiej dawki naukowości i stanowczo zainterweniowały u władz uczelni. Dziekan Wydziału Nauk Medycznych w Zabrzu uznał wykład za homofobiczny i zdecydował się rozwiązać umowę z pracownikiem uczelni, który go wygłosił. Tak wyglądają w praktyce relacje pomiędzy nauką a ideologią.

ABSURDY GENDERYZMU

Już w 2000 r., kiedy szkółki gender studies zaczęły się zasadzać na polskie uniwersytety, głos na łamach „Rzeczpospolitej" zabrała Agnieszka Kołakowska, filozof i filolog klasyczny, prywatnie

eprasa.pl f6b46398b0

córka Leszka Kołakowskiego. Z niepokojem odniosła się do planów wprowadzenia do Polski studiów genderowych, pokazując, że to ideologiczne dzieło feministek dawno skompromitowało się na Zachodzie. „Oba człony samej nazwy tej dziedziny są podejrzane. Słowo »studiem« powinno wzbudzić naszą czujność, ponieważ cechuje ono niechybnie pseudodziedziny powstałe w celach propagandowych, z nauką niewiele mających wspólnego. Tradycyjne dziedziny mają nazwy proste i przezroczyste, budzące zaufanie: Matematyka, Historia, Geografia, Fizyka. Wiemy mniej więcej, co się w nich dzieje. W dziedzinach »studiem« natomiast mieliśmy już »Peace Studies« (gdzie uczyliśmy się, że jednostronne rozbrojenie uratuje nas przed wstrętnym amerykańskim imperializmem), »African-American Studies« (gdzie uczymy się, że kultura Zulusów jest o wiele więcej warta od zachodniej, że Beethoven był czarny, że starożytni Grecy to naprawdę Egipcjanie, którzy byli czarni, i że wszystko jest względne), »Women's Studies« (które niewiele się różnią od »Gender Studies«, i gdzie uczymy się, że Szekspir był ohydnym mizoginistą i żałosnym wyrazem społecznych energii swojej epoki, a także że wszystko jest względne), »Cultural Studies« (gdzie uczymy się przede wszystkim, że wszystko jest względne, a wartości i osiągnięcia zachodniej cywilizacji, zwanej niegdyś judeochrześcijańską, najwzględniejsze)" – wylicza Kołakowska.

Po blisko 20 latach widać doskonale, przed czym byliśmy ostrzegani. Już wstępna lektura podręcznika „Gender dla średnio zaawansowanych" mówi wiele. Jego autorka, prof. Inga Iwasiów z Uniwersytetu Szczecińskiego, przekonuje, że historia literatury jest najlepszym odzwierciedleniem dyskryminacji kobiet w dziejach, ukazującym, jak milczały lub mówiły cudzym głosem, bo „milczenie kobiet jest przesłonięte mową patriotyczną, obywatelską, chrześcijańską".

Wprowadzanie zmian do rzeczywistości należy, zdaniem Iwasiów, zacząć od czytania literatury metodą genderową. „Tekst jest jak zbiór poplątanych nitek: wyjmiesz jedną, dowiesz się wszystkiego po kolei, a zwłaszcza do jakiego światopoglądu i modelu społeczeństwa owa nitka nas zaprowadzi. »Płeć« jest takim unerwionym obszarem, który powiedzieć może najwięcej" – przekonuje. Nic więc dziwnego, że słyszymy potem o „odkryciach naukowych", zgodnie z którymi wielkie postaci polskiej kultury i bohaterowie narodowi mają być uznani za homoseksualistów. Jeśli każda czynność badawcza ma zostać przepuszczona przez filtr seksualności, na przestrzeń dla wartości i prawdziwych, głębokich motywacji brakuje już miejsca. W efekcie mamy wiekopomne odkrycie jednej z genderystek, dr Elżbiety Janickiej z Instytutu Slawistyki PAN, która dopatrzyła się w bohaterach „Kamieni na szaniec" Aleksandra Kamińskiego „homoseksualnej miłości". We fragmencie opisującym uwolnienie „Rudego" przez „Zośkę" tak się zasugerowała słowem „rozkosz", że nie potrafiła zrozumieć go inaczej jak tylko popędowo.

> Śląski Uniwersytet Medyczny wyrzucił właśnie z pracy wykładowcę po zażaleniach środowisk LGBT oburzonych stwierdzeniami, że tylko związek kobiety i mężczyzny jest zdolny przekazywać życie

IDEOLOGIA W PRAKTYCE

Profesorowie od genderyzmu wmawiają masom, że to jedynie słuszny kierunek rozwoju nowoczesnego społeczeństwa. Szkolą nauczycieli i naciskają na ministerstwa, by edukacja równościowa była wdrażana na wszystkich etapach nauczania. Materiały dla nauczycieli zatwierdzone przez ZNP już są, a z ich treści jednoznacznie wynika, że ideologia LGBT+ ma być obecna we wszelkiego rodzaju zajęciach dydaktycznych. W „Podręczniku do prowadzenia zajęć z młodzieżą na temat seksualności i relacji międzyludzkich. Edukacja bez Tabu" czytamy: „Najczęściej mówi się o tożsamościach: heteroseksualnej, biseksualnej i homoseksualnej, jednak każda osoba może określić swoją tożsamość seksualną w całkowicie niepowtarzalny sposób, zupełnie wyjątkowym określeniem". Pod niewinnym hasłem „promocji równości" drzemie bardzo niebezpieczny pakiet ideologiczny, który zdaje się groźniejszy niż sama edukacja seksualna.

Z publikacji wydanej przez Kampanię przeciw Homofobii wynika, że promocją zachowań LGBTQ powinny zostać nasączone wszystkie aspekty nauczania. „Tematami takimi mogą być na przykład: małżeństwa, związki partnerskie, homofobia lub coming out osób publicznych" – czytamy w poradniku „Lekcja równości – materiały dla nauczycieli i nauczycielek. Jak rozmawiać o orientacji seksualnej w szkole i wspierać młodzież" wydanym w 2013 r.

Nauczyciele zostają też wyposażeni w przykazania równościowego pedagoga. Oto wybrane: „Wprowadzaj temat LGBT i homofobii naturalnie, regularnie, nie jedynie przy wyjątkowych okazjach"; „Nie dopuszczaj do głosu homofobicznych i krzywdzących wypowiedzi. Gdy się pojawią, od razu reaguj, nazywając je i wyrażając swój sprzeciw"; „Nie dopuszczaj wartościowania orientacji seksualnych i podziału na »bardziej« i »mniej« naturalne"; „Afirmuj obecność osób LGBT w społeczeństwie i ich wkład w naukę oraz kulturę".

Fala ideologii płynie coraz silniejszym nurtem. Ktokolwiek nie dostosuje się do narzuconych z góry norm, zostanie pociągnięty do odpowiedzialności – straci pracę, otrzyma grzywnę albo inną dotkliwą karę za homofobię. Taki jest plan na domknięcie rewolucji kulturowej. Czy można więc bez obaw patrzeć na poszerzające się oddziaływanie ideologii gender? Czy można uznać jej prawo do naukowości i kłaść się Rejtanem w jej obronie? Czy można ją chronić w imię naukowego pluralizmu?

eprasa.pl f6b46398b0



Alicja Szemplińska ma 17 lat i głos, który tydzień temu w jubileuszowej dziesiątej edycji programu „The Voice of Poland", przyniósł jej zwycięstwo. Teraz do rywalizacji stają uczestnicy debiutującego na antenie TVP „The Voice Senior"

Nie zmarnować tej szansy

Fot. Gałązka/AKPA

eprasa.pl f6b46398b0



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Alicja pochodzi z Ciechanowa, którego mieszkańcy gorąco jej kibicowali przez cały czas trwania programu. Uczy się w II klasie LO im. Zygmunta Krasińskiego.

Mówi, że wygrana w „The Voice of Poland" zmieniła jej plany na przyszłość. Zanim znalazła się w programie, myślała o studiach medycznych (co rok przynosi świadectwa z czerwonym paskiem). Po zwycięstwie najważniejszy stał się dla niej muzyczny rozwój. I – oczywiście – wydanie płyty. W końcu, poza statuetką, otrzymała kontrakt z wytwórnią Universal na debiutancki album, a także 50 tys. zł.

W GŁOWIE I SERCU

Szczęśliwa, jeszcze w ogromnych emocjach, tuż po zakończeniu finałowego odcinka mówiła, że te pieniądze pomogą jej dalej się rozwijać, pielęgnować to, co udało się wypracować w programie. Pozwolą „robić dobrą muzykę". – To jest teraz mój priorytet – podkreślała. – Nie zmarnować tej szansy i iść do przodu.

Mimo oszałamiającego telewizyjnego sukcesu rozsądna 17-latka nie zamierza obniżać lotów w szkole. Stwierdza: – Moje życie na pewno się zmieni, a przede mną dużo nadrabiania, ponieważ przez ostatnie tygodnie narobiło się sporo zaległości i nieobecności.

Przed młodziutką wykonawczynią również niełatwa droga przez meandry show-biznesu. Zdają sobie z tego sprawę jej trenerzy, Tomson i Baron, którym Alicja przyniosła pierwsze zwycięstwo (po ośmiu sezonach spędzonych na dwuosobowym fotelu w „The Voice of Poland").

Czy ulubienica publiczności i jurorów jest przygotowana na to, co ją teraz czeka? – Znam wiele starszych od siebie osób, czyli sporo po trzydziestce, które mają dużo mniej rozsądku, pokory i dojrzałości w głowie i sercu niż Alicja. Jest niesamowicie poukładaną osobą – uważa Aleksander Milwiw-Baron.

Razem z Tomaszem „Tomsonem" Lachem zapewniają, że ta niezwykle zdolna i pracowita dziewczyna – tak jak inni finaliści z ich drużyny – może nadal liczyć na ich wsparcie zarówno muzyczne, jak i przyjacielskie. Podkreślają, że jest wokalnym zjawiskiem. Nie tylko w historii „The Voice of Poland". Jej głosu z charakterystycznymi „dołami" nie sposób pomylić.

PRAWIE MY

W finale 10. edycji „The Voice of Poland" Alicja wykonała autorski singiel „Prawie my". Wcześniej poruszyła widownię m.in. utworem „Litania", który ćwierć wieku temu w musicalu „Metro" śpiewała Edyta Górniak. Ta właśnie artystka, przed trzema laty, była pod wrażeniem możliwości Alicji, wtedy uczestniczki programu „Hit! Hit! Hurra!". Zadeklarowała nawet: „Chciałabym, żebyś była moją córką".

Czternastolatka zachwycała widzów i jurorów wykonaniami m.in. przebojów „Listen" Beyonce, „Niech żyje bal" Maryli Rodowicz czy „Kolorowy wiatr" (kolejny przebój, tym razem z animowanego filmu „Pocahontas", łączony z Edytą Górniak), a niedługo potem wygrała „Hit! Hit! Hurra!".

Otrzymała wyjątkową nagrodę specjalną – warsztaty wokalne w Los Angeles. Mogła kształcić głos pod okiem Setha Riggsa, amerykańskiego trenera wokalnego, który współpracował m.in. z Michaelem Jacksonem, Madonną, Prince'em czy Steviem Wonderem. Pobyt w Stanach, jak widać, wykorzystała do maksimum. Dziś jest ukształtowaną wokalnie wykonawczynią. Pytana o „Litanię", którą sama wybrała na swój występ, mówi, że gdyby wznowiono musical „Metro", chętnie stanęłaby z tym utworem na teatralnej scenie.

CZAS NA SENIORÓW

Tymczasem, gdy jeszcze ważyły się losy Alicji w „The Voice of Poland", tuż przed finałem, telewidzom zaprezentowali się jurorzy nowego muzycznego show – „The Voice Senior". Trenerami są w nim: Alicja Majewska, Urszula Dudziak, Marek Piekarczyk i Andrzej Piaseczny, a prowadzącymi: Marta Manowska i Tomasz Kammel.



Fot. Jan Bogacz TVP

Do programu mogły zgłaszać się osoby 60+. Wielu zakwalifikowanych uczestników, jak zdradza Marta Manowska, przekroczyło 70, a nawet 80 lat. – Ale są we wspaniałej formie – zapewnia prowadząca. – I muzycznej, i fizycznej, i mentalnej. Bije od nich zarówno mądrość życiowa, jak i wielka radość życia. Radość przeżywania każdej chwili. I to jest piękne. Pierwsze przesłuchania w ciemno do „The Voice Senior" telewidzowie mogli śledzić już 7 grudnia.

eprasa.pl f6b46398b0

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Żart Englerta z kamienną twarzą

Kiedy napisałem, że nie wiadomo tak naprawdę, o czym jest „W małym dworku" Stanisława Witkiewicza, pouczono mnie na Facebooku, że nie ma co o to pytać. Przecież Witkacy to spec od czystej formy. Treści więc nie szukać!

Jan Englert przyrządził, nie po raz pierwszy, ten dramat – tym razem dla Teatru Telewizji (premiera w ten poniedziałek!). I on zwykle upiera się interpretować Witkacowskie treści. Nie chce się dać nabierać autorowi na czystą formę. A przestrogi przed uniformizacją, przed życiem zdominowanym przez konsumpcję? A przeczucie rewolucji? O tym, jak Witkacy widział kulturę masową, nim ukształtowała się na dobre, było choćby wyreżyserowane w Narodowym przez Englerta „Bezimiennie dzieło" z 2013 r. Czy „W małym dworku" da się opisać przy użyciu podobnych narzędzi?

Nie do końca, bo to przede wszystkim perfekcyjnie skonstruowana parodia mrocznych rodzinnych dramatów. Tytułem nawiązująca do „W małym domku" Tadeusza Rittnera, ale przedrzeźniająca większych jeszcze ponuraków, z Henrykiem Ibsenem na czele. Sam pomysł, że można aż tak żonglować formą, był potwierdzeniem literackich teorii Witkacego. Ale czy to jest całkiem o niczym?

A o czym są najbardziej odjechane filmy Davida Lyncha? Aż trudno uwierzyć, że Witkacy napisał coś podobnego do ich klimatu w roku 1921. Jeszcze to, że w uładzone relacje ziemiańskiego dworku wdziera się widmo dopiero co zmarłej, a właściwie zabitej przez pana domu żony, jesteśmy w stanie znieść. Widmo, które je i pije, a na dokładkę ujawnia swój dziennik. Finał jest nie tylko makabryczny, ale okrutny. Zabawa cierpieniem i śmiercią – jak u Lyncha. Więc o czym to jest? O zagładzie tradycyjnej rodziny i świata? O sile kobiet wobec słabości mężczyzn? Z rozproszonych kawałków można składać do woli różne refleksje. Sam Englert zwraca uwagę na jedno zdanie: jeśli na tamtym świecie jest jak na tym, nic nie ma sensu.

Ma sens takie pokazywanie świata? Niektórzy się oburzą i nawet ich zrozumiem. Ale to wciąga. Zwłaszcza w wersji Englerta, który każe to grać aktorom jak smoliście czarną komedię. I dodaje jeszcze naddatek. Jakiś swój szczególny styl wzmacniany zdjęciami Piotra Wojtowicza, muzyką Piotra Mossa – niby w stylu retro, a przecież groteskową, niepokojącą.

Sam Englert w roli pana domu Dyapanazego znowu – po „Lecie" Rittnera – jawi mi się jako soczysty typ komiczny i równocześnie ktoś, kto wychodzi z postaci i z boku bierze to wszystko w nawias. Jan Frycz bije rekordy najbardziej absurdalnych min w roli rządcy Kozdronia. A Przemysław Stippa, jako kuzyn Jęzory, drwi sobie z poetów, a trochę i Hamletów (dopiero co go zagrał) kreacją na miarę roku.

Tylko że w tym przypadku nie da się nie wymienić wszystkich. Beaty Ścibakówny jako całkiem materialnego widma. Dwóch młodziutkich aktorek: Pauliny Szostak i Michaliny Łabacz, jako córek fatalnej pary, świetnie przedrzeźniających dziecięcość. Agata Różycka gra ich nową opiekunkę Anetę.



Jest w rzeczywistości młodsza od nich, a jednak tu drapieżna i stylowa. Oskar Hamerski (Maszejko), Ewa Konstancja Bułhak (służąca Urszula) i Bartłomiej Bobrowski (kuchcik) – każde z nich wydaje się nieodzowne, bo tu każdy szczegół jest nieodzowny. Poza Różycką wszyscy są z Teatru Narodowego.

Opowiedziane jest to jak wyrafinowany dowcip, który cedzi się z kamienną twarzą. A ja wciąż się nad nim zastanawiam. Bo jak na parodię ogarnia nas po tym zbyt wielka melancholia...

Piotr Zaremba



Z szablą w dłoni

Chciałem pokazać w filmie drogę bohatera. Od bardzo młodego człowieka, chłopca zrodzonego do szabli, poniesionego przez ojca do chrztu – zgodnie ze zwyczajem – na skrzyżowanych szablach, do żołnierza, mężczyzny godnego szabli. Także związany z szablą kodeks, zbiór zasad przekładający się na model wychowania, kształtowania charakteru

Z Pawłem Delągiem, aktorem i reżyserem, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Szykuje się długie cięcie szablą?

Paweł Deląg: Taką mam nadzieję. Fabularno-dokumentalny film „Zrodzeni do szabli", który wyreżyserowałem i w którym gram XVII-wiecznego żołnierza, wojennego weterana, stającego się mistrzem i przewodnikiem dla młodego bohatera, będzie mieć premierę w telewizji History. W Polsce we wtorek 10 grudnia o godz. 21, a ty-

Fot. „Marina Rygalina"

eprasa.pl f6b46398b0

dzień później równocześnie w 34 krajach Europy i Azji, m.in. w Rumunii, Rosji, Norwegii, Bułgarii, Czechach, Serbii, Danii, Chorwacji, Kazachstanie, na Węgrzech, Białorusi, Ukrainie i Litwie. Zależało mi, żeby – zwłaszcza zagraniczny widz – odebrał ten film nie jako ubarwioną fabułą prezentację ciekawostek związanych z szablą, lecz poruszającą opowieść o ludziach zrodzonych do cnoty poprzez szablę.

Ambitne założenie, które zaczęło się od sztuki krzyżowej. Co to takiego?

To strategia walki, która – bardzo ciekawa dla sporej grupy pasjonatów i rekonstruktorów – dla mnie stała się punktem wyjścia, instrumentem, do opowiedzenia głębszej historii.

Zatrzymajmy się na chwilę przy broni tak mocno wpisanej w polską tradycję. Czy nazwa związanej z nią techniki walki bierze się od krzyża nakreślonego na ziemi, który wyznaczał pola treningu, czy może od cięcia ostrzem na krzyż?

Nie sposób dziś jednoznacznie powiedzieć. To sztuka, która rozkwitała w XVI i XVII w., ale na czym w szczegółach polegała, do końca nie wiadomo. Została odtworzona, zrekonstruowana przez pasjonatów szabli z zapisków, rycin; sprawdzona w działaniu przez członków Stowarzyszenia Polska Sztuka Krzyżowa.

To oni zwrócili się do pana z propozycją zrealizowania filmu?

Tak, ale – jak wspomniałem – szukałem czegoś więcej i na to przystali. Chciałem pokazać szerszy kontekst. Także związany z szablą kodeks, zbiór zasad przekładający się na model wychowania, kształtowania charakteru. Chciałem pokazać drogę bohatera. Od bardzo młodego człowieka, chłopca zrodzonego do szabli, poniesionego przez ojca do chrztu – zgodnie ze zwyczajem – na skrzyżowanych szablach, do żołnierza, mężczyzny godnego szabli.

Szabla mocno się zrosła z polską tradycją, językiem. Nawet małe dziecko wie, co znaczy: „Szable w dłoń!". A które z powiedzeń, przywołanych na ekranie przez językoznawcę Jerzego Bralczyka, jest panu szczególnie bliskie: „Do szabel!", „Bez karabeli ani z pościeli", a może: „Co Lach, to szabla"?

Niezmiennie cytat z „Mazurka Dąbrowskiego". Także dlatego, że tłumaczy zarówno nasz sposób myślenia o przeszłości, jak i współczesności.

Większość historii polskich zmagań, szczególnie z późniejszych wieków, ma charakter martyrologiczny; opowiada, że nieustannie próbujemy do czegoś doskoczyć, coś zdobyć. W naszym hymnie, który powstał pod koniec XVIII w.: „Co nam obca przemoc wzięła/ szablą odbierzemy", a historia o sto lat wcześniejsza pokazuje wojowników, którzy byli zwycięscy, dominowali na polach bitew i na europejskiej scenie politycznej. Mówi o Polsce, która była potęgą regionalną, o ludziach, którzy znali smak sukcesu. Chciałem odejść od Sienkiewiczowskiego pokrzepienia serc, powielanego też przez Jerzego Hoffmana. Chciałem opowiedzieć o mężczyznach, wojownikach wychowanych w regule, która, wymagając wiele, wiodła do pokonania słabości, zbudowania siły, wypracowania odpowiedzialności, do wojennej i życiowej sprawności i mądrości. To było dla mnie kluczowe.

I wychodząc naprzeciw potrzebom widza zafascynowanego pojedynkami rodem z „Gry o tron" czy „Wiedźmina", może też refleksami kultury samurajskiej lub wschodnimi sztukami walki, wplótł pan w opowieść o szabli wątek mistrza i ucznia, który w trudnej drodze staje się wojownikiem?

Za komplement przyjąłem opinię córki mojego przyjaciela – nastolatki, która po obejrzeniu „Zrodzonych do szabli" stwierdziła, że początek, w którym omawiane jest wykuwanie tzw. głowni szabli, nie za bardzo ją zainteresował, ale historia bohatera, taka trochę w stylu „Karate Kid", już ją wciągnęła.

Jestem filmowcem z krwi i kości. Z równą namiętnością i zapałem opowiadałbym o epoce napoleońskiej, gdybym z tego wyniósł coś w szerszym kontekście. W „Zrodzonych do szabli" mówimy o początkach XVII w., kiedy rozwój kulturalny, militarny, gospodarczy i polityczny Rzeczypospolitej osiągał szczyty. Nie było jeszcze różnego rodzaju wynaturzeń, które zniszczyły to coś, za czym tak bardzo mocno w tej chwili pewnie tęsknimy. Rola religii, Kościoła była jasno określona, ale też Kościół bardziej był wpisany w obyczaj, a nie w tubę propagandową. O tym też w filmie mówimy, że wiara była prawdziwa, a nie na pokaz. Prezentujemy szczerość postaw i intencji bohaterów, i w tym sensie budujemy idealny obraz rzeczywistości, nadajemy kształt marzeniu o niełatwym, czasem brutalnym, ale sprawiedliwym porządku, w jakim żyli bohaterowie.

Jacy naprawdę byli ludzie, którzy władali szablą?

Stawiałem też pytanie, co powodowało, że wychodząc do licznych bitew i wojen, które toczyły się przez cały wiek XVII, ze wszystkimi sąsiadami (bo to byli: i Tatarzy, i Moskwa, i Szwedzi, i Turcy, i Mołdawianie...), i stając z reguły w słabszym, mniej licznym układzie sił, dla Rzeczpospolitej te bitwy wygrywali. Nie tylko dzięki supertechnice wojennej, lecz w dużej mierze dzięki mentalności. Byli zahartowani, nieustraszeni, gotowi na najtrudniejsze, a kiedy trzeba – na ostateczne rozwiązania, by bronić przyjętych wartości. Tacy ludzie, jako weterani, stawali się na szlacheckich dworach wychowawcami, nauczycielami, mistrzami – uczącymi nie tylko sztuki wojennej, lecz i szlifującymi charaktery. Takim duchowym przewodnikiem, mentorem, przyjacielem, choć surowym i wymagającym wobec młodego szlachcica Błażeja Wronowskiego był Jan Jerlicz, którego zagrałem w „Zrodzonych do szabli".

Mam wrażenie, że relacje mistrz–uczeń, ojciec–syn są w tym projekcie niezwykle ważne nie tylko na poziomie fabuły. Choćby to: inicjatorami powstania filmu byli ojciec i synowie?

eprasa.pl f6b46398b0



Fot. „Marina Rygalina"

Janusz Sieniawski, szermierz, który od lat reaktywuje dawną sztukę władania szablą, trener, jeździec, konsultant, współtwórca scen walk m.in. w filmie „Ogniem i mieczem" Jerzego Hoffmana, w „Zrodzonych do szabli" występuje jako komentator i lektor. Jego dwaj synowie, Bartosz i Krzysztof Sieniawscy, współtworzący Stowarzyszenie Polska Sztuka Krzyżowa, zadebiutowali jako aktorzy.

Przy tym filmie pracował też pana syn?

Mój Paweł jest pięknym duchem młodym człowiekiem, który idzie własną ścieżką. Chciałem, żeby przyłączył się do nas i faktycznie był „fachowcem od spraw awaryjnych i trudnych". Pomagał nam w początkowej fazie projektu, potem wezwały go inne obowiązki. Mój sposób wychowania Pawła opierał się na rozmowach z nim, dyskusjach. Jako ojciec jestem zdecydowany, ale daję też dużo wolności. Uważam, że młody człowiek musi przede wszystkim chcieć, nie może być do niczego zmuszany. A zadaniem rodzica jest zauważyć i pomóc rozwinąć jego talenty, rozbudzić zainteresowania, pasje. Wspierać.

Będziecie się spotykać na planie?

Myślę, że to początek twórczej współpracy.

Czy jest jeszcze coś, o czym warto powiedzieć przy okazji „Zrodzonych do szabli"?

To film zrodzony z pasji wielu ludzi. W niewielkiej części obsadzony przez zawodowych aktorów – moich przyjaciół: Maćka Kowalewskiego, Darka Toczka, znakomitego scenografa Mariana Zawalińskiego czy kierownika produkcji Jurka Szebestę, cudownego fachowca; jestem wdzięczny za wsparcie, które otrzymałem od Jakuba, naszego kierownika planu i dosłownie gościa od wszystkiego – za to wspierany przez wielu wspaniałych rekonstruktorów m.in. z chorągwi husarskiej dowodzonej przez Jarosława Struczyńskiego. Sporo ludzi pracowało przy tym filmie za minimalne stawki albo wcale nie otrzymując wynagrodzenia i jest to prawdziwie wielki wkład z ich strony, który w każdej produkcji stanowi dużą cześć budżetu. Film został sfinansowany ze środków prywatnych. Na etapie postprodukcji, poprzez portal PolakPotrafi.pl, wsparły go finansowo setki darczyńców.

„Zrodzeni do szabli" to pana debiut reżyserski. Jak udało się połączyć go z wielością aktorskich zadań?

To prawda, nie narzekam na brak propozycji. Polscy widzowie mogą mnie kojarzyć z serialem „Przyjaciółki" lub filmem „Wszytko albo nic", ale sporo też gram za granicą.

W Rosji uchodzi pan za gwiazdę. Jeden z portali wyliczył, że w minionych sześciu latach zagrał pan w 30 tamtejszych produkcjach? A teraz?

W najbliższym czasie mam cztery premiery: polską – „Zrodzonych do szabli", czeskiego filmu „Daria" – to już moja trzecia produkcja na tym rynku; w Rosji – ogromny kostiumowy projekt „Legenda El Ferrari", szpiegowska historia trochę w stylu bondowskim z początku XX w., i w końcu brytyjska produkcja „Enemy Lines" – film z okresu II wojny światowej, ze świetną obsadą: Ed Westick, Tom Winsdom. W każdym z tych filmów gram główne role. W zdjęciach jest ukraińsko-polski kostiumowy serial „Kawa z kardamonem". Poza tym przygotowuję dwa projekty jako koproducent.

Gorąco polecam też uwadze mój projekt społecznościowy, łączący film i modę, który nazywa się Polska Kulturalna. Chcemy pokazać młodym ludziom, że w tradycji tkwi ogromna siła, a czerpiąc z tego, co znane i kultowe, można tworzyć ciekawą formę współczesnej kultury. Pragniemy w ten sposób wzmacniać więzi międzypokoleniowe. Chcemy rozmawiać o filmach, aktorstwie, ale przede wszystkim o wartościach. Tak jak przy „Zrodzonych do szabli".

1/1219/F

eprasa.pl f6b46398b0

Poczta Polska

Odbiór w Punkcie

12 000 LOKALIZACJI

Największa sieć punktów odbioru w Polsce











eprasa.pl f6b46398b0



Coming-out z huculskiej skrzyni

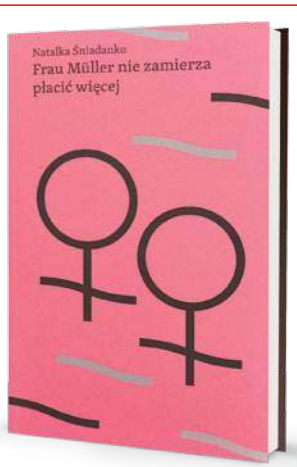
Wojciech Stanisławski

Ulga i zakłopotanie – to będą najpewniej dwa pierwsze odczucia czytelnika tej powieści. Ulga – że wreszcie ma jakiekolwiek wyobrażenie o tym, co myśli, jak widzi świat ta Irina, Marija czy Oksana, którą czasami mija dźwigającą kartony w za ciasnym przejściu między regałami Biedronki, czasami słyszy jej miękkie, niemal „kresowe", ale jednak nie, „dzjendobry" zza kasy w tymże sklepie, a czasem wynajmuje do posprzątania mieszkania i dopiero po kilku zdawkowych rozmowach odkrywa, że tamta nie zawsze szorowała cudze wanny, że w którymś z tych miast na wschodzie, niemal „kresowych", ale jednak nie, jakimś Dniepropietrowsku czy Charkowie kończyła kiedyś architekturę, kompozycję albo chemię organiczną. A zakłopotanie – że teraz dopiero zdał sobie odrobinę bodaj sprawę, co to znaczy być Ukrainką pracującą za granicą, w płynnej diasporze koleżanek po przybranym na jakiś czas fachu, ze splotem doznań: niepewności, lęku przed upokorzeniem, ciekawości/swojskości/obcości.

Piszę to świadom, że współczesne doświadczenie ukraińskie jest przecież łatwo i szeroko dostępne dla polskiego czytelnika. Kto chce, sięga po tuzin autorów, od Andruchowycza po Żadana; kto chce, czyta reportaże i prozę podróżną, śledzi korespondencje z Kijowa i z frontu, emocjonuje odeskimi oligarchami i szantażem gazowym Rosji. Mam jednak wrażenie, że przeważająca część tych zapisów wyszła spod pióra autorów albo mocno żyjących polityką (i tym samym chętnie czytanych przez podobnie „upolitycznionego" polskiego odbiorcę), albo na tyle mocno osadzonych w rzeczywistości ukraińskiej, że traktują ją jako naturalne i neutralne tło swoich gier literackich.

Zupełnie inaczej u Śniadanko: w jej najnowszej, świetnej językowo powieści bohaterki, owszem, tkwią w codzienności Ukrainy współczesnej sprzed kilku dosłownie lat, pełnej chciwych deweloperów, taniego internetu i wiosek wyludnionych przez emigrację, Ukrainy „pokrytej rudoszarym nalotem radzieckości", ale świadomej już, że to tylko nalot. A zarazem, żeby rzecz uczynić mniej jednoznaczną, Ukrainy pełnej „nitek pamięci" tak bolesnej, że wypartej: wspomnienia staruszki pamiętającej polski dwór, Sowietów, Niemców i „banderów" należą do najbardziej poruszających fragmentów tej powieści. Równocześnie bohaterki, przede wszystkim Chrystyna – chłodna, piekielnie inteligentna introwertyczka, stale usiłują nazywać swoje doznania, dotrzeć do prawdy o sobie. Dzieje się tak trochę za sprawą okoliczności – wyrwania wykształconych młodych kobiet z kolein życia w sennym Lwowie i wtrącenia w nowe doświadczenie „sprzątania i opieki nad osobami starszymi" (cóż z tego, że w Niemczech, nie w Polsce?). A zarazem – nie da się uniknąć trochę zużytej frazy: to książka o spóźnionym dojrzewaniu, spóźnionym odkrywaniu swoich potrzeb, języka, którym się je nazywa, prawa do autonomii. Tak, wzmożone ideowo krytyczki i wykładowczynie uznają „Frau Müller..." za „prozę feministyczną" i będą miały rację. Komu jednak przeszkadza ta upolityczniona etykietka, może czytać książkę Śniadanko po prostu jako zapis odnajdywania głosu, wyzwalania się z narzucanych przez kulturę i obyczaj ról społecznych. Te zaś naprawdę, im dalej na Wschód, tym więcej mają w sobie sztywności – już nie krakowskiego czy huculskiego stroju, którym można zachwycić w przedszkolu czy na ślubie, lecz azbestowego kombinezonu strażaka.

To połączenie całkowicie współczesnych i „zachodnich" ambicji, apetytów, pretensji do „bycia sobą" z postsowieckimi realiami społecznymi i ukraińską pamięcią stwarza piorunującą mieszankę, zderzenie smaków jak w tajskiej zupie. Kto chce, cieszyć się będzie z banalnego, podręcznikowego „nieheteronormatywnego" coming-outu bohaterek. Dla większości jednak ciekawsze będzie wychodzenie nie z typowej szafy, lecz z malowanej na ludowo skrzyni: linienie z ciasnego kokonu, ujawnienie części bodaj prawdy o tym, co to znaczy być Ukrainką.



Natalia Śniadanko, „Frau Müller nie zamierza płacić więcej", tłum. Bohdan Zadura, Wydawnictwo Warsztaty Kultury, Lublin 2019

eprasa.pl f6b46398b0

Buczacz w ciemnej dolinie

Te dwie książki są jak dwie niedobrane soczewki, przez które patrzymy na Zagładę i Sprawiedliwych.

Różni te tytuły niemal wszystko: styl, metoda, wrażliwość. Będą pewnie trafiały na różne półki, do różnych bibliografii. A przecież ma sens, żeby spotkały się nie tylko za sprawą tematu i geografii (jedna z ocalonych przez Polaków, Gisela Schmulowitz, urodziła się w Winogradzie, na obrzeżach Buczacza, i tam przeżyła wojnę), ale i w oczach czytelnika, który spróbuje na czas lektury ściągnąć bliżej siebie dwie obolałości, jakby przy sznurowaniu rozchodzących się na boki pół namiotu.

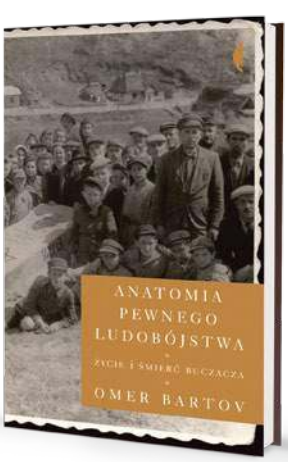
Najpierw Omer Bartov: wykładowca Brown University, badacz Wehrmachtu. Do podolskiego miasteczka dotarł, by tak rzec, przez front wschodni, o którym traktowała jego pierwsza książka z 2001 r. Tak się robi mikrohistorię: 20 lat kwerendy, cytaty z wyroków buczackich sądów, miejscowych testamentów, ulotek, na poły zeskrobanych ze ścian plakatów, cudem ocalałych listów i memorbuchów. Kolaż głosów, panorama wieków i rozbiorów, coraz bardziej szczegółowa, począwszy od końca XIX w., kiedy atmosfera zaczyna się zagęszczać.

Bartov wydobywa wszystkie głosy, które ukazują, jak wzrost świadomości narodowej „tutejszych", którzy okazują się Rusinami, Ukraińcami i Żydami, okazuje się trudny do zrozumienia dla miejscowych Polaków, marzących pod zaborami o odrodzeniu Rzeczypospolitej. Przede wszystkim zaś, jak łatwo każda z trzech narodowości skłonna jest uznać się za ofiarę prześladowań zarówno potęg zewnętrznych, jak i pozostałych dwóch nacji. Każda, dodajmy, ma po temu podstawy.

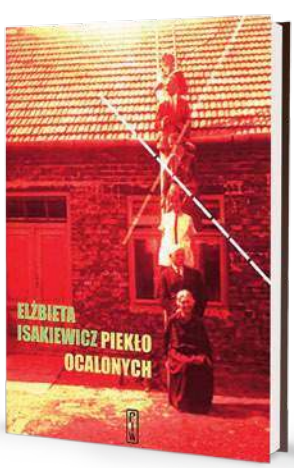
Amerykański historyk z żydowskimi korzeniami nie pozwala sobie na tanie generalizacje. Żądło tej opowieści, które czyni ją trudno przyswajalną dla polskiego czytelnika, ukryte jest gdzie indziej: dla Bartova niemożliwa do przyjęcia jest jakakolwiek „narracja dominująca", w każdym przywiązaniu do własnej wspólnoty narodowej dostrzega „nacjonalizm". To sprawia, że za nacjonalistę ma nie tylko Antoniego Siewińskiego, klasycznego galicyjskiego endeka, którego drwiący ton, gdy pisze o „Żydkach", jest nie do przyjęcia – ale i instruktora harcerskiego z wyraźnymi sympatiami piłsudczykowskimi, Edwarda Pelca. Podkreślmy – podobnie pisze o aktywistach ukraińskich i młodych syjonistach: każda wspólnotowość budzi jego niepokój. Dopuszcza się prezentyzmu, ciężkiej u historyka przewiny, z niesmakiem pisząc o patriotyzmie w patetycznej formule z epoki dwudziestolecia. Ale też, opisując czas okupacji, nie stosuje taryfy ulgowej wobec nikogo: ani polskich i ukraińskich szantażystów, ani żydowskich kolaborantów i donosicieli. To książka szczegółowa, cierpka i ciężka.

Po tej lekturze „Piekło ocalonych" jest, wbrew tytułowi, jak głęboki oddech. To sfabularyzowane relacje Żydów ocalałych z Zagłady dzięki determinacji i odwadze swoich sąsiadów, Polaków. Takich książek jest trochę: część służyć ma kojeniu urazów, część – budowaniu wizerunku Polski, jednym i drugim zdarzają się przesłodzenia (obrazu międzyludzkiej solidarności) i przemilczenia (tego, co nie pasuje do laurki).

Książka Elżbiety Isakiewicz od przemilczeń jest wolna: wspomina niechęć, nieżyczliwość, prozelityzm obecne czasem u ratowników, nierzadko – u ich sąsiadów. Wolna jest też od przesłodzeń, chociaż nie jest łatwo pogodzić się z lekkością jej zdań, z poetyckimi frazami, które wydają się czasem na granicy dobrego smaku, podobnie jak typograficzny trik wydawcy: przykrojenie łacińskich liter podtytułów tak, by wyglądały na próbki hebrajskiego alfabetu. Istnieje jednak dobre wytłumaczenie tej pastelowości, tej lekkości: relacje, z których korzystała Isakiewicz, to w większości wspomnienia dzieci. Najwyraźniej tylko one były w stanie zobaczyć blask jedwabiu, zieleń pola.



Omer Bartov, „Anatomia pewnego ludobójstwa. Życie i śmierć Buczacza", tłum. Adam Musiał, Czarne, 2019



Elżbieta Isakiewicz, „Piekło ocalonych", PIW, 2019

eprasa.pl f6b46398b0



Pyszna zabawa Agathą Christie



Agatha Christie powraca w wielkim stylu! Nie dlatego, że do jej ekranizacji wziął się ostatnio Kenneth Branagh. Brytyjska mistrzyni kryminałów znalazła się też na tapecie u Quentina Tarantino w „Nienawistnej ósemce". Rian Johnson („Looper. Pętla czasu", „Ostatni Jedi") nie tylko wyciąga kwintesencję pisarstwa autorki przygód Herkulesa Poirot, lecz wrzuca ją do gatunkowego kotła.

Zaczyna się od trzęsienia ziemi. A potem jest tylko zabawniej i coraz bardziej zdumiewająco. Zostaje znaleziony martwy sławny pisarz Harlan Trombley (Christopher Plummer). Tuż po swoich 85. urodzinach, które spędzał u boku rodziny. Oficjalnie popełnił samobójstwo. Po pogrzebie wraz z policją przybywa do domu ekscentryczny detektyw Benoit Blanc (Daniel Craig), który jak Poirot podejrzewa o zbrodnie wszystkich.

Blank przedziera się przez rodzinną sieć, odsłaniając wszystkie maski i sekrety rodu, tylko z pozoru zgodnego i scementowanego. Byłoby to banalne, gdyby nie sposób, w jaki Johnson traktuje wyeksploatowany w klasycznym kryminale motyw. Tarantino w „Nienawistnej ósemce" poszedł w stronę nihilistycznej makabreski, Branagh w „Morderstwie w Orient Expressie" w nabożny i nudny sposób potraktował oryginał. Johnson natomiast przegina, podkręca wszystko i osuwa się w absurd, a nawet groteskę Wesa Andersona. Jednocześnie nie traci konwencji, choć w każdej scenie bierze ją w nawias.

To zdumiewające, ale rozwiązanie tajemnicy śmierci głowy rodu jest nam podane na tacy w pierwszej połowie filmu. Co jest więc potem? Najlepsza część! Pytania o motywy zdarzenia się piętrzą, sieć wzajemnych zależności rodzinnych się zapętla, a groteskowość pcha opowieść na granicę autoparodii gatunku. Czy bajecznie bogaty, znany pisarz kryminałów popełnił rzeczywiście samobójstwo, czy może z pietyzmem zaplanował swoją śmierć, pośmiertnie pisząc swój najlepszy kryminał? Kto z zakłamanej rodzinki zyska najmocniej na śmierci? Jaka jest rola urugwajskiej pomocy domowej (zjawiskowa Ana de Armas)?

Daniel Craig jest wyborny jako nowoorleański detektyw o francuskim nazwisku i głupawym akcencie. Nie wiemy do końca, czy jest imbecylem i pozerem, czy nowym wcieleniem Holmesa. Ma czego w kinie szukać po nadchodzącym finale przygody z Bondem. Reszta obsady dotrzymuje mu dzielnie kroku. Don Johnson dojrzewa na stare lata jak najlepsze wino, Michael Shannon tworzy kolejny portret pogruchotanego życiem dziwaka, Toni Collette jest rozbrajającą podstarzałą Barbie, Chris Evans ucieka od wizerunku Kapitana Ameryki, a Jamie Lee Curtis zabawnie oddaje wyrachowane sztywniactwo próżnych i zepsutych dziedziców wielkiej fortuny. Cała obsada daje doskonale skomponowany koncert pod batutą pewnego siebie reżysera.

W tle pojawiają się dysputy bohaterów o polityce Trumpa, a finał zanurzony jest w modny ostatnio temat wojny klasowej. To jednak mało istotne. Rian Johnson ożywił klasyczny kryminał, podlewając go komediowym sosem, i stworzył smaczną gatunkową żonglerkę. Wygrywa w jego historii czyste serce, co przecież dziś w cynicznym kinie nie jest normą.

„NA NOŻE", REŻ. RIAN JOHNSON, DYSTR. MONOLITH

Wciąż zachwyca

To jeden z tych disnejowskich filmów, który na zawsze wgryzł się w świadomość nie tylko dzieciaków. To idealny przykład oparcia popkulturowego utworu na najważniejszych motywach literatury. Mamy tu szekspirowskie opowieści o królobójstwie, elementy mitologii i motywy chrześcijańskie (diabelsko kuszony zbawiciel powracający po latach do swego ludu). „Król Lew" z 1994 r. był ostatnim tak jawnie opartym na chrześcijańskim przekazie filmem Disneya. Nowa wersja pozostaje wierna przesłaniu oryginału, za co zresztą spotkała się z zarzutami o braku „postępowości". Lwice bronione przez lwa? To patriarchalizm! – krzyczeli politpoprawni krytycy. Spec od wysokobudżetowego kina Jon Favreau może i zgubił trochę magii oryginału, ale wszystko wynagrodził wbijającymi w fotel specjalnymi efektami. VR/AR zostały doprowadzone do perfekcji. Zwierzęta w „Królu Lwie" naprawdę wyglądają, jakby były wyjęte z programów National Geographic. Oddają przy tym wszystkie ludzkie emocje. Oglądajcie w jak najlepszej rozdzielczości.

„KRÓL LEW", REŻ. JON FAVREAU, DYSTR. GALAPAGOS



Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl f6b46398b0

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Film nie tylko o wyścigach

„Ford vs Ferrari". Podoba wam się ten tytuł? Mnie bardzo. Krótki i wszystko mówiący o filmie, jaki mamy oglądać. A jednocześnie jest to tytuł intrygujący, bo przecież o wojnie między dwiema kultowymi markami samochodów nie wiemy aż tak wiele. Ale europejscy dystrybutorzy nie podzielają mojego zachwytu nad amerykańskim tytułem i zmienili go na kuriozalny „Le Mans '66". Tak, lepiej przyciąga widzów do kina niż jakieś fordy i ferrari.

Warto ten film obejrzeć. „Ford vs Ferrari" opowiada o legendarnym 24-godzinnym wyścigu na torze Le Mans w 1966 r. To tam niepokonanej ekipie Ferrari wyzwanie rzucił zespół Forda. Wszystko dzięki marzeniu konstruktora Carrolla Shelby'ego (Matt Damon), który po zakończeniu kariery na torze, zapragnął zbudować pierwszy prawdziwy amerykański samochód wyścigowy. Zaraził tą ideą urażonego butą i cwaniactwem Enzo Ferrariego (koncernowi Ford nie udało się przejąć marki) Henry'ego Forda II (Tracy Letts). Shelby buduje prototyp legendarnego Forda GT40 MK I, sadzając za kółko genialnego i zarazem krnąbrnego kierowcę Kena Milesa (Christian Bale). Brytyjski imigrant i weteran II wojny światowej to typowy outsider, niezwracający uwagi na konwenanse marzyciel. Shelby to jego przeciwieństwo. Jest również marzycielem, ale potrafi grać z systemem. Obu łączy jedno. Są mentalnymi kowbojami, którzy zamieniają wierzchowca na mruczącą, metalową bestię. Jest ona dla nich czymś więcej niż samochodem i kochanką. Bestia jest częścią ich osobowości.

James Mangold uwielbia opowiadać o takich facetach. Marzycielach, indywidualistach i przemielonych przez system kowbojach. Taki był przecież walczący z zepsuciem miasteczka szeryf Freddy (Stallone) w „Cop Landzie" i odrzucony superheros Logan (Jackman). A Johnny Cash (Phoenix) w „Spacerze po linie"? To też outsider stający się legendą. Mangold to w końcu reżyser remake'u „3:10 do Yumy" również z Bale'em w roli głównej. Duet Miles–Shelby ma kowbojską fantazję i bezczelność na torze. Shelby jest patriotą marzącym o tym, by USA stały się wyścigową potęgą. Obaj wiedzą, że są w mackach wojny pazernych korporacji, które wycisną dla własnych korzyści każdego ideowca. Oni jednak pozostają przy swoich wartościach – męskiej przyjaźni, poświęceniu i ofierze, jaka w tej świetnie opowiedzianej historii się pojawia.

Mangold nie podkręca emocji na torze jak Ron Howard w „Wyścigu", ale równie sugestywnie pokazuje moc


Kino

blaszanych bestii. W latach 60. wyścigi na torach nie były tak obwarowane najlepszymi systemami bezpieczeństwa jak dziś. Wtedy żaden kierowca nie wiedział, czy wyjdzie z wyścigu żywy. Również publika była narażona na trafienie większym lub mniejszym kawałkiem maszyny. To wszystko u Mangolda wybrzmiewa. Mnie jednak za serce złapała uniwersalna historia przyjaźni dwóch facetów gotowych umrzeć za swoje marzenia. Matt Damon i Christian Bale (to zdumiewające, że w poprzedniej roli ten chuderlak był otyłym politykiem) tworzą duet godny najważniejszych ekranowych par Hollywood. Mam nadzieję, że jeszcze coś razem zagrają.

„LA MANS '66", REŻ. JAMES MANGOLD, DYSTR. IMPERIAL-CINEPIX

Mądry film

Dobrze, że taki film nakręciły pieszczochy festiwalu w Cannes (trzy Złote Palmy!) bracia Dardenne'owie. „Młody Ahmed", za który dostali oni w Cannes nagrodę za reżyserię, dotyka najbardziej drażliwego problemu współczesnej Europy. Ahmed to 13-latek mieszkający w Belgii. Gdy jego koledzy odkrywają uroki życia nastolatków, on studiuje Koran u charyzmatycznego imama. Z każdym dniem się radykalizuje, zatapiając się w fascynacji dżihadem. W końcu ata-

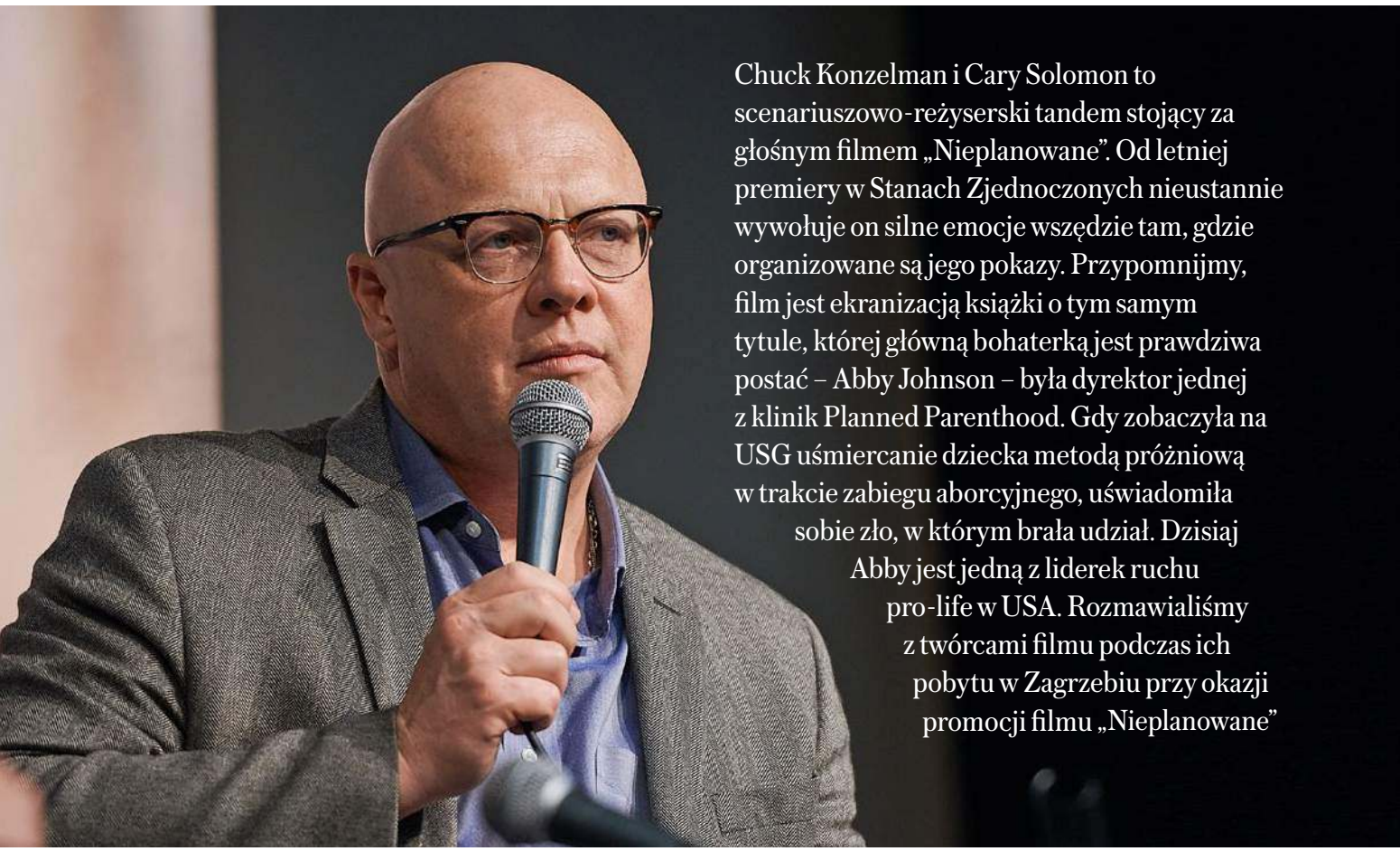

Kino

kuje. Bracia Dardenne'owie nie ukrywają, że fundamentalizm islamski jest problemem. Nie idą jednak w prostą ideologizację i z typową dla siebie wrażliwością społeczną chcą dojrzeć, co się kryje za pełnymi fanatyzmu oczami dziecka z wypranym przez terrorystę umysłem. Zaskakuje otwarty finał niepozwalający wsadzić filmu do żadnej politycznej szufladki. Mądre kino.

„MŁODY AHMED", REŻ. BRACIA DARDENNE'OWIE, DYSTR. AURORA

Skala ocen: dno · koszmar · rozczarowanie · można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl f6b46398b0



Chuck Konzelman i Cary Solomon to scenariuszowo-reżyserski tandem stojący za głośnym filmem „Nieplanowane". Od letniej premiery w Stanach Zjednoczonych nieustannie wywołuje on silne emocje wszędzie tam, gdzie organizowane są jego pokazy. Przypomnijmy, film jest ekranizacją książki o tym samym tytule, której główną bohaterką jest prawdziwa postać – Abby Johnson – była dyrektor jednej z klinik Planned Parenthood. Gdy zobaczyła na USG uśmiercanie dziecka metodą próżniową w trakcie zabiegu aborcyjnego, uświadomiła sobie zło, w którym brała udział. Dzisiaj Abby jest jedną z liderek ruchu pro-life w USA. Rozmawialiśmy z twórcami filmu podczas ich pobytu w Zagrzebiu przy okazji promocji filmu „Nieplanowane"

Przeciwko nam stawali wszyscy medialni mocarze

O filmie „Nieplanowane" opowiadają jego twórcy Chuck Konzelman i Cary Solomon

Z wielką uwagą śledziliśmy waszą walkę, aby film „Nieplanowane" trafił do publiczności. Bitwa z całą maszynerią zaprogramowaną i działającą przeciwko wam nie była łatwa. To już wiemy. Ale jednak się udało...

Chuck Konzelman: Ta machina nawet kiedy udaje, że nas ignoruje, walczy przeciwko nam. Nie mogliśmy wykupić czasu reklamowego w większości telewizyjnych stacji kablowych w kraju. Przeciwko nam były media społecznościowe, Google określił nasz film jako propagandowy już w pierwszym tygodniu pokazów, a w tym samym czasie Twitter zlikwidował nasz profil. Robiono absolutnie wszystko, aby utrudnić nam pracę. Represje były tak wielkie, że byliśmy zmuszeni złożyć zeznania przed Senacką Komisją Sprawiedliwości, oskarżając wielkie firmy technologiczne o dyskryminację konserwatywnych poglądów.

Cary Solomon: W Białym Domu wzięliśmy udział w szczycie na temat tego jak Facebook, Twitter i Google dyskryminują konserwatystów oraz ich przekonania.

Ch.K.: Mimo to film w końcu trafił do kin, chociaż w każdym państwie przerabialiśmy ten sam represyjny scenariusz.

W Kanadzie podobno było najciężej?

C.S.: To prawda. Doszło do tego, że widzowie zorganizowali kampanię, w której domagali się pokazu „Nieplanowanego"

eprasa.pl f6b46398b0



Fot. archiwum prywatne

w kinach pod groźbą bojkotu innych filmów. Strach przed bojkotem, na który dyrekcje kin nie mogły sobie pozwolić, spowodował, że kina jedno po drugim godziły się na pokaz „Nieplanowanego". Kina pękały w szwach, ale mimo to, choć mieliśmy świetną frekwencję, po tygodniu film został zdjęty.

Jak się bronić przeciwko takiemu oporowi?

C.S.: Jeśli Bóg jest z tobą, choć bitwa nie przebiega zawsze tak, jak byś się tego spodziewał, ostateczne zwycięstwo jest pewne. Gdziekolwiek pojawialiśmy się z tym filmem, czekała nas walka, ale Bóg zawsze interweniował. Przeciwko nam stawały wszystkie fanatyczne lewicowe stowarzyszenia, władze, medialni mocarze, jak Google czy Twitter.

Ch.K.: Wiadomo, że większość studiów filmowych w USA realizuje lewicowo-liberalne programy, ale nie biorą w tym udziału kina. W Europie natomiast właściciele kin bronią lewicowego myślenia. Okazało się, że w Polsce na tydzień przed premierą nikt nie chciał pokazywać „Nieplanowanego". Ale w bardzo krótkim czasie wszystko się zmieniło. To sytuacja, którą spotykamy wszędzie. Na początku media ignorują film, a kina nie chcą go prezentować. Chwilę później kilka kin decyduje się na pokaz, a za nimi zgłaszają się kolejne. Następnie media rozpoczynają walkę przeciwko filmowi.

Na ironię okazało się, że lewicowy przekaz stał się naszym największym sojusznikiem w reklamowaniu filmu. W państwach, w których nie mieliśmy wystarczająco dużo środków na promocję, negatywne teksty w mediach okazały się najlepszą reklamą. W Kanadzie na przykład szefowa biura premiera Justina Trudeau przez cały tydzień na Twitterze obrzucała film błotem, pisząc, że za pokazy w Kanadzie odpowiadają konserwatyści. Miałem ochotę wysłać jej bukiet róż. W żaden sposób nie zdołalibyśmy przyciągnąć takiej publiczności w tym kraju, bo nie mieliśmy na to pieniędzy.

Kim są ci, którym przeszkadza film „Nieplanowane"?

C.S.: Musimy zacząć od kwestii duchowej. Szatan lubi zabijać dzieci, ponieważ wie, jak bardzo Bóg je kocha. Dochodzi do tego czynnik finansowy, czyli miliony dolarów, które zarabia się na zabijaniu dzieci.

Ch.K.: W USA biznes aborcyjny jest sprywatyzowany. Działają tam kliniki, które żyją tylko z tego. Największą firmą zarabiającą na zabijaniu dzieci jest Planned Parenthood (PP), która w innych państwach ukrywa się także pod innymi nazwami. Każdego roku codziennie otrzymuje od państwa 1,5 mln dol. Rzecz więc dotyczy ogromnych pieniędzy, które wiążą firmę ze strukturami politycznymi. 10 proc. z tej puli jest przekazywane na lobbowanie podczas

eprasa.pl f6b46398b0

wyborów na rzecz tych senatorów i kandydatów na prezydenta, którzy wspierają ich proceder, oraz na niszczenie ich przeciwników. Bycie politykiem pro-life w USA jest bardzo niebezpieczne.

C.S.: To wielka maszyna nakręcająca wielkie pieniądze. A podstawą tej lewicowej ideologii jest komunizm zmierzający do zniszczenia rodziny. Środek jest prosty. To aborcja. Celem jest zmniejszenie liczby mieszkańców, ponieważ jedną z podstawowych idei lewicowo-liberalnej ideologii jest kontrola populacji. Dlatego też w Afryce i Ameryce Południowej promuje się aborcję i sterylizuje ludzi. Te organizacje są opętane śmiercią, tak jak szatan jest nią opętany. Ich agendy tam działające liczą tylko pieniądze.

A przemysł rozrywkowy? Skąd ta ideologiczna homogeniczność Hollywood?

Ch.K.: Hollywood jest odpowiedzialne za wspieranie maszyny do produkcji pieniędzy. Planned Parenthood ma swoją osobę, która reprezentuje interesy tej organizacji w przemyśle filmowym. To Caren Spruch, odpowiada w PP za przemysł rozrywkowy. Ma za zadanie lobbować między dyrektorami, aktorami i agencjami na rzecz proaborcyjnych programów, tak aby pojawiały się w filmach. To sposób pracy identyczny z tym, jaki w ministerstwie propagandy realizowali naziści.

C.S.: Ideologiczna jednorodność Hollywood wynika także z tego, że aktorzy stanowią specyficzną grupę artystów. Nie żyją w prawdziwym świecie, ale w swoich rolach. Ludzie ich kochają, szanują, a oni chcą, aby to trwało. Lewica żeruje na tej potrzebie i pierze im mózgi swoją ideologią. Artyści są zmanipulowani i mówią, że „aborcja jest dobra" itd., ale nie są świadomi tego, co mówią. To rodzaj błędnej moralności, która dominuje w Hollywood, jeśli zdecydujesz się jej przeciwstawić, zostaniesz ukarany. My należymy do tej grupy. Nigdy nie będziemy z nimi pracować.

To, co podoba mi się w filmie, to unikanie czarno-białych bohaterów...

C.S.: Problem w tym, że ludzie piszą o filmie, nie oglądając go. Mieliśmy wiele rozmów z lewicowymi mediami, podczas których stawiano mi najróżniejsze pytania, ale filmu nikt z nich nie oglądał. Jak możesz mieć zdanie o obrazie, którego nie widziałeś? Krytycy oceniali film, nie oglądając go. Myślę, że nie zrobili tego, ponieważ bali się, że jeśli to zrobią, prawda zmusi ich do zmiany myślenia. Dzięki postępowi technologicznemu dziś możemy zobaczyć dziecko w łonie matki i widzimy tam człowieka. Nie ma więcej oszustwa. Bóg dał nam środki, które zapobiegają okłamywaniu ludzi. Ale lewica nadal kłamie.

Na ile udało wam się dotrzeć z filmem do ludzi z drugiej strony barykady w sporze o aborcję?

C.S.: Niestety niewielka grupa gotowa jest słuchać. Ci na lewicy wypowiadają się jak naziści. Są pewni siebie, nie dyskutują między sobą, maszerują do przodu. My, z prawej strony, działamy inaczej. Lewica przejmuje politykę, religię i biznes, tworząc z nich swoją ideologię. Prawica wszystko rozdziela.

George Soros płaci miliony dolarów organizacjom na całym świecie, aby kontrolowały populację i realizowały swoje programy. Gdzie jest nasz Soros? Pozwalamy lewicy, aby niszczyła świat.

Myślę, że naszym sukcesem jest już to, że udało nam się nagrać i pokazać ten film. To obraz, który na nowo wzmocnił prawdę moralną o aborcji. Ludzie nie rozmyślają w kategoriach dobra i zła, ale ten film na nowo ustawił moralne prawa. Kobiety, które dopuszczają się aborcji, nie są świadome, w jak wielkim złu uczestniczą. Nasz film mówi im: źle robisz. Ale też na nowo stawia akcent na wartościach, które są na tyle mocne, aby uformować poglądy opinii publicznej.

Można powiedzieć, że film wpływa na serca, ale czy ma na tyle siły, aby zmienić politykę?

Ch.K.: Działamy także na tym polu. Niedawno film miał ogromny wpływ na odrzucenie legalizacji aborcji w jednym z państw.

Jakim?

Ch.K.: Na Jamajce. Parlament tego kraju miał w tym miesiącu głosować o możliwości legalizacji aborcji. Nasz producent z pomocą kilku katolickich księży tego kraju zorganizował projekcję filmu dla członków parlamentu i dzięki temu legalizacja aborcji poniosła klęskę.

Stan Georgia w USA wprowadził prawo o zakazie aborcji od momentu rozpoczęcia bicia serca dziecka. Mamy informacje, że nasz film miał ogromny wpływ na wprowadzenie tego zapisu. Gubernator Georgii Brian Kemp zaprosił naszą aktorkę Ashley Bratcher, aby stanęła obok niego podczas podpisywania tego dokumentu.

Czyli, oprócz przemiany serc, potrzebne są także zmiany w prawie, aby walka przeciwko aborcji była skuteczna?

C.S.: Potrzebne jest i jedno, i drugie.

Ch.K.: Nieżyjący już sędzia Sądu Najwyższego Anthony Scalia powiedział kiedyś naszemu przyjacielowi: „Decyzje zapadają w Hollywood, do nas przychodzą tylko po to, abyśmy je mogli zatwierdzić". To było dla nas ogromne odkrycie. Kilka tygodni temu wysłaliśmy film wszystkim aktywnym i już niepracującym sędziom Sądu Najwyższego. Chcemy w ten sposób wpłynąć na procedury prawnicze, i to wszędzie tam, gdzie film jest pokazywany.

Podejrzewam, że wiecie, iż film w Polsce odniósł niebywały sukces. Premiera odbyła się w 170 kinach.

Ch.K.: Tak? Nie wiedzieliśmy, że aż w tak wielu. Kilka tygodni jesteśmy w podróży po Europie i docierają do nas skrawki informacji o tym, co się dzieje w Polsce. To wspaniała wiadomość. Myślę, że modlił się za nas Jan Paweł II.

C.S.: Mieliśmy nadzieję, że film będzie miał dobre wyniki w katolickim kraju, jakim przecież jest Polska. Jeśli sukces filmowy wpłynie na uratowanie życia chociaż jednego dziecka, to naprawdę wielka rzecz. A nasz film ratuje o wiele więcej dzieci.

Ch.K.: Naszym celem jest uratować milion dzieci w środkowej i wschodniej Europie. W tej części kontynentu, który

eprasa.pl f6b46398b0

znajdował się pod sowieckim wpływem, liczba aborcji jest wciąż bardzo wielka. Z drugiej jednak strony mamy wrażenie, że ludzie w tym regionie wciąż są jeszcze otwarci na to, co mówi do nich Kościół, czy to katolicki, czy prawosławny. Ludzie tutaj mają większy kontakt ze swoimi duszami, dlatego uważam, że rozpoczęcie dyskusji na temat aborcji będzie mieć tu lepszy efekt w porównaniu z innymi krajami świata. Łatwiej będzie otworzyć ludziom oczy, zmienić ich myślenie, do którego doszli sami lub które zostało im narzucone.

Oczywiście liberalne media w Polsce powitały film, oskarżając go o antyaborcyjną propagandę, w której pojawiły się kłamstwa...

C.S.: A czego można od nich oczekiwać, że zaproszą widzów do jego oglądania? Oczywiście, że powiedzą, iż to kłamstwo.

Ch.K.: Mówimy o przemyśle, który zabija ludzi dla pieniędzy i który nigdy nie przyzna się do tego, że to robi. Media w USA i Kanadzie próbują dyskredytować Abby Johnson i wszystkie cytują jeden artykuł z magazynu „Texas Monthly". Nie chciałbym nikogo obrażać, ale ten magazyn znany jest z tego, że reklamuje znane restauracje...

W Polsce pojawiło się ostatnio kilka tekstów, które podały w wątpliwość scenę, na której Abby widzi na USG aborcję. Twierdzą, że metodą próżniową nie wykonuje się aborcji w 13. tygodniu ciąży, jak to jest pokazane w filmie.

C.S.: To nieprawda. Abby prowadziła tę klinikę i cała scena została sfilmowana według jej wspomnień. Lekarz pojawiający się na ekranie jest prawdziwym lekarzem, który w przeszłości dokonywał aborcji. Wszystko, co się dzieje w tej scenie, jest nagrane zgodnie z ich wskazówkami. Lekarz w międzyczasie stanął po stronie życia i powiedział, że scenografia doskonale odzwierciedla rzeczywistość.

C.hK.: Kiedy pojawił się na planie, wiedzieliśmy, że przygotowaliśmy scenografię tak, jak trzeba. On sam ubrany w lekarski uniform, z maską na twarzy, usiadł na stołku, ułożył narzędzia. Wszystko było autentyczne w każdym szczególe.

Słyszeliśmy, że w USA został ukarany David Daleiden, który opublikował film udowadniający, że Planned Parenthood handluje częściami ciał dzieci zabitych w aborcji.

C.S.: To prawda. Człowiek ten w nagraniu ukrytą kamerą udowodnił, że PP sprzedaje części abortowanych dzieci.

Ch.K.: Dzieci jeszcze żyją, kiedy wyjmowane są z nich wciąż bijące serca. Chciałbym, aby wasi czytelnicy zatrzymali się na chwilę i pomyśleli o tym. Wyjmują serca, jakby podczas jakiegoś ofiarniczego obrzędu.

C.S.: Chcą zamknąć go w więzieniu, a Planned Parenthood nie jest o nic oskarżone. To jest absolutnie zastraszające. Człowiek jest bohaterem, a znalazł się w sytuacji, kiedy musi zapłacić PP 2,2 mln dol. Ta decyzja to czysta polityka, a sędzia, jak sądzę, został skorumpowany.

Ch.K.: Lewica wykorzystuje sądownictwo i manipuluje nim, aby walczyć z konserwatystami. Prawa nie są przestrzegane i dyskryminują prawicę, ponieważ lewica chce ją zniszczyć.

C.S.: Media popierają wszystko, czego chcą lewicowi aktywiści, absolutnie wszystko. Od homoseksualnych małżeństw, przez aborcję, po eutanazję... Grzech dla nich nie istnieje. I szerzą to po całym świecie.

Ch.K.: To wszystko stało się możliwe, ponieważ amerykańskie media przestały spełniać swoją funkcję. Wcześniej relacja sił polegała na tym, że kiedy miałeś władzę, miałeś naród, media były swego rodzaju sędzią w tych politycznych sporach. To już nie działa w ten sposób. Dzisiaj media są aparatem lewicowej propagandy. Chcą zniszczyć wszystko, co ma w sobie element tradycyjnych i konserwatywnych wartości.

Polski magazyn dla kobiet – „Wysokie Obcasy" – pisze, że „aborcja jest bezpieczniejsza od porodu".

C.S.: Ale czego oczekujemy? Jak często słyszeliśmy od jakiegoś mordercy, że przyznaje się do swojej zbrodni? Napisać, że aborcja jest pewniejsza od porodu, to głupota. Klasyczna osoba broniąca aborcji nie wie, czym ona jest naprawdę. Ryzyko jest ogromne. Wiele kobiet umiera.

Ch.K.: Dzisiaj w USA pojawiła się nowa epidemia – uzależnienie od antydepresantów. Moja przyjaciółka, która jest psychologiem, powiedziała, że większość jej pacjentek, które korzystają z tych leków, cierpi na syndrom poaborcyjny. O tej krzywdzie kobiet również się milczy. Dlaczego?

Debatę opracował Goran Andrijanić

REKLAMA

Luma Milanówek
Galanteria Jedwabna
Warszawa Hala Mirowska



Apaszki Jedwabne
Ręcznie Malowane



Apaszki Jedwabne
"Chopin - Polonez As Dur"





www.luma-milanowek.pl

5/1119/F

eprasa.pl f6b46398b0



S jak stan wojenny

Dr Hanna Karp, medioznawca

Stan wojenny był nie tylko akcją wojskową, lecz i wielkim procesem „przejęcia" i zapanowania nad ówczesną świadomością Polaków. Środki masowej komunikacji miały tu znaczenie kluczowe, jeśli nie najważniejsze. Najmniejszy błąd mógł skutkować buntami i groźną niesubordynacją w armii, rewoltą środowisk opozycyjnych i zwykłych obywateli. Dlatego działania propagandowe miały charakter zmasowany i były prowadzone równolegle, wszystkimi możliwymi kanałami informacyjnymi.

Już na wstępie zadbano o to, by ponad 100 tys. egzemplarzy obwieszczenia o wprowadzeniu stanu wojennego – wydrukowanego w Związku Radzieckim – złożone zostało w tajnych magazynach, tak by w momencie ogłoszenia godziny „G" mogły być natychmiast rozkolportowane w każdej, nawet najmniejszej wiosce i gminie.

WIELKA OPERACJA PROPAGANDOWA

Stan wojenny jako złożona operacja taktyczno-militarna ponad tysiąca wojskowych grup operacyjnych łączyła się z przejęciem przez komisarzy wojskowych kontroli nad administracją państwową i najważniejszymi zakładami pracy. Po aresztowaniu przywódców Solidarności szczególnie brutalnie przebiegała pacyfikacja kopalń Śląska, zakończona śmiercią 15 osób (głównie w kopalni Wujek). Strzelano wtedy do robotników (specjalny pluton ZOMO), użyto czołgów i przeprowadzono desant z helikopterów.

W kraju całą władzę przejęło wojsko, zaczęło zastępować partię, która kierowała armią jedynie formalnie. Jeden z ówczesnych doradców gen. Jaruzelskiego płk Stanisław Kwiatkowski pisał: „Oficerowie wchodzili do struktur rządowych i partyjnych na stanowiska kierownicze, w miejsce zdejmowanych szefów instytucji czy organizacji. [...] Jednak wprowadzenie komisarzy w sferę polityki, do bezpośredniego sprawowania władzy, administrowania i zarządzania gospodarką, obiektywnie rzecz biorąc, niezależnie od dobrej czy złej woli kogokolwiek, spowodowało dalsze uszczuplenie wpływów partii [czytaj aparatu]. [...] Realną władzę sprawowali więc wojskowi, tym bardziej, że zwierzchnik sił zbrojnych już był pierwszą osobą w partii i państwie".

Ludowe Wojsko Polskie, które od początku stanowiło także propagandowe zaplecze nowego systemu, w grudniu 1981 r. przeprowadziło unikatową w powojennej historii Europy operację militaryzowania całego systemu mediów i ich funkcjonowania w sytuacji nadzwyczajnej. W warunkach wojny wypowiedzianej społeczeństwu opanowało i przejęło centralne i regionalne ośrodki prasy, radia i telewizji, pacyfikowało poszczególne redakcje prasowe i jej dziennikarzy. Przejęło także obowiązki wojskowych propagandystów-komisarzy w redakcjach telewizji i prowadziło koordynację centrum propagandowego całej operacji stanu wojennego. Współprowadziło także akcję weryfikacyjną dziennikarzy w Komitecie ds. Radia i Telewizji oraz w jego oddziałach regionalnych, w tym w Warszawie, Katowicach, Krakowie.

WOJSKOWA OKUPACJA RADIOKOMITETU

W lutym 1981 r. pakiet dokumentów regulujących wprowadzenie stanu wojennego był już gotowy. Tajny dokument z 27 marca 1981 r., wykonany w jednym egzemplarzu, odbity w 33, przedstawiał szczegółowe założenia działania Polskiego Radia i Telewizji Polskiej na wypadek strajku generalnego. Z polecenia Stefana Olszowskiego wysłany został członkom Biura Politycznego, zastępcom, sekretarzom i członkom Sekretariatu KC. W „wariancie I" założenia zakładały: ograniczenie programów PR i TV do jednego, utrzymanie programu radiowego na

eprasa.pl f6b46398b0

zagranicę, utrzymanie stacji nasłuchów programów zagranicznych, utrzymanie niezbędnego programu dla marynarzy i rybaków. Ten wariant kilka miesięcy później – 13 grudnia – został dokładnie wykorzystany i zastosowany. W zaleceniach wspominano jeszcze o tak zwanym planie „W", litera „W" oznaczała „wojnę", gdyż ówczesna konstytucja PRL nie zawierała terminu „stan wojenny".

12 marca 1981 r. na posiedzeniu zespołu MON analizowano sytuację w kraju i przygotowano metody propagandowego przeciwdziałania anarchizacji w środowisku wojskowym. Podkreślono, że „warunkiem skutecznego przeciwdziałania zewnętrznym i wewnętrznym siłom antysocjalistycznym jest dokładne rozpoznanie przeciwnika". We wrześniu 1981 r. powołano specjalną grupę operacyjną – Oddziału Propagandy Specjalnej do obserwacji zjazdu Solidarności w gdańskiej Hali Olivia. Jej zadaniem było nagrywanie wystąpień i komunikatów, zbieranie materiałów kolportowanych podczas zjazdu oraz obserwacja zachowania jego uczestników.

Dokument szczegółowo opisujący kierunki działań operacyjnych pionu Departamentu II MSW na wypadek „W" z 5 kwietnia 1981 r. w punkcie „działania propagandowe" zalecał: „inspirowanie określonych tematów i dostarczenia materiałów dla prowadzonych w MSW specjalnych działań propagandowych przy pomocy m.in. agentury ze środowiska dziennikarskiego". W punktach IV–V opisujących zabezpieczenie obiektów ważnych dla funkcjonowania władzy państwowej mowa jest o Komitecie ds. Radia i Telewizji i głównych obiektach RTV, które chronione będą przez siły MO (w wariancie rzeczywistym były chronione przez zmilitaryzowane oddziały wojska). Planowano emisję jednego programu radiowego i telewizyjnego, a emisja prowadzona miałaby być z centrum przy ul. Woronicza przez „wytypowane osoby zaufane spośród personelu dziennikarskiego i przygotowaną grupę dublerską spośród pracowników MSW", w drugim wariancie emisja prowadzona miała być z terenu „jednostki wojskowej przy ul. Żwirki i Wigury siłami jak wyżej". Te plany zostały wykorzystane 13 grudnia.

Jednocześnie przygotowywano akcję „ochrony rodzin" funkcjonariuszy i działaczy PZPR oraz „emerytów i rencistów MO i SB". Gotowe były także „zasady ochrony obiektów resortu spraw wewnętrznych". Łącznie z przygotowaniem stanowisk dla strzelców wyborowych, karabinów maszynowych, granatników przeciwpancernych itp.

13 grudnia 1981 r. na ulicach miast, na rogatki, przed bramy większych zakładów pracy stanęły pojazdy bojowe wojska i patrole wojskowe. Do akcji w całym kraju wykorzystano łącznie ok. 80 tys. żołnierzy i 30 tys. milicjantów. Na obszarze całej Polski nagle została odcięta komunikacja telefoniczna, działało tylko kilkadziesiąt telefonów w mieszkaniach rządowych. Blokada łączności – nazwana akcją „Azalia" – miała zapobiec wszelkim próbom oporu i umożliwić wojsku zajmowanie strategicznych pozycji. Akcja zatrzymań i internowań – do 8 grudnia 1982 r. aresztowano 10 131 osób – nazwana akcją „Jodła" była regularnym i systematycznym wywożeniem wybranego i wytypowanego aktywu Solidarności w celu izolacji i uniemożliwienia stawiania oporu.

O szóstej rano, po odegraniu hymnu narodowego, Polskie Radio nadało przemówienie premiera Wojciecha Jaruzelskiego, w którym poinformował on, że rozwój sytuacji prowadził do katastrofy narodowej i w związku z tym Rada Państwa w zgodzie z postanowieniami konstytucyjnymi o północy na terenie całego kraju wprowadziła stan wojenny. Przemówienie powtarzano co godzinę.

W całym kraju internowano grupy osób „zagrażające bezpieczeństwu państwa" – łącznie ok. 5 tys., przede wszystkim ze środowisk opozycyjnych oraz nielicznych członków kierownictwa partii i państwa sprzed 1980 r., w tym I sekretarza KC Edwarda Gierka. Komunikaty informowały o zakazie strajków, militaryzacji zakładów pracy, cenzurze poczty, odciętej łączności telefonicznej, godzinie milicyjnej (od godz. 22.00 do 6.00), o trybie doraźnym w sprawach za czyny przeciwko dekretowi o stanie wojennym.

LOGISTYCZNY „MAJSTERSZTYK"

Zarządzenie z 12 grudnia 1981 r. o militaryzacji Komitetu ds. Radia i Telewizji z dniem 13 grudnia 1981 r. objęło komórki organizacyjne Komitetu do spraw Radia i Telewizji, zwane już jednostkami zmilitaryzowanymi. Szef Radiokomitetu Władysław Loranc 13 grudnia 1981 r. podpisał specjalne zarządzenie regulujące funkcjonowanie Polskiego Radia i Telewizji w obliczu szczególnego zagrożenia państwa i „warunków uniemożliwiających normalną pracę i zagrażające bezpieczeństwu pracowników Polskiego Radia i Telewizji". W rozgłośniach radiowych i telewizyjnych całego kraju odcięto łączność telefoniczną i zasilanie. Wojsko zajmowało budynki, technicy wojskowi przejmowali sprzęt nadawczy. Samą akcję zajęcia gmachów budynków radiowo-telewizyjnych na terenie kraju Stefan Olszowski, sekretarz KC PZPR, określił jako logistyczny „majstersztyk". Całe zespoły redakcyjne zostały przymusowo urlopowane, praca redakcji zawieszona, wstęp do gmachów rozgłośni mieli wyłącznie pracownicy kierownictwa i z rzadka obsługa administracyjno-księgowa. Zdarzały się wypadki, że angażowano najbardziej zaufanych dziennikarzy do tzw. pracy w mieście, która polegała na wspólnym objeździe z żołnierzami ulic i wygłaszaniu przez megafony komunikatów o stanie wojennym.

Komunistyczna władza, widząc, co dzieje się w środowisku mediów, nie mogła pod żadnym pozorem utracić nad nimi kontroli. Grudniowe spotkanie z 1980 r. przywódców państw Układu Warszawskiego w Moskwie, poświęcone wstrząsanej solidarnościową rewolucją Polsce, nie pomijało i tej kwestii. Leonid Breżniew podkreślał wówczas: „Powtarzam raz jeszcze i jeszcze raz: bardzo ważne jest, aby przywrócić kontrolę nad środkami masowego przekazu. Dopuszczenie do wymknięcia się środków masowego przekazu [spod kontroli] partii oznaczałoby, że daje się przeciwnikowi bardzo ostrą broń do ręki. Wiemy, że ten problem jest jedną z największych trosk kierownictwa PZPR. Na tym decydującym kierunku najważniejsze jest, aby osiągnąć jak najwięcej sukcesów".

eprasa.pl f6b46398b0



Wszędzie, gdzie spojrzysz, oszuści

Zginęła w zamachu bombowym dwa lata temu, teraz odnosi pośmiertne zwycięstwo. Chwieje się rząd Malty, ludzie wychodzą na ulice. Pojawia się pytanie: dlaczego Bruksela patrzyła przez palce na to, co się dzieje na Malcie?



MAJA NARBUTT

Politykom maltańskim pali się grunt pod nogami. Jeszcze niedawno mogłoby się wydawać, że sprawa zabójstwa dziennikarki Daphne Caruany Galizii nigdy nie zostanie rozwiązana. Wprawdzie bezpośredni sprawcy zamachu zostali ujęci już kilka tygodni po jej śmierci, ale na nich ślad się urywał.

Przełom nastąpił po dwóch latach od zamachu, w listopadzie. Zatrzymany w związku z inną sprawą Melvin Theuma, taksówkarz związany z kryminalnym podziemiem, złożył zaskakujące zeznania. Przyznał, że był pośrednikiem, który organizował zabójstwo dziennikarki. W zamian za immunitet i policyjną ochronę zgodził się ujawnić zleceniodawcę.

Kilka dni później straż graniczna podczas efektownej akcji ujęła jednego z najbogatszych ludzi na Malcie, biznesmena Yorgena Fenecha. Chciał uciec z wyspy na swoim jachcie. Zdążył już przepisać majątek na brata.

Nieoczekiwanie Fenech oświadczył, że to wcale nie on jest ostatnim ogniwem w spisku, jaki zawiązano na życie dziennikarki. Obiecał ujawnić jeszcze wyżej postawionych zleceniodawców. Chciał za to tego samego, co dostał pośrednik – immunitetu. Jednak premier Joseph Muscat nie zgodził się na ten warunek.

Ale i tak Fenech zapewne powiedział sporo, skoro kilka dni po jego aresztowaniu zatrzymano Keitha Schembriego, szefa gabinetu premiera. To jeden z najbardziej zaufanych ludzi premiera Malty, który chronił go zawsze, niezależnie od ciążących na Schembrim korupcyjnych podejrzeń.

W dniu zatrzymania Schembriego – zapewne na zasadzie: uderz w stół, a nożyce się odezwą – nagle do dymisji podał się minister gospodarki Christian Cordona. A także Konrad Mizzi – ostatnio minister turystyki, a w czasach, gdy pisała o nim Caruana Galizia, minister energetyki, który nie potrafił jej wyjaśnić, skąd na jego koncie pojawiły się setki tysięcy euro, gdy udzielono koncesji na budowę elektrowni.

Wprawdzie policja już następnego dnia zwolniła z aresztu Schembriego, ale wszystko wskazuje na to, że losy rządzącej ekipy są przesądzone.

Oburzeni Maltańczycy żądają natychmiastowej dymisji premiera Muscata, demonstrując na ulicach stolicy państwa. Kiedy pojawił się ze swoimi współpracownikami przed parlamentem, poleciały w ich kierunku jajka i rozległy się okrzyki „mordercy".

Sam premier zgodził się ustąpić, ale chce to zrobić dopiero w styczniu. Jak oświadczył bowiem, „Malta potrzebuje do-

Fot. ANDREAS SOLARO / AFP / EastNews

eprasa.pl f6b46398b0

świadczonego polityka, który przeprowadzi ją przez ten trudny okres".

Jedna rzecz jest jednak już pewna: nowe rewelacje związane ze śledztwem w sprawie zamachu sprawiają, że Maltę czeka w końcu prawdziwe polityczne trzęsienie ziemi.

Jeszcze niedawno jedynym znakiem przypominającym na wyspie o Daphne Caruanie Galizii było zaimprowizowane miejsce pamięci w centrum Valetty przy pomniku Wielkiego Oblężenia. To tam mieszkańcy spontanicznie zapalali znicze i ustawiali zdjęcie dziennikarki z datami urodzin i śmierci: 1964–2017.

Kiedy byłam na Malcie rok temu, uderzyło mnie, że tych zniczy jest już niewiele, ale i tak władze chcą zatrzeć nawet ten skromny znak pamięci. Każdego dnia rano wysyłano straż miejską, która zabierała lampki i zdjęcie.

Wydawało się, że sprawa zamordowanej dziennikarki będzie się wlokła latami, a w końcu ulegnie zapomnieniu. Teraz Galizia odnosi pośmiertne zwycięstwo. Nie będzie jednak pełne, jeśli na Malcie zmieni się tylko rząd, lecz nie zmienią się dziwne reguły, zgodnie z którymi funkcjonuje ten najmniejszy kraj Unii Europejskiej, który oparł swój dobrobyt na praniu brudnych pieniędzy, przestępstwach finansowych i sprzedawaniu obywatelstwa każdemu, kto jest w stanie za to zapłacić. To były nadużycia, które nieustępliwie tropiła Caruana Galizia, uważając, że jej kraj jest niszczony przez zdeprawowanych polityków.

Prawda jest jeszcze gorsza – to wszystko, co ujawniała, dotyczy przecież nie tylko samej półmilionowej Malty, lecz jest problemem całej Unii Europejskiej. Przez Maltę płynie do UE rzeka brudnych pieniędzy, a dzięki programowi „paszport za inwestycje", zwanemu potocznie „złotym paszportem", obywatelem kraju UE może zostać bez problemu każdy oligarcha rosyjski czy podejrzany finansista z Bliskiego Wschodu, jeśli zapłaci kilka milionów euro.

Dlaczego Unia Europejska patrzyła na to przez palce? To pytanie intryguje każdego, kto zetknął się z tą sprawą. Będzie padało coraz głośniej i śmielej.

Najbardziej zdumiewającą odpowiedź znalazłam w „Financial Times", wydawanym w Londynie międzynarodowym dzienniku przeznaczonym dla gospodarczych elit. W artykule opublikowanym w początkach grudnia napisano, że stojący od 2013 r. na czele rządu Malty premier Joseph Muscat cieszył się nieustającym poparciem UE z określonego powodu: z uznaniem patrzono na społeczne zmiany, jakie wprowadza w konserwatywnym maltańskim społeczeństwie, małżeństwa jednopłciowe i liberalne podejście do identyfikacji płciowej, czyli gender.

Gdyby napisano coś takiego gdzie indziej niż w „Financial Times", można by dojść do wniosku, że to wyraz ideologicznych uprzedzeń kogoś, kto uważa, że UE chce dokonać za wszelką ceną rewolucji społecznej. Trudno jednak uznać, że dziennik dla finansistów ma obsesję na punkcie gender. To raczej chłodna kalkulacja: jeśli na jedną szalę rzuci się korupcję, przestępstwa finansowe i kompletny brak transparentności w życiu publicznym, to co rzucono na drugą, że w oczach UE przeważyło ciężar tych win?

Nie bez powodu niektórzy komentatorzy od pewnego czasu zastanawiają się też, dlaczego UE, która nie wahała się użyć artykułu 7 wobec Polski i Węgier, nie zauważa, że właśnie Malta idealnie spełnia warunki potrzebne, by wszcząć wobec niej postępowanie z tego artykułu.

Przywódcy unijni starannie unikali do tej pory odpowiedzi na to pytanie. „Mam mało danych" oświadczył w ostatnim dniu urzędowania ustępujący komisarz Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker, pytany przez dziennikarzy, czy nie jest zaniepokojony łamaniem praworządności na Malcie.

ROZPACZLIWA SYTUACJA

– Wszędzie, gdzie spojrzysz, oszuści. Sytuacja jest rozpaczliwa – tak brzmiały ostatnie słowa Daphne Caruany Galizii, zapisane na jej blogu. Artykuł dotyczył podejrzanych interesów Keitha Schimbriego, najbliższego współpracownika premiera, i jego bezkarności. Dziennikarka nigdy nie zawahała się, czy uderzyć w najwyżej postawione osobistości swego kraju. Mówiła o sobie, że nie bierze jeńców, była bezkompromisowa. Ujawniała afery, które – gdyby nie ona – pozostałyby ukryte przed opinią publiczną.

Czasami zapewne posuwała się za daleko – pisząc tabloidowym językiem, stawiała ostre zarzuty, których nie zawsze mogła dowieść. A jednak już po jej śmierci, gdy zagraniczni dziennikarze zaczęli drążyć opisywane przez nią sprawy, okazało się, że choć niekiedy opierała się na niekompletnych danych i swojej intuicji, to stawiała prawdziwe tezy.

REKLAMA



3/1219/F

eprasa.pl f6b46398b0

Dążyła do prawdy i choć zwykle atakowała polityków rządzącej Partii Pracy, to gdy wpadła na trop afery związanej z bliską jej sercu partią konserwatywną, pisała o niej tak samo ostro i nie przebierając w słowach.

Jej artykuły miały na Malcie olbrzymi oddźwięk. Warto to podkreślić, bo na tym polega różnica między sprawą zastrzelonego kilka miesięcy później słowackiego dziennikarza Jána Kuciaka a sprawą maltańskiej dziennikarki. Artykuły Kuciaka, piszącego na internetowym portalu Actuality.sk, stały się niezwykle popularne dopiero po jego śmierci. To wtedy odkryły je setki tysięcy czytelników. Jego teksty zdobyły drugie życie, docierali do nich odbiorcy, którzy wcześniej nawet nie wiedzieli o jego istnieniu. Nagle równocześnie dowiadywali się, kim był dziennikarz i jak przeżarte korupcją i aferami jest życie polityczne ich kraju.

Z Daphne Caruaną Galizią było zupełnie inaczej. Kiedy pisze się o niej jako blogerce, można pomyśleć, że była jedną z wielu osób, które prowadzą bloga i są znane w pewnych kręgach. Ale jej fenomen polegał na czymś zupełnie innym – do jej internetowych artykułów zaglądało czasem więcej osób niż do wszystkich gazet na Malcie razem wziętych.

Była najważniejszą maltańską dziennikarką śledczą, współpracowała z gazetą „The Malta Independent", ale równocześnie prowadziła bloga, bo w ten sposób mogła pójść znacznie dalej i ostrzej, niż zdecydowałby się to zrobić wydawca gazety. Nie hamowała jej żadna cenzura, nie musiała iść na kompromisy, mogła dać upust własnemu temperamentowi. Wiedziało o tym tysiące Maltańczyków, którzy od lektury jej bloga zaczynali każdy dzień. Jej bezkompromisowość i siła rażenia sprawiały, że była w oczywisty sposób niebezpieczna, a przez to zagrożona.

Nie tylko procesami – miała ich tak wiele, że zapewne się do nich przyzwyczaiła, zwłaszcza że wspierał ją mąż prawnik. Jednak już dwa lata przed śmiercią zaczęło być jasne, że ma wrogów, którzy mogą się posunąć znacznie dalej niż do złożenia pozwu. Dwukrotnie usiłowano podpalić jej dom, zabito jej psa i rzucono na progu. Otrzymywała listy z pogróżkami. Sytuacja eskalowała – dwa tygodnie przed zamachem Caruana Galizia zgłosiła na policję, że jest nękana.

Czy przeżyłaby, jak twierdzą jej bliscy, gdyby dano jej ochronę? Może tak, ale ochronę trzeba by było w końcu zdjąć, a dziennikarka nie zamierzała przestać pisać. Jej rodzina deklaruje, że nie ma najmniejszego zaufania do policji ani całego maltańskiego wymiaru sprawiedliwości. Swoistym wotum nieufności jest to, że po zamachu rodzina odmówiła przekazania laptopa dziennikarki prokuraturze, a jeden z jej synów stwierdził, że „wolałby wrzucić go do morza".

Kiedy po śmierci Caruany Galizii zagraniczni dziennikarze, zrzeszeni w medialnym projekcie Daphne, zaczęli badać okoliczności jej śmierci, wyszedł na jaw fakt, który dużo daje do myślenia. Telefon pośrednika w zbrodni, z powodu wcześniejszych przestępstw, był na podsłuchu. Jak to możliwe, że mimo podsłuchu policja nie trafiła na ślad planowania zamachu?

CENA ŻYCIA

Bombę, która wybuchła w październiku 2017 r. w peugeocie Daphne Caruany Galizii, zainstalowano pod siedzeniem kierowcy. Eksplozja nastąpiła na drodze prowadzącej do jej domu w miejscowości Bidnija. Huk był tak głośny, że rodzina dziennikarki od razu wiedziała, że nie ma szans, by Daphne przeżyła. Jej syn Michel, który pierwszy dobiegł na miejsce zamachu, zobaczył pusty wrak. Ciało matki, a właściwie jego fragmenty, odnalazł kilkadziesiąt metrów dalej, na poboczu.

> Oburzeni Maltańczycy żądają natychmiastowej dymisji premiera Muscata, demonstrując na ulicach stolicy państwa. Kiedy pojawił się ze swoimi współpracownikami przed parlamentem, poleciały w ich kierunku jajka i rozległy się okrzyki „mordercy"

Dopiero teraz, dwa lata po zamachu, ujawniono, że zabójcy przygotowali wcześniej inny scenariusz: zamierzali zastrzelić dziennikarkę, obserwowali przez lunetę, jak pracuje przy laptopie, siedząc niedaleko okna. Nieuchronność jej śmierci była przesądzona.

Za zabicie Caruany Galizii zapłacono 150 tys. euro. Dwa razy więcej, niż zapłacili zleceniodawcy zabójstwa Jána Kuciaka. Tyle wynosi cena życia dziennikarza w kraju Unii Europejskiej. Jednak w przeciwieństwie do Rosji, gdzie dziennikarza można zabić bez większych konsekwencji, okazuje się, że w Europie taki zamach jest dla osób, które chcą mu zamknąć usta, posunięciem fatalnym.

I na Malcie, i na Słowacji materiały, nad którymi pracowali zabici, zostały przejęte przez międzynarodowe grupy dziennikarzy, które pociągnęły dalej wątki śledcze. Szczególnie istotne okazało się to w wypadku materiałów Caruany Galizii – to dziennikarze Reutersa ustalili, że powiązana z maltańskimi politykami tajemnicza firma z Dubaju 17 Black Limited, o której pisała niedługo przed śmiercią, należy do Yorgena Fenecha. Właśnie tego, który został zatrzymany na swym jachcie, kiedy chciał uciec z Malty. Zagraniczni dziennikarze dotarli także do zdjęć ministra gospodarki Christiana Cordony z pośrednikiem, który zatrudnił zabójców – udowadniając, że minister kłamie, gdy mówi, że go nie zna.

Okazało się też, że zabójstwo dziennikarzy jest dla opinii publicznej takim wstrząsem, że budzi z letargu społeczeństwo, uświadamiając ludziom, jakie są realia kraju, w którym żyją.

Pozostaje jeszcze jedna kwestia: jak się zachowa Komisja Europejska. Czy wyciągnie wnioski z tego, że tak długo z zaskakującą pobłażliwością patrzyła na to, co się dzieje na Malcie? Rozwiązanie kryzysu w najmniejszym unijnym kraju będzie teraz testem dla Ursuli von der Leyen.

eprasa.pl f6b46398b0



Przeczekać Putina

Aleksander Łukaszenka nie przestaje zaskakiwać. Niemal w przededniu spotkania z Władimirem Putinem i planowanego podpisania umów o „pogłębionej integracji" Białorusi z Rosją objawił się jako gorący zwolennik i patriota Unii Europejskiej. O co chodzi?



MAREK BUDZISZ

W trakcie wizyty w Serbii powiedział, że jest ona „jednym z najpotężniejszych filarów naszej planety. Jeśli wyrwiemy go spod tego systemu, zatrzęsie się on, a może nawet zawali. Dlatego jestem zwolennikiem przetrwania UE". Życzył też swemu rozmówcy, prezydentowi Vučiciowi, powodzenia i realizacji planów akcesji Serbii do Unii.

Nieco wcześniej, w trakcie wizyty w Wiedniu, pouczał gospodarzy o wyższości białoruskiego modelu demokracji, w którym większą wagę, jak stwierdzał, przykłada się do bezpieczeństwa socjalnego niż do rytuałów wyborczych. Zresztą niedawne wybory parlamentarne na Białorusi, które zdaniem zachodnich obserwatorów były wyborami tylko z nazwy – bo w istocie o tym, kto zdobędzie mandat, decydowali ludzie z ekipy rządzącej – potwierdziły to, że Łukaszenka nie ma zamiaru zmieniać systemu, a o demokratyzacji należy zapomnieć na najbliższe cztery lata.

Niedługo potem białoruski prezydent zaskoczył świat deklaracją, że jego celem jest przekształcenie Białorusi we wschodnioeuropejską Szwajcarię, co przez niektórych zostało odczytane jako kolejna fanfaronada białoruskiego dyktatora, ale nie brak też analityków, którzy poważnie potraktowali to oświadczenie, widząc w nim ważną, choć nieco lekceważoną zapowiedź przyszłej polityki Mińska.

Zdaniem Glena Howarda kierującego amerykańską The Jamestown Foundation, która w jednym z ostatnich raportów analizowała politykę Białorusi, deklaracje tego rodzaju świadczą o tym, że jej elity chcą, by państwo było niezależne od Federacji Rosyjskiej, w najważniejszym, wojskowym wymiarze. W związku z tym Europa i szerzej NATO powinny we własnym interesie zaprzyjaźnić się z Mińskiem, bo to, czy rosyjskie czołgi będą stacjonowały 300 km dalej na wschód, czy zbliżą się do granic wschodniej flanki sojuszu, ma dla jego bezpieczeństwa kluczowe znaczenie.

Fot. East News/Sergei GAPON/AFP

eprasa.pl f6b46398b0

Podobny pogląd wyraził niedawno minister spraw zagranicznych Łotwy, Edgars Rinkēvičs, który oświadczył, że nadszedł już czas podpisania porozumienia między Białorusią a NATO. O tym, że nie są to tylko marzenia łotewskiego polityka, a jakieś negocjacje realnie się toczą, świadczą też wypowiedzi szefa sojuszu Jensa Stoltenberga i ministra Czaputowicza wygłoszone w przededniu brytyjskiego szczytu NATO.

TAK BLISKO, TAK DALEKO

Ale niemal w tym samym czasie białoruski wicepremier i ambasador kraju w Moskwie Uładzimir Siemaszko powiedział w wywiadzie dla TUT.BY, że Łukaszenka i Putin już porozumieli się nie tylko w sprawie pogłębienia integracji gospodarek obu państw, lecz również stworzenia wspólnego rządu i parlamentu. Wypowiedź ta wywołała sporo zamieszania, również na Białorusi. Została niezwłocznie zdementowana przez przedstawicieli białoruskiej ambasady w Moskwie, ale sprzeczne informacje, jakie napływają z gabinetów białoruskich oficjeli na temat tego, na czym ma polegać „pogłębiona integracja" z Rosją, wywołały zaniepokojenie białoruskich opozycjonistów, którzy zdecydowali się wystąpić ze specjalnym listem otwartym w obronie zagrożonej, ich zdaniem, niezależności kraju.

> W istocie obserwowana w ostatnich tygodniach międzynarodowa aktywność Mińska, akcentowanie niezależności swej polityki, przeciwstawianie się propozycjom Moskwy w sprawie budowy bazy lotniczej na białoruskim terytorium jest grą o pieniądze i czas

Ten zamęt informacyjny pogłębił jeszcze komunikat znanego rosyjskiego dziennikarza Aleksieja Wieniediktowa, kierującego opozycyjną rozgłośnią radiową Echo Moskwy, który miał przeprowadzać rozmowę z Łukaszenką, ale poinformował, że nie odbędzie się ona, bo białoruski prezydent leci do Soczi na „negocjacje ostatniej szansy" z Putinem.

O tym, że nie wszystkie dokumenty, które miałyby zostać podpisane w 20. rocznicę utworzenia wspólnego państwa związkowego Rosji i Białorusi są uzgodnione, wiedziano już po rozmowach premierów obu krajów, Miedwiediewa i Rumasa, które odbywały się na początku grudnia pod Moskwą. Zamiast oczekiwanych dwóch godzin, w trakcie których, jak pierwotnie zakładano, miano wprowadzać tylko kosmetyczne poprawki, negocjacje przeciągnęły się do późnej nocy, a i tak nie udało się uzgodnić stanowisk w 10 z 31 punktów negocjowanych planów integracji. Przy czym spory dotyczyły kwestii najistotniejszych – rynku gazu, ropy naftowej, energii elektrycznej czy ujednolicenia ustawodawstwa podatkowego. Na trwające targi nakładają się emocjonalne wystąpienia Łukaszenki, który publicznie oskarżał Moskwę o dyskryminowanie białoruskich towarów, na czym jego kraj miał tracić nawet 10 mld dol. (taki jest deficyt wymiany handlowej) i publicznie się zastanawiał, „na cholerę nam taki sojusz".

Ale teraz, kiedy piszę te słowa, czyli cztery dni przed rosyjsko-białoruskim szczytem, z Mińska napływają sygnały o tym, że rozmowy trwają. Ma się odbyć kolejna runda negocjacji premierów, do Soczi leci Łukaszenka negocjować z Putinem, a odpowiadający za integrację z Rosją w białoruskim rządzie minister gospodarki Dźmitry Kruty został właśnie awansowany na stanowisko pierwszego wicepremiera, co zdaniem niektórych obserwatorów świadczyłoby o tym, że rozmowy są prowadzone „na poważne" i nie należy ich traktować jako politycznego teatru.

Wieniediktow, który uchodzi za dziennikarza dobrze poinformowanego i często rozmawiającego z wysokimi urzędnikami na Kremlu, powiedział też, że w Moskwie wcale nie zarzucono pomysłu integracji Rosji i Białorusi, zbudowania stanowiska „nadprezydenta" obu państw, które mógłby zająć Władimir Putin, rozwiązując przy okazji problem 2024 r., kiedy będzie kończył swoją drugą z rzędu prezydencką kadencję i w świetle rosyjskiej konstytucji powinien się rozstać z urzędem. To, co powiedział Wieniediktow, jeszcze bardziej zaciemniło sytuację i tym bardziej skłania do postawienia pytania, o co toczy się gra, a przynajmniej jak całą sytuację rozgrywa białoruski prezydent.

CO DALEJ?

Niektórzy białoruscy analitycy, tacy jak Kaciaryna Šmacina z Białoruskiego Instytutu Studiów Strategicznych, są zdania, że nawet podpisanie dokumentów integracyjnych między Mińskiem a Moskwą niewiele w tym obrazie zmieni, bo będą one miały w gruncie rzeczy deklaratywny charakter i o tym, co w najbliższych latach oznaczać będzie rosyjsko-białoruska integracja, decydować będą bieżąca polityka, relacje sił i możliwości manewru białoruskiej elity. Te oceny potwierdzają ujawnione przez jednego z blogerów uzgodnione już „karty drogowe" integracji, które sprowadzają się do ogólnych zapisów kierunków działania i przypisanych im terminów realizacji.

W istocie, zdaniem innych, Łukaszenka, przeciągając rozmowy z Moskwą, prezentując nieugiętą postawę i mówiąc o utrzymaniu suwerenności kraju, walczy o kluczową z jego perspektywy kwestię – rozmiary wsparcia dla gospodarki kraju ze strony Rosji. W projekcie przyszłorocznego budżetu Białorusi zabrakło 1,5 mld dol., które kraj uzyskiwał, kupując tanio rosyjskie węglowodory i sprzedając je dalej lub przerabiając na paliwa. Na dodatek przed przy-

eprasa.pl f6b46398b0

szłorocznymi wyborami prezydenckimi Łukaszenka już zapowiedział serię podwyżek dla sektora budżetowego. Te posunięcia, jak obliczyli ekonomiści, będą kosztować białoruski budżet niemal 950 mln dol. Eksperci oceniają, że władze mogą zacząć wywierać presję na sektor przedsiębiorstw państwowych, aby te również, przed wyborami, zaczęły podnosić wynagrodzenia. Problem jednak w tym, że nieźle dotychczas funkcjonujący system państwowego bezpieczeństwa socjalnego na Białorusi oparty na świadczeniach firm państwowych, w ostatnich latach, z powodu braku środków musiał zostać dość znacznie okrojony. Wyraźnie widać to na przykładzie państwowych subsydiów dla przedsiębiorstw. Według oficjalnych danych w 2018 r. poziom wsparcia budżetowego dla firm zamknął się kwotą 1,24 mld rubli białoruskich, podczas gdy jeszcze w 2016 r. było to 3 mld. Zgodnie z założeniami tegorocznego budżetu subsydia mają zostać zredukowane do 800 mln, a na 2021 r. zapowiedziano ich likwidację.

Po 2014 r. gospodarka Białorusi, silnie związana z rosyjską, podobnie jak ta ostatnia, znalazła się w recesji. W 2015 i 2016 r. białoruski PKB spadł łącznie o 6,3 proc. Kolejne dwa lata zmniejszyły skutki recesji, bo łączny wzrost wyniósł 5,5 proc., jednak od początku tego roku, znów dało się zauważyć objawy spowolnienia. Dane Biełstatu za styczeń–sierpień wskazują na 1,1 proc. wzrostu białoruskiego PKB, choć z punktu widzenia władz najbardziej niepokojące są zjawiska związane ze spowolnieniem w przemyśle przetwórczym (spadek o 1,1 proc. w II kwartale) oraz transporcie (odpowiednio spadek o 4,3 proc.).

Prognoza Banku Światowego dla białoruskiej gospodarki wskazuje, że w tym roku należy spodziewać się wzrostu na poziomie 1,5 proc., podczas gdy w kolejnych latach ma to być odpowiednio 1,3 i 1,2 proc. Podobne tempo wzrostu prognozuje analizująca białoruską gospodarkę rosyjska grupa RIM. Zdaniem jej ekspertów w tym roku wzrost tamtejszego PKB wyniesie 1,4 proc., a w kolejnych latach 1,4 i 1,3 proc. Na to nakładają się problemy kraju z obsługą i spłatą zadłużenia zagranicznego, bo tylko w br. spłaty zadłużenia miały wynieść 3,2 mld dol.

Innymi słowy, bez zasilenia zewnętrznego perspektywy, które rysują się przed białoruską gospodarką i elitami władzy w Mińsku, nie są różowe. I Białoruś szuka pieniędzy wszędzie, gdzie może. Domaga się od Rosji tanich dostaw surowców energetycznych. Kwestia stawiana jest zresztą przez białoruskich polityków jako warunek podpisania umów integracyjnych z Rosją. Ta ostatnia jednak chce podnieść np. ceny gazu ziemnego z obecnie 127 dol. za 1 tys. m sześc. najlepiej o kilkadziesiąt dolarów, z kolei władze w Mińsku chciałyby kupować rosyjski gaz po cenach takich, jakie mają odbiorcy w guberni smoleńskiej, czyli po 90 dol. Jest więc co negocjować.

Ale Mińsk liczy również na inwestycje europejskie. Zachęcał do nich austriackich przedsiębiorców Łukaszenka w czasie wizyty w Wiedniu, a ostatnio w Londynie premier Rumas deklarował, że inwestorzy mogą kupić każde przedsiębiorstwo na Białorusi. Władze czekają na oferty.

Pozostają wreszcie Chiny, wypróbowany i sprawdzony od lat partner władz z Mińska. Ostatnio w prasie rosyjskiej można było przeczytać spekulacje na temat rychłej zmiany na stanowisku białoruskiego premiera. Zbyt popularnego w oczach Łukaszenki Siergieja Rumasa miałby zastąpić obecny ambasador w Państwie Środka Kirył Rudyj. Ten uchodzący za ultraliberała ekonomista i zwolennik radykalnej prywatyzacji miałby być skuteczniejszy w pozyskiwaniu zagranicznych inwestycji. Jego chińskie doświadczenia i kontakty miałyby mu w tym tylko pomóc.

W istocie obserwowana w ostatnich tygodniach aktywność międzynarodowa Mińska, akcentowanie niezależności swej polityki, przeciwstawianie się propozycjom Moskwy w sprawie budowy bazy lotniczej na białoruskim terytorium jest grą o pieniądze i czas. A raczej o to drugie, bo pieniądze pozwalają zyskać na czasie.

Wydaje się, że rację ma amerykański analityk, który napisał, że Łukaszenka jest dziś w sytuacji Josipa Broz-Tity, jugosłowiańskiego przywódcy i komunisty, który w 1948 r. decydował o zerwaniu z Moskwą. Chciał w ten sposób obronić swój reżim, ale potrzebował na to pieniędzy od Zachodu, który skłonny był zapłacić w imię powstrzymania sowieckiej penetracji Bałkanów. Taką politykę w gruncie rzeczy i dziś uprawia Łukaszenka, który – jak niedawno oświadczył – czuje się jeszcze młody i nie myśli o emeryturze, no, może po zakończeniu kolejnej, rozpoczynającej się w 2024 r. prezydenckiej kadencji. Ta data jest w istocie kluczowa dla zrozumienia gry, którą prowadzi białoruski baćka. Trzeba przeczekać Putina.

REKLAMA



40/1119/F

eprasa.pl f6b46398b0

Ciężarówką, nożem, czymkolwiek!



Atak terrorystyczny, do którego doszło 29 listopada na moście Londyńskim i w którym zginęły dwie osoby, rozpętał dyskusję na Wyspach – po pierwsze, nad decyzją ministerstwa spraw wewnętrznych (podjętą kilka tygodni wcześniej) o obniżeniu poziomu zagrożenia terrorystycznego do najniższego od 2014 r., a po drugie, nad praktyką przedterminowego zwalniania z więzienia nie tylko zwykłych przestępców, lecz także skazanych za terroryzm



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

28-letni nożownik Usman Khan, który został zatrzymany przez przechodniów, w tym Polaka, za pomocą kła narwala i gaśnicy, a następnie zastrzelony przez policję, rok temu został warunkowo zwolniony z więzienia. Odsiadywał wyrok za działalność terrorystyczną. Urodzony w Stoke-on-Trent był zwolennikiem powiązanej z Al-Kaidą organizacji Al-Muhadżirun (wojujący emigranci) kaznodziei nienawiści Anjema Choudary'ego. Wraz z ośmioma innymi islamistami planował zamachy m.in. na brytyjski parlament, giełdę papierów wartościowych oraz dom premiera, a wówczas mera Londynu Borisa Johnsona. Zanim trafił do więzienia w 2012 r., wielokrotnie podróżował do Pakistanu, skąd pochodził. Planował m.in. stworzenie obozu szkoleniowego dla dżihadystów w Kaszmirze, na ziemi należącej do jego rodziny.

Sąd skazał go na tzw. karę bezterminową (Imprisonment for Public Protection – IPP), która została wprowadzona przez rząd laburzystów w 2005 r., obok tzw. przedłużonej kary (Extended Sentence for Public Protection – EPP). Obie były zarezerwowane dla tych, którzy stanowią szczególne zagrożenie dla społeczeństwa. Przy czym pierwsza oznaczała często de facto dożywocie. Po odsiedzeniu kary więzień musiał udowodnić przed radą ds. zwolnień warunkowych, że się zmienił. Laburzyści zdecydowali się na wprowadzenie obu kar – EPP i IPP – po zabójstwie uczennicy Sarah Payne. Jej zabójca Roy Whiting w połowie lat 90. porwał i zgwałcił dziewięciolatkę, za co został skazany na cztery lata więzienia. Wyszedł na wolność po odsiedzeniu nieco ponad połowy kary. Dwa lata później porwał, zgwałcił i zamordował ośmioletnią Sarah. Zbrodnia wywołała falę oburzenia na Wyspach. Ludzie zaczęli

eprasa.pl f6b46398b0

się domagać wyższych kar i przetrzymywania w nieskończoność terrorystów oraz morderców, szczególnie groźnych pedofilów. Ponad 8 tys. osób zostało na Wyspach skazanych w ramach IPP i EPP, w tym wielu terrorystów. Trzech skazanych złożyło jednak skargę na swoje wyroki do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu, który w 2012 r. uznał, że bezterminowe przetrzymywanie więźniów łamie ich prawa, utrudniając im m.in. udział w kursach rehabilitacyjnych. Brytyjscy konserwatyści, którzy przejęli rządy po laburzystach, byli zmuszeni zlikwidować IPP. Ci, którzy już zostali w jego ramach skazani, pozostali jednak w więzieniach, bo zmiana prawa nie działa wstecz.

Wcześniej, w 2008 r., laburzyści już zlikwidowali wymóg przesłuchania więźnia przez radę ds. zwolnień warunkowych w ramach EPP, gdzie do zasądzonej kary dodawano (na ogół pięcioletni) „okres zabezpieczenia". Przedterminowe zwolnienia stały się automatyczne. Główny powód zmiany prawa? Przepełnienie więzień. Skorzystał na tym właśnie Usman Khan. W 2013 r. sąd apelacyjny zrewidował jego wyrok, uznając, że IPP to zbyt surowa kara dla Khana i skazał go w ramach EPP na 16 lat więzienia, co pozwoliło mu automatycznie wyjść na wolność po odsiedzeniu połowy kary, w 2018 r. Sędzia uznał, że Khan zasługuje na drugą szansę, bo się zmienił, dojrzał. W końcu, będąc w więzieniu, uczestniczył w programie deradykalizacji. Po wyjściu zgodził się na noszenie elektronicznej bransolety oraz pozostawał – jak twierdzi brytyjski dziennik „The Guardian" – pod obserwacją brytyjskich służb. Uległ przecież radykalizacji pod wpływem najbardziej znanych kaznodziei nienawiści – Choudary'ego oraz Anwara al-Awlakiego, jemeńskiego kleryka, zabitego w 2011 r. w ataku amerykańskiego drona.

TEATRZYK DLA NAIWNYCH

Nadzór nad nim nie był jednak zbyt ścisły, tym bardziej że Khan z groźnego terrorysty zamienił się w „żywy przykład udanej rehabilitacji". Były dżihadysta entuzjastycznie uczestniczył w programie resocjalizacji uniwersytetu w Cambridge pod nazwą „Uczyć się razem" (Learning Together). 29 listopada miał wziąć udział w uroczystościach z okazji pięciolecia programu w Londynie. Jak pisze „The Daily Telegraph", Khan wcześniej napisał ckliwy wiersz z podziękowaniami dla ekipy Learning Together, dziękując im m.in. za to, że użyczyli mu laptopa: „Piszę, by moje słowa stały się łagodzącym światłem, piszę, by przeniknąć do najzimniejszych serc". Słowa Khana najwyraźniej przeniknęły do serc jego opiekunów. Na tyle, że pozwolili mu podróżować do Londynu bez jakiegokolwiek nadzoru. W końcu miał wygłosić tam mowę o tym, jak stał się „dobrym muzułmaninem". Uniwersytet w Cambridge rozważał nawet przyjęcie go na studia.

> Większość zamachowców w Europie tak jak Usman Khan czerpie inspirację z pisma Al-Kaidy „Inspire", rozpowszechnianego poprzez sieć

Zmieniona postawa Kahna stanowiła jednak tylko teatrzyk dla naiwnych. Khan skorzystał bowiem ze swojej wizyty w Londynie, by zaatakować tych, którzy mu pomagali. Podczas uroczystości w Fishmongers' Hall zadźgał nożem dwie osoby – specjalistę od rehabilitacji Jacka Merritta, koordynatora programu Learning Together, oraz 23-letnią Saskię Jones, wolontariuszkę programu. Jak podkreśla „The Independent", uroczystość miała pozwolić akademikom „wyjść ze swoich wieży z kości słoniowej" i spotkać prawdziwych więźniów. Kryminolodzy i kryminaliści mieli się od siebie nawzajem uczyć. Ten model, zrodzony na amerykańskich kampusach, stał się w ostatnich latach bardzo modny na Wyspach. Learning Together zostało utworzone przez dr Amy Ludlow i dr Ruth Armstrong, wykładając prawo w Cambridge. Postępowi prawnicy i kryminolodzy obawiają się teraz, że program, finansowany co najmniej po części ze środków publicznych, ucierpi z powodu czynu Khana. „To byłaby prawdziwa tragedia" – przekonuje jeden z nich w rozmowie z „The Guardian".

Tymczasem rząd Borisa Johnsona oraz opozycyjni laburzyści obarczają się wzajemnie odpowiedzialnością za warunkowe zwolnienie młodego Pakistańczyka. Faktem jest, że ciągłe cięcia budżetowe i zmiany prawa pogrążyły brytyjski system penitencjarny w chaosie. Kryminolog Ian Acheson z uniwersytetu w Staffordshire ostrzegał już kilka lat temu, że zakłady karne na Wyspach nie nadają się do przetrzymywania więźniów pokroju Khana. Źle wyszklony personel, brak wyposażenia i naiwne podejście do więźniów, którzy zręcznie wykorzystują system, w tym kursy resocjalizacyjne, by jak najszybciej wyjść na wolność. Udało się to obok Khana 74 innym skazanym za terroryzm. Nie wiadomo, czy są dziś pod nadzorem służb, bo i na to brakuje środków. Na liście terrorystów MI5 figuruje od 2 do 3 tys. osób. Nadzorowanie ich wszystkich jest zwyczajnie niemożliwe.

RESOCJALIZACJA NIE ZEMSTA

Boris Johnson obiecał po ataku na London Bridge 10 tys. dodatkowych miejsc w więzieniach, skazywanie terrorystów na minimum 14 lat za kratami i zwolnienia warunkowe po odsiedzeniu 2/3 kary, a nie połowy jak obecnie. Według brytyjskiego premiera Kahn „nie nadawał się do resocjalizacji". O dziwo jego słowa oburzyły tych, którzy uważają, że każdy może się zmienić, stając się produktywnym członkiem społeczeństwa, a kary więzienne to rodzaj represji ze strony państwa. Wyraz nienawiści. Ojciec Jacka Merritta napisał na łamach „Guardiana", że jego syn „byłby wściekły, wiedząc, że jego śmierć jest wykorzystywana do stworzenia drakońskiego systemu kar". „Używają go do tego, by forsować agendę nienawiści, a z tym przecież walczył. On chciał świata, w którym nie zamykamy ludzi i wyrzucamy klucz. Jack wierzył w immanentną dobroć ludzkości i czuł głęboką społeczną odpowiedzialność,

Fot.: East/News/Ben STANSALL/AFP

eprasa.pl f6b46398b0

by ją chronić" – napisał Dave Merritt. Najwyraźniej zapomniał o agendzie nienawiści forsowanej przez islamistów. Nie zabrakło też zwyczajowych deklaracji o zwieraniu szeregów w obronie „naszego stylu życia". Nie pozwolimy nikomu nas podzielić. Będziemy bronić naszych wartości" – powiedział burmistrz Londynu Sadiq Khan. Mając na myśli wielokulturowość i różnorodność.

Podobne słowa padły już w czerwcu 2017 r., po tym jak trzech terrorystów wjechało na tym samym moście Londyńskim rozpędzonym wozem dostawczym w grupę przechodniów, zabijając osiem osób. Kilka miesięcy wcześniej, w marcu, zamachowiec samobójca zabił 22 osoby podczas koncertu gwiazdki pop Ariany Grande w Manchesterze. Wówczas brytyjskie MSW podwyższyło stopień zagrożenia terrorystycznego do najwyższego, „krytycznego". Od tego czasu został on jednak znacznie obniżony. Zniszczenie kalifatu Państwa Islamskiego w Syrii w marcu tego roku skłoniło brytyjskie służby do uznania, że zdolności operacyjne potencjalnych terrorystów związanych z ISIS znacznie zmalały. A wraz z nimi skala zamachów. W 2015 r. ponad 250 osób zginęło z rąk terrorystów w Europie, w 2018 r. zaledwie 13. W rzeczywistości jednak skala wcale nie zmalała, tylko służbom coraz częściej udaje się zapobiec atakom. Według brytyjskich służb w całym kraju toczy się obecnie ponad 800 operacji antyterrorystycznych, a od marca 2017 r. 24 zamachy zostały wykryte w fazie planowania.

Natura zamachów także się zmieniła. Wobec braku pieniędzy i utrudnionego dostępu do środków wybuchowych terroryści dokonują ataków tym, co mają pod ręką. Taki atak jest też trudniejszy do wykrycia, bo dokonuje go tzw. samotny wilk lub mała grupa terrorystów. Od 2013 r. na Starym Kontynencie doszło do ponad 30 zamachów za pomocą noży, w których zginęły dziesiątki osób.

Większość zamachowców w Europie tak jak Usman Khan czerpie inspirację z pisma Al-Kaidy „Inspire", rozpowszechnianego poprzez sieć, czy „Jihadi Recollections", wydawanego przez amerykańskiego fundamentalistę Samira Khana – jak twierdzi Centrum Zwalczania Terroryzmu akademii wojskowej w West Point. Pisma te zawierają liczne instrukcje, jak zorganizować zamach, jeden z artykułów w „Inspire" nosi praktyczny tytuł: „Zbuduj bombę w kuchni mamy". Rzecznik ISIS Muhammad al-Adnani już w 2016 r. wezwał zwolenników kalifatu w Europie, by zamiast jechać walczyć do Syrii, pozostawali na miejscu i tam dokonywali ataków. „Najmniejszy wysiłek, jaki wykonacie w waszych krajach, jest dla nas o wiele więcej wart niż duże operacje tu" – podkreślił al-Adnani. W tym samym roku w „Inspire" ukazał się artykuł pod jednoznacznym tytułem: „O nożowa rewolucjo, podążaj w kierunku Ameryki". Od tego czasu doszło do licznych ataków islamskich nożowników w USA, w tym w Ohio i Minnesocie. Do tego doszły ataki za pomocą samochodów i ciężarówek, jak zamach w 2016 r. na jarmark bożenarodzeniowy w Berlinie.

Wobec braku pieniędzy i utrudnionego dostępu do środków wybuchowych terroryści dokonują ataków tym, co mają pod ręką. Taki atak jest też trudniejszy do wykrycia, bo dokonuje go tzw. samotny wilk lub mała grupa terrorystów

DEPORTOWANI WRACAJĄ

Stwierdzenie, że Europa nie radzi sobie z islamskim terroryzmem, byłoby eufemizmem. Od chwili wielkiej fali imigracyjnej na przełomie lat 2015–2016 doszło do licznych zamachów, w tym na salę koncertową Bataclan w Paryżu. Tunezyjczyk Anis Amri, zamachowiec z berlińskiego Breitscheidplatz, przybył do Europy ukryty wśród fali tzw. uchodźców. Posługiwał się 14 różnymi tożsamościami. Był wielokrotnie karany, odmówiono mu azylu, a na dodatek był pod obserwacją służb, bo utrzymywał kontakty z salafistami. Mimo to udało mu się przeprowadzić zamach. Na początku listopada „Die Welt" ujawnił, że z deportowanych od 2012 r. imigrantów ponad 28 tys. wróciło już do Niemiec, niektórzy po raz drugi. Wśród nich jest niebezpieczny libański kryminalista Ibrahim Miri, który ponownie złożył wniosek o azyl. Miri przybył do Niemiec w 2012 r. jako 13-latek wraz z całym swoim przestępczym, rodzinnym klanem. Rodzina została deportowana w całości. Miri uważa, że jego, jako że był nieletni, nakaz deportacyjny nie dotyczył.

Deportacje są zresztą bardzo trudne. W Niemczech liczba cudzoziemców wzrosła według Centrali Kształcenia Politycznego w latach 2011–2016 z 6,3 do 9,2 mln. A liczba osób deportowanych w 2018 r. wyniosła zaledwie 16 tys. Liczba znajdujących się wśród nowych przybyszy z Afryki i Bliskiego Wschodu potencjalnych terrorystów stanowi, podobnie jak we Francji, temat sporny.

Sytuację pogorszyła niedawna ofensywa Turcji w Syrii. Przetrzymywani w kurdyjskich obozach europejscy bojownicy ISIS zostaną repatriowani. Ich powrót zapewne zwiększy poziom zagrożenia zamachami w Europie, gdzie jak we Francji tysiące muzułmanów jest zagrożonych radykalizacją. Brytyjscy eksperci od resocjalizacji wierzący w immanentną dobroć ludzkości powinni zresztą wyciągnąć wnioski z francuskich doświadczeń. We wrześniu 2016 r. w małej wiosce Beaumont-en-Véron, w regionie Loary, uruchomiono pierwsze eksperymentalne centrum deradykalizacji. Niecały rok później je zamknięto. Powód? Brak chętnych. Ponieważ uczestnictwo było dobrowolne, nikt się nie zgłosił. Ani jeden islamski fundamentalista marzący o staniu się „dobrym muzułmaninem" jak Usman Khan. Pod przymusem i z szansą na zwolnienie z więzienia zgłosiłoby się pewnie wielu. Co powinno dać lewicowym poprawiaczom świata do myślenia. Nie należy jednak pewnie za bardzo na to liczyć.

eprasa.pl f6b46398b0

80 i 38 lat temu

Mimo wybuchu II wojny światowej i morderczego terroru niemieckiej okupacji od września 1939 r. ówczesny świat daleki był od uznania tragedii dziejącej się na ziemiach polskich za najważniejszą. W grudniu 1939 r. po raz 20. zebrały się w Genewie państwa członkowskie Ligi Narodów. Rozpatrywano bieżącą sprawę, czyli atak Związku Sowieckiego na Finlandię, który to fakt miał stanowić wniosek formalny (notabene zgłoszony przez daleką Argentynę) o wykluczeniu państwa Stalina z grona członków Ligi. Mimo chłodnego stosunku do tej inicjatywy pozostałych państw skandynawskich rezolucja została przyjęta. Poruszono też sprawę polską, ale tylko przez delegację rządu RP na uchodźstwie. Świat kluczył jeszcze między wojną a pokojem. Daleka Ameryka przeżywała z kolei wejście na ekrany kin filmu pt. „Przeminęło z wiatrem", wzruszająco opowiadającego o losach mieszkańców USA przed, w czasie i po wojnie secesyjnej, które to wydarzenia odmieniły Stany Zjednoczone i wyznaczyły jej ówczesną teraźniejszość. W następnym roku film otrzymał dziewięć Oscarów i 13 nominacji.

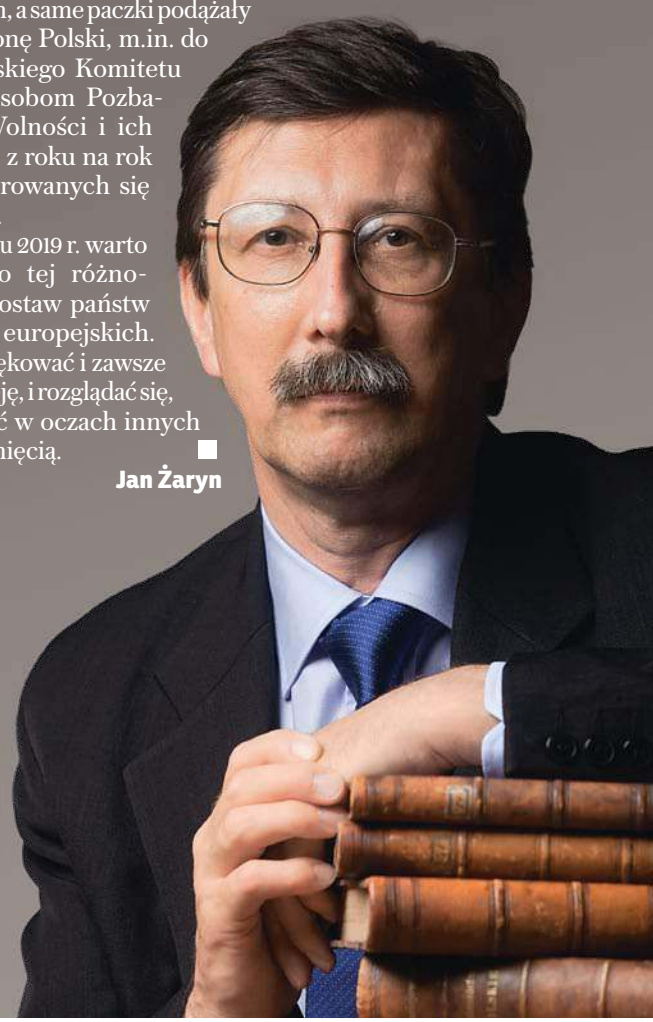
W tym samym czasie, 14 grudnia 1939 r., w Lesie Winiarskim rozpoczęły się masowe egzekucje Polaków. Dotknęły one głównie byłych powstańców wielkopolskich, których nazwiska znalazły się na wcześniej przygotowanych przez Niemców listach proskrypcyjnych. W ciągu kolejnych dni debat w Genewie i filmowych uniesień w Stanach Zjednoczonych Niemcy zamordowali ok. 700 polskich patriotów. Taki jest los narodów nie tylko europejskich, których istnienie nie jest warunkiem sine qua non istnienia świata ludzi.

Podobnie dzieje się dziś, gdy z dala od europejskich granic, gdzieś w dalekiej Azji czy Afryce, giną ludzie, władcy trzymający swe narody twardą ręką dopuszczają się korupcji i gwałtów na najsłabszych.

Te reguły świata nie zawsze obowiązywały. Dnia 13 grudnia 1981 r., 38 lat temu, w Polsce nastał stan wojenny. W ciągu kolejnych dni świat ówczesny żył sprawą polską. Dowodem sympatii stały się szybko organizujące się, m.in. w Niemczech czy we Francji, także w Norwegii i w Stolicy Apostolskiej, społeczności lokalne, szkoły i ważne instytucje niosące pomoc charytatywną umęczonej Polsce. Do akcji pomocy włączyli się natychmiast przedstawiciele Polonii w USA, w Kanadzie czy w państwach zachodnich. Tylko we Francji powstało ok. 400 Komitetów Pomocy dla Polski. Jak pisała dr Gabriela Kreihs: „Rząd francuski poprzez swego ambasadora w Warszawie poprosił Komisję Charytatywną Episkopatu Polski o stworzenie w Paryżu centrali koordynującej ich działalność". Efektem tego apelu było zorganizowanie z inicjatywy prymasa Józefa Glempa Biura Koordynującego KCEP w Paryżu na czele z ks. prof. Eugeniuszem Platerem. Podczas niedawnej rozmowy z ks. rektorem Stanisławem Jeżem, jaką odbyłem pod Paryżem, w miejscu gdzie znajduje się archiwum Polskiej Misji Katolickiej, do dziś są tam nieopracowane zbiory listów fundatorów pomocy na rzecz Polski. Ks. rektor i wolontariusze na bieżąco odpowiadali darczyńcom, a same paczki podążały dalej w stronę Polski, m.in. do prymasowskiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom, z roku na rok skład obdarowanych się powiększał.

W grudniu 2019 r. warto pamiętać o tej różnorodności postaw państw i narodów europejskich. Zawsze dziękować i zawsze mieć nadzieję, i rozglądać się, by pozostać w oczach innych z dobrą pamięcią. ■

Jan Żaryn



Autopromocja

wSIECI HISTORII

Nowe wydanie od czwartku w kioskach!

www.wSieciHistorii.pl >>



eprasa.pl/66b4639bb0



REPARACJE WOJENNE 45 LAT TEMU

Władcy PRL w czasach stalinowskich (od lewej): prezydent Bolesław Bierut, szef MON, marszałek Konstanty Rokossowski i premier Józef Cyrankiewicz



PIOTR ŁYSAKOWSKI

5 marca 1953 r. Właśnie umarł Józef Stalin. „Postępowy świat" pogrąża się w rozpaczy. Rządzący nim wpadają w poważne rozedrganie – braknie drogowskazu i światła płynącego z Moskwy

„Krajom, które w przeszłości otrzymały reparacje, rzadko wyszły one na zdrowie... reparacje są błędną drogą, tym bardziej że od wojny dzielą nas już dwa pokolenia..." – pisano w niemieckiej prasie.

Skutkiem tego są tarapaty, w jakie wpadł „obóz postępu". Jednym z symptomów tych problemów było powstanie berlińskie w czerwcu 1953 r. Jego krwawe stłumienie i późniejsze represje zmusiły rządzących w NRD i ZSRS do ustępstw, pokazania marchewki. Kija już użyto. Nastąpiły sowieckie awanse, pojawiły się sugestie dotyczące możliwej neutralizacji Niemiec i ich (ewentualnego) zjednoczenia wrzucane zarówno niemieckiej, jak i zachodniej opinii publicznej.

Zjednoczenia Niemiec już czas

Cel tych działań był jasny. Z biegiem czasu (gdyby doszło do sugerowanych zmian) cały obszar wcześniej zneutralizowanych i już zjednoczonych Niemiec miał się znaleźć pod kuratelą ZSRS. Dla rządzących PRL mogło to mieć opłakane skutki. Nie dziwi więc niepokój (by nie rzec panika) polskich komunistów: „[...] Potępiamy z całą ostrością prowokacje skierowane przeciwko narodom walczącym o pokój, zwrócone swym ostrzem również przeciwko narodowi polskiemu i granicy pokoju na Odrze i Nysie [...]" – wydawałoby się, że zupełnie od czapy pisał „Express Wieczorny" (27.06.1953). Jednak tym ezopowym językiem pokazywano „suwerenowi" w Moskwie swoje niezadowolenie i strach. Równocześnie jako pewnego rodzaju odtrutkę na to, co się stało na obszarze NRD pokazywano i wyolbrzymiano brutalność policji na Zachodzie „...w Monachium doszło 20 bm. do... starć między ludnością pracującą a policją" – zasada „łap złodzieja" obowiązuje nie od dzisiaj. „Dziesiątki tysięcy mieszkańców miasta wyległy na ulice, aby demonstrować przeciwko próbom pracodawców pogorszenia warunków pracy... Zostali oni brutalnie napadnięci przez policję... Robotnicy monachijscy stawiali zaciekły opór..." („Express Wieczorny", 22.06.1953).

Przy okazji trzeba zauważyć, że pojawiają się opinie w historiografii, że powstanie czerwcowe wzmocniło pozycję SED i równocześnie stało się pewnego rodzaju inspiracją dla Polaków i Węgrów w roku 1956. To ostatnie można zakwestionować z pełnym przekonaniem. Powiem nawet więcej, jestem pewien, że w przypadku Polski wpływ powstania berlińskiego był bardzo mały, jeśli był w ogóle zauważony przez społeczeństwo. Uważny czytelnik zapyta więc, po co powyższy opis. Odpowiem – otóż po to, by zasygnalizować przyczyny tego, co stało się mniej więcej dwa miesiące później i co ma niestety spory wpływ na nasze dzisiaj.

eprasa.pl f6b46398b0

Niewątpliwie nie bez związku z wydarzeniami z czerwca 1953 r. rząd ZSRS wystąpił na forum międzynarodowym (wobec Zachodu będącego sygnatariuszem porozumień poczdamskich) z inicjatywą dotyczącą Niemiec. Proponowano złagodzenie finansowo-gospodarczych zobowiązań Niemiec powstałych w wyniku wojny. Inaczej mówiąc, sugerowano rezygnację z wypłaty odszkodowań, jakie ciążyły na tychże i były efektem przegranej wojny oraz powojennych postanowień „Rząd radziecki uznaje za rzecz konieczną, aby poczynając od 1 stycznia 1954 roku, Niemcy zwolnione zostały całkowicie od spłaty odszkodowań". Sugerowano też (opinia o powyższym wyżej) zjednoczenie Niemiec: „Niemcy zostają odbudowane jako jednolite państwo. [...] jednolite Niemcy uzyskują możliwość rozwoju jako państwo niezawisłe, demokratyczne i miłujące pokój [...] Nie nakłada się na Niemcy żadnych ograniczeń w dziedzinie rozwoju i gospodarki pokojowej" („Express Wieczorny", 18.08.1953). Kilka dni później Sowieci od sugestii przeszli do czynów i na podstawie podpisanego z przebywającą w Moskwie delegacją rządu NRD podpisano (szefowie rządów – Malenkow i Grotewohl) protokół, na mocy którego rezygnowano z dochodzenia wszelkich odszkodowań od tego państwa. Powtórzmy, nie ma wątpliwości, że ze strony ZSRS początkowo była to poważna gra obliczona na neutralizację.

Okoliczności rezygnacji

Wbrew swoim obawom rządzący w PRL komuniści musieli (i nie ma tu szczególnego znaczenia, czy czynili to pod presją, czy z oportunizmu, czy z jednego i drugiego powodu razem) robić dobrą minę do złej gry i grzecznie przytakiwać wszystkiemu, co ustalano w Moskwie. Nawet jeśli miało to szkodzić szeroko rozumianemu polskiemu interesowi narodowemu. Rozkazy z Moskwy wykonywano bez gadania „Rząd radziecki po uzgodnieniu tego z rządem Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej (odnośnie jej części reparacji) całkowicie przerywa z dniem 1 stycznia 1954 r. pobieranie od Niemieckiej Republiki Demokratycznej reparacji zarówno w postaci dostaw towarowych, jak i we wszelkiej innej postaci. W ten sposób Niemiecka Republika Demokratyczna zostaje zwolniona z obowiązku spłacenia pozostałej po 1 stycznia 1954 r. sumy reparacji wynoszącej zgodnie z oświadczeniem rządu radzieckiego z 15 maja 1950 r. w sprawie zmniejszenia dostaw reparacyjnych dla Związku Radzieckiego 2.537 milionów dolarów według cen z 1938 r." (z protokołu w sprawie zaprzestania pobierania reperacji podpisanego między ZSRR a NRD, „Express Wieczorny" za Agencją TASS, 24.08.1953).

Jak echo odezwał się też wywołany do tablicy rząd PRL, który w specjalnym oświadczeniu informował opinię publiczną o tym, że Niemcy w zasadzie już zadośćuczyniły wszystkim ciążącym na nich zobowiązaniom. W związku z tym Polska Ludowa zdecydowała się wnieść aport w pokojowe rozwiązywanie konfliktów i udzielić pomocy niemieckim demokratom, co oczywiście ściśle wiązało się z „polskim interesem narodowym" (!!!) i co też w końcowym efekcie musiało skutkować powzięciem decyzji o „zrzeczeniu się z dniem 1 stycznia 1954 r. spłaty odszkodowań na rzecz Polski" (z oświadczenia rządu PRL, za: „Trybuna Ludu", 24.08.1953). Decyzje te miały wzmacniać bezpieczeństwo Polski, a naród polski „gorąco je witał i wspierał", gdyż przyczyniał się do wzmocnienia NRD będącej „ostoją i opoką demokratycznych i pokojowych sił narodu niemieckiego, która jest jego siłą przewodnią w walce o nowe Niemcy, w walce o nową epokę w historii narodu niemieckiego" („Trybuna Ludu", 25.08.1953).

Siły postępu nadchodzą

Ów entuzjazm potwierdzany był licznymi listami nadsyłanymi do redakcji gazet. Nie wszystkie jednak listy były „po linii i na bazie" (ciekawe, ile w tym było ustawki, a jeśli jej nie było, to czy autor niżej cytowanej korespondencji nie wylądował wkrótce po jej przeprowadzeniu w więzieniu). I tak „obywatel Zygmunt Zaleski, który kocha swój kraj", rozumiejąc rolę i znaczenie naszych kontaktów z NRD, prosił o wyjaśnienie, z jakiego to powodu „krok ten oświadczenie Rządu PRL nazywa wniesieniem przez Polskę wkładu w dzieło pokojowego uregulowania problemu niemieckiego". Pytający otrzymał na tak postawione pytanie „precyzyjną" odpowiedź anonimowego redaktora: „Niemcy są rozbite. Stan ten trwa już od ośmiu lat. Jest on wynikiem polityki mocarstw imperialistycznych... Amerykańsko-adenauerowska propaganda jawnie i bez osłonek mówi o nowym »Drang nach Osten«, mówi o konieczności zbrojnego rewidowania granic, a w pierwszym rzędzie granicy na Odrze i Nysie. Czy realizacja tych planów byłaby do pomyślenia, gdyby istniało zjednoczone, pokojowe, demokratyczne, suwerenne i nie uczestniczące w żadnych agresywnych blokach państwo niemieckie? [...] Pomoc ta ułatwi zwycięstwo sił pokoju i demokracji w całych Niemczech, [...] sił, które bez zastrzeżeń uznały granicę na Odrze i Nysie, jako granicę pokoju. Udzielając pomocy Niemieckiej Republice Demokratycznej, wzmacniamy tym samym bezpieczeństwo naszej Ojczyzny" („Express Wieczorny", 26.08.1953).

Temat bieżący

Pytania, jakie się w tym miejscu pojawiają, powinny brzmieć – czy podjęte przez rząd PRL decyzje mają dziś obowiązującą moc prawną oraz czy istnieją dokumenty potwierdzające tę decyzję, bo tu opinie są podzielone, i jak w końcu wyglądała procedura dochodzenia do „tak" w rozmowach z sowieckim suwerenem dotyczących „dobrowolnego zrzeczenia się" reparacji? Pytania te są istotne choćby z takiego punktu widzenia jak ten, który zaprezentował jeden z twitterowiczów występujący jako „Facecjonista": „Dopóki Państwo Niemieckie nie wynagrodzi krzywd i zniszczeń, których doświadczył Naród Polski z waszej strony w latach 1939–1945, niemieccy dziennikarze są ostatnimi, którzy mają moralne prawo pouczać kogokolwiek" (29 maja 2019). Reparacje są ważne także ze względu na dzisiejsze stosunki polsko-niemieckie, które niemiecki politolog Roland Freudenstein określa jako złe, odpowiadając na pytanie Deutsche Welle: „Są absolutnie napięte. W Berlinie panuje bezradność, wrażenie, że »my zrobiliśmy wszystko, a oni nadal nie chcą podać nam ręki«. Ja wiem, że są takie sprawy jak Nord Stream 2, który sam uważam za błąd i wynik krótkowzrocznej polityki niemieckiej. A to daje nacjonalistom w Polsce doskonałą okazję, żeby dalej polaryzować stosunki z Niemcami i mobilizować istniejące w Polsce lęki przeciwko Niemcom. Efektem jest niestety niewyobrażalne pogorszenie stosunków polsko-niemieckich" (Deutsche Welle, „Niemiecki politolog: Kaczyński w Brukseli nie istnieje", 23.06.2019). Warto tu zwrócić uwagę na to, że Freudenstein, wspominając o kwestii Nord Stream 2, nie zająknął się »

FOT. PAP/NEWSCOM

eprasa.pl f6b46398b0

» jednak o kwestii reparacji, przerzucając kwestie odpowiedzialności za pogorszenie się stosunków na stronę polską i nie odnosząc się bezpośrednio do „bolesnej przeszłości". O tejże wypowiedział się mądrze przewodniczący Bundestagu Wolfgang Schäuble (cytat za: wPolityce.pl, 23.06.2019): „Jestem Niemcem, znam historię. Biorąc to pod uwagę, uważam, że powinniśmy się skupić na utrzymaniu stabilności niemieckiej demokracji", także nie zwracając uwagi na interesujące nas kwestie. Zupełnie na marginesie trzeba stwierdzić, że przy okazji jednak zauważył to, czego nie chcą dzisiaj widzieć niemieccy politycy: „Z kolei my, Niemcy, nie zapominamy, że zjednoczenie Niemiec zaczęło się w Polsce, w Gdańsku, od Solidarności".

Zwracam uwagę na wypowiedzi Freudensteina i Schäublego z tej banalnej przyczyny, że ze strony niemieckiej nie ma (w zasadzie) szerszego oficjalnego odniesienia się do kwestii reparacji (z wyjątkiem stwierdzeń rządu RFN, że nie ma podstaw do jakichkolwiek roszczeń ani ich wypłat). Działają natomiast w obu krajowych parlamentach grupy zajmujące się tymi sprawami: „Zgodnie z opinią Biura Analiz Sejmowych [...] zasadne jest twierdzenie, że Rzeczypospolitej Polskiej przysługują wobec Republiki Federalnej Niemiec roszczenia odszkodowawcze, a twierdzenie, że roszczenia te wygasły lub uległy przedawnieniu, jest nieuzasadnione. Z opinii zespołu naukowców Bundestagu wynika zaś, że polskie roszczenia są bezzasadne...." („Mularczyk o reparacjach dla Polski", Interia.pl, 13.05.2019).

Niemieckie lęki

To, czego po niemieckiej stronie nie artykułuje się oficjalnie, jest mocno wypowiadane przez dziennikarzy. Warto w tym kontekście zwrócić uwagę na tekst Svena Felixa Kellerhoffa „Reparationszahlungen heilen nicht – sie schaffen neue Probleme" zamieszczony w dzienniku „Die Welt" (20.05.2019). Kellerhoff zwraca uwagę na to, że efekty wyegzekwowanych reparacji mogłyby być niszczące dla Europy. Straszy też wzrostem nacjonalizmu: „Równocześnie doszłoby do wzrostu resentymentów, a skutkiem byłby ogromny wzrost nacjonalizmu...". Przy okazji wraca do stanowiska rządu RFN z okresu rokowań 2+4 (1990), kiedy to zdaniem oficjalnych kół niemieckich zamknięto ostatecznie kwestie odszkodowań. Dodaje przy tym, że „z jednej strony chodzi w nich o naprawę konkretnych szkód materialnych, z drugiej zaś o upokorzenie pokonanego przeciwnika [...] Krajom, które w przeszłości otrzymały reparacje, rzadko wyszły one na zdrowie [...] reparacje są błędną drogą, tym bardziej że od wojny dzielą nas już dwa pokolenia...". Argumentacja niekoniecznie logiczna i całkowicie ahistoryczna. Inna sprawa, że opinię tę podziela większość Niemców, którzy zapoznali się z tekstem. Koronnym argumentem tej grupy na rzecz odrzucenia polskich (i nie tylko) roszczeń jest to, że te miały się przedawnić, a także że dzisiejszy „polski zachód" stał się wystarczającą „zapłatą" za niemieckie zbrodnie popełnione w latach 1939–1945. W końcu zaś wspomina się o korzyściach, jakie ponosi Polska z racji obecności w UE, jakby jedno miało z drugim cokolwiek wspólnego.

Nieco inną opinię wyraził we wcześniejszym (6.05.2019) tekście zamieszczonym w dzienniku „Tagesspiegel" Christoph von Marschall. To jednak głos odosobniony. I kończąc już, kwestia reparacji wywołała także niemiecką reakcję odnoszącą się do polsko-żydowskiego sporu (Just Act 447) – co ciekawe piszący o tym nie wspominają (generalnie), że Act dotyczy mienia bezspadkowego. Jest też pewien pozytyw – Florian Mausbach wystąpił jakiś czas temu z inicjatywą budowy w Berlinie pomnika Polaków, ofiar III Rzeszy, do której to inicjatywy rząd Polski powinien się (moim zdaniem) przyłączyć, a przynajmniej ją wesprzeć. ■

Polskim okiem

NASI W NAIROBI



RYSZARD CZARNECKI

Kenia, wschodnia Afryka. „Polonica"? Mnóstwo. Połowa strażaków w tym kraju została wyszkolona przez polskich specjalistów. To Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej stworzyło specjalną placówkę Kyanbu, a teraz ma również szkolić strażaków z Rwandy, Burundi i Tanzanii.

Polskie firmy ekspansywnie zdobywają kenijski rynek. Na przykład kwitnie eksport urządzeń do produkcji mleka. Jedna z naszych firm (Faspol) sprzedała już chłodziarki do przeszło stu przetwórni mleka z Kenii, inna firma z Polski (Elzab) w olbrzymiej liczbie sprzedaje tu kasy fiskalne. Jeszcze inne polskie przedsiębiorstwo zdominowało tutejszy rynek, gdy chodzi o generatory prądu – niezbędne tutaj z racji stałych wyłączeń zasilania. Potrzebują tych urządzeń hotele, szpitale, itd. Sporo poważnych firm z naszego kraju było tu na już drugim polsko-kenijskim szczycie farmaceutycznym. Wreszcie Polak jest już od trzech lat szefem kenijskich linii lotniczych.

Ściąganiem polskich firm do tego kraju zajmuje się nasz młody rodak, urodzony w... RPA. Ba, mamy tu nawet, od niedawna, dwie ambasady. Jedna to bilateralna – zajmuje się relacjami z tym 47-milionowym krajem. Skądinąd nasze obroty handlowe z Kenią są większe niż Węgier, Czech i Słowacji razem wziętych. Druga zaś jest akredytowana przy afrykańskiej siedzibie ONZ (jedna z czterech na świecie, obok Nowego Jorku, Genewy i Wiednia), znajdującej się w stolicy kraju Nairobi. Stolica ma 3,5 miliona ludzi – a więc jest dwa razy liczniejsza od Warszawy, założona została przez Brytyjczyków ledwie 120 lat temu, niejako przy okazji budowy kolei z Ugandy do Mombasy. Po Albionie został ruch lewostronny – a i korki są jak w Londynie...

Wylatując z lotniska nazwanego imieniem pierwszego prezydenta kraju Jomo Kenyatty, myślę o polskim dyplomacie, który parę miesięcy temu do tegoż lotniska nie doleciał: zginął w katastrofie lotniczej. Miał być „numerem dwa" w naszej ambasadzie. W samolocie lecącym z Etiopii był jeszcze jeden polski obywatel – paromiesięczne dziecko. Będę pamiętać o nich tak samo, jak o polskich Wokulskich podbijających Czarny Ląd, w tym Kenię. ■



Fot. Łukasz Ostalski/REPORTER

eprasa.pl f6b46398b0



Sto lat temu, 26 listopada 1919 r., w Białymstoku urodził się Ryszard Kaczorowski

RYSZARD KACZOROWSKI – OSTATNI PREZYDENT RP NA UCHODŹSTWIE



KRZYSZTOF TARKA

Prezydent został uroczyście pochowany w Panteonie Wielkich Polaków w Świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie. Dwa lata później śledczy doszli jednak do wniosku, iż ciało prezydenta w rzeczywistości zostało pochowane w innym grobie, co potwierdziła ekshumacja zwłok

Trwała wówczas wojna polsko-bolszewicka. Jego ojciec był kolejarzem, a matka pracowała w zakładach tytoniowych.

Jeszcze w szkole powszechnej Ryszard wstąpił do Związku Harcerstwa Polskiego. Harcerstwo stało się jego wielką przygodą, pasją i szkołą życia. Krzyż z lilijką przez całe życie był dla druha Kaczorowskiego czymś niezwykle ważnym.

Pokolenie walczących

W październiku 1939 r. w okupowanym przez Sowietów Białymstoku Kaczorowski współorganizował tajny hufiec harcerski. Na początku lipca 1940 r. objął komendę białostockiej chorągwi Szarych Szeregów. Jednak już dwa tygodnie później został aresztowany przez NKWD. Za działalność w „polskiej kontrrewolucyjnej powstańczej organizacji" został skazany na karę śmierci. Miał wówczas zaledwie 21 lat. Po stu dniach pobytu w celi śmierci dowiedział się, że Sąd Najwyższy sowieckiej Białorusi zmienił wyrok na 10 lat pozbawienia wolności. W rezultacie Kaczorowski został zesłany do łagru na Kołymie, na drugi koniec Związku Sowieckiego, gdzie pracował w kopalni złota.

Po latach wspominał: „Spało się w butach, by ich kto nie ukradł i w szmatach udających ubranie robocze". Po kilku miesiącach morderczej pracy wraz z grupą polskich łagierników niespodziewanie odzyskał wolność. Było to możliwe dzięki podpisaniu 30 lipca 1941 r. układu Sikorski–Majski.

Po kolejnych pięciu miesiącach wędrówki przez Kraj Rad dotarł do wojska polskiego tworzonego w Związku Sowieckim przez gen. Władysława Andersa. Początkowo był tak osłabiony >>

rasa.pl f6b46398b0



22 grudnia 1990 r. prezydent Kaczorowski na Zamku Królewskim w Warszawie przekazał prezydentowi Lechowi Wałęsie insygnia władzy

Fot. PAP/CAF/Ireneusz Radkiewicz

» fizycznie, że wykonanie komendy „na ramię broń" sprawiało mu trudność. W wojsku służył w kompanii łączności. Wraz z polskimi oddziałami przeszedł szlak bojowy przez Iran, Egipt i Włochy.

W tym czasie nie tylko walczył, lecz także uczył się (w wojsku zdał egzamin maturalny) i działał w harcerstwie. Po zakończeniu wojny i demobilizacji polskich oddziałów znalazł się w Wielkiej Brytanii, gdzie wstąpił do Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia. Zdecydował się pozostać na emigracji. Jego wcześniejsze doświadczenia z pewnością nie skłaniały go do powrotu do kraju rządzonego przez komunistów.

Przymusowy londyńczyk

Zamieszkał w Londynie, który był politycznym centrum polskiego wychodźstwa. Tu miał swoją siedzibę prezydent i rząd na uchodźstwie oraz liczne organizacje społeczne, zawodowe, kulturalne. Sam Kaczorowski nie zajmował się działalnością polityczną. Poświęcił się harcerstwu i pracy z młodzieżą. W 1967 r. został przewodniczącym Związku Harcerstwa Polskiego poza granicami Kraju. Funkcję tę sprawował przez ponad 20 lat, aż do 1988 r. Zawodowo pracował jako księgowy w różnych firmach brytyjskich.

Harcerstwo, choć było organizacją apolityczną, stało się jednym z filarów ruchu niepodległościowego na emigracji. Z harcerstwa wywodzili się dwaj ostatni prezydenci RP Kazimierz Sabbat i Ryszard Kaczorowski oraz ostatni przewodniczący Rady Narodowej, czyli emigracyjnego parlamentu, Zygmunt Szadkowski. W kręgu starszoharcerskim Kaczorowski poznał swoją przyszłą żonę Karolinę Mariampolską, pochodzącą ze Stanisławowa (małżeństwo zawarli w 1952 r.). Harcerkami zostały również dwie córki Kaczorowskich: Jadwiga Jagoda i Alicja.

Działalność w harcerstwie, kontakty z wieloma osobami sprawiły, że Kaczorowski był powszechnie znany w „polskim" Londynie. Dał się też poznać jako patriota, człowiek odpowiedzialny i zdolny organizator.

Gdy na początku 1986 r. przeszedł na emeryturę, ówczesny premier Kazimierz Sabbat zaproponował mu wejście w skład rządu RP na uchodźstwie. W ten sposób rozpoczęła się polityczna kariera Kaczorowskiego.

W kolejnym rządzie, powołanym w końcu maja 1986 r., Kaczorowski został ministrem spraw krajowych. Ze względu na misję władz na emigracji i wagę kontaktów z opozycją w PRL było to w istocie najważniejsze ministerstwo. Równocześnie został sekretarzem Funduszu Pomocy Krajowi, który wspomagał finansowo opozycję polityczną w PRL, a zwłaszcza wydawnictwa „drugiego obiegu".

Jako wieloletni przewodniczący ZHP Kaczorowski miał już spore doświadczenie i powiązania harcerskie z krajem, znał też wielu działaczy opozycyjnych odwiedzających Londyn. W tej sytuacji był naturalnym kandydatem na następcę prezydenta i to właśnie jego w 1988 r. na to stanowisko desygnował prezydent Sabbat. Mimo późno rozpoczętej kariery politycznej Kaczorowski szybko wszedł więc do elity politycznej „polskiego" Londynu.

W końcu lat 80. przyspieszenia nabrało tempo wydarzeń w kraju. Prezydenta Kaczorowskiego, jak chyba każdego emigranta politycznego, cieszyły zmiany zachodzące w Polsce. Doceniał także zmiany częściowe, ograniczające

eprasa.pl f6b46398b0



16 kwietnia 2010 r. Pożegnanie ostatniego prezydenta Polski na obczyźnie Ryszarda Kaczorowskiego w Belwederze i w kościele św. Krzyża w Warszawie

Fot. PAP/Paweł Kula

Fot. Tomasz Gzell

się do liberalizacji systemu politycznego, choć oczywiście postulaty i oczekiwania emigrantów szły znacznie dalej. Od samego początku celem emigracyjnych władz była Polska wolna, suwerenna i niepodległa.

Przedstawiciele emigracyjnego establishmentu nie negowali sensu rozmów przy „okrągłym stole", nie krytykowali też przedstawicieli Solidarności rozmawiających z gen. Kiszczakiem, choć niewątpliwie politycznie i ideowo było im bliżej do krajowych kontestatorów negocjacji z Solidarności Walczącej czy Konfederacji Polski Niepodległej.

Podczas narady zwołanej przez prezydenta Sabbata 5 kwietnia 1989 r. (w dniu zakończenia obrad „okrągłego stołu") z udziałem członków rządu oraz przywódców życia politycznego i społecznego minister Kaczorowski wyliczał pozytywne strony negocjacji między władzami PRL a opozycją w kraju (częściowo wolne wybory do Sejmu, legalizacja Solidarności i przywrócenie Senatu); w rezultacie „w Polsce nastąpi rozluźnienie kontroli partii nad życiem obywateli" – podsumował. Zaznaczył jednak, że nie ma żadnych gwarancji, iż zawarta umowa zostanie tym razem przez komunistów dotrzymana.

Wobec zapowiadanych wyborów parlamentarnych w kraju rząd na emigracji zajął krytyczne stanowisko. W oświadczeniu z 10 maja podkreślono, że pozostawienie 65 proc. miejsc w przyszłym Sejmie w rękach komunistów i ich satelitów stanowi zaprzeczenie demokracji. Obawiano się również, że nawet częściowo wolne wybory mogą zostać sfałszowane.

Klęska PZPR i sukces Solidarności w czerwcowych wyborach z 1989 r. przyspieszyły proces ewolucyjnej zmiany ustroju polityczno-gospodarczego zaplanowanego przy „okrągłym stole". Stopniowo zmieniały się również nastroje na emigracji. Początkowa ostrożność, obawa, sceptycyzm coraz wyraźniej przeradzały się w radość zwycięstwa i nadzieję na zmiany.

Ostatni prezydent

W tym czasie doszło też do zmiany na szczytach władz w „polskim" Londynie. Gdy 19 lipca 1989 r. w Polsce Zgromadzenie Narodowe wybrało na nowego prezydenta PRL gen. Wojciecha Jaruzelskiego, tego samego dnia w Londynie zmarł prezydent Sabbat. Niektórzy dopatrywali się w tym jakiejś wymownej symboliki. W rzeczywistości był to zbieg okoliczności, a ta przypadkowa zbieżność nie miała żadnego formalnego znaczenia ani dla władz w kraju, ani na emigracji. Zresztą najpierw Jaruzelski został wybrany na prezydenta PRL, a kilka godzin później Sabbat, po wyjściu z siedziby władz emigracyjnych w Londynie, idąc ulicą, nagle zasłabł i zmarł na zawał serca. Jeszcze tego samego dnia Ryszard Kaczorowski został zaprzysiężony na nowego prezydenta RP.

W końcu 1989 r. wyraźnie widać już było, że system zaprowadzony prawie pół wieku wcześniej w krajach Europy Środkowo-Wschodniej odchodzi w polityczny niebyt. Doceniając zmiany zachodzące w kraju, prezydent Kaczorowski zdecydowanie opowiadał się za ich przyspieszeniem. W przemówieniu noworocznym 1 stycznia 1990 r. stwierdził: „Patrzymy na pokojową przebudowę życia politycznego w naszym kraju ze zrozumiałym zniecierpliwieniem, bo chcielibyśmy, aby cel, dla którego pozostaliśmy »

eprasa.pl f6b46398b0

HARCERSTWO STAŁO SIĘ JEDNYM Z FILARÓW RUCHU NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO NA EMIGRACJI. Z HARCERSTWA WYWODZILI SIĘ DWAJ OSTATNI PREZYDENCI RP KAZIMIERZ SABBAT I RYSZARD KACZOROWSKI ORAZ OSTATNI PRZEWODNICZĄCY RADY NARODOWEJ ZYGMUNT SZADKOWSKI

» i pracowaliśmy poza krajem, został osiągnięty jak najszybciej".

Gdy w połowie lutego 1990 r. do Londynu przyjechał premier Tadeusz Mazowiecki, spotkał się w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym z działaczami Zjednoczenia Polskiego w Wielkiej Brytanii. Nie doszło jednak do zapowiadanego spotkania z prezydentem Kaczorowskim. W ostatniej chwili zostało ono odwołane przez gości z Warszawy. Nie podano jednak żadnych szczegółów odmowy. Jeszcze przed wizytą Mazowieckiego w Londynie Kaczorowski zaprosił premiera na „zamek", do siedziby emigracyjnych władz, na co ten się jednak nie zgodził. Wówczas Kaczorowski wyraził zgodę na kameralne spotkanie z premierem w POSK. Dla Mazowieckiego było czymś niewygodnym mieć jednego prezydenta w Warszawie (Jaruzelskiego), który desygnował go na urząd premiera, a potem z innym prezydentem (Kaczorowskim) dyskutować w Londynie o przyszłości kraju. Lojalność wobec okrągłostołowego układu Mazowiecki przedkładał nad uhonorowanie władz emigracyjnych.

Wobec postępującego procesu wyzwalania się Polski spod dominacji sowieckiej oraz zmian zachodzących w całej Europie Środkowo-Wschodniej coraz bardziej aktualne stawało się pytanie o warunki, które muszą być spełnione, by emigracja uznała, że kraj jest już wolny. W Polsce stacjonowały jeszcze wojska sowieckie, nadal istniał Układ Warszawski, głową państwa był komunistyczny dyktator, obowiązywała też znowelizowana konstytucja z 1952 r.

Według emigrantów przekazanie insygniów władzy do kraju poprzedzić miały wolne wybory do parlamentu, uchwalenie nowej konstytucji i na końcu wybory prezydenckie. W końcu 1990 r. ten scenariusz został odwrócony. Prezydent Kaczorowski musiał rozstrzygnąć, czy zbliżające się wybory prezydenckie oznaczają, że Polska jest już wolna i niepodległa i możliwe jest przekazanie insygniów władzy, czy też należy z tym czekać do zapowiadanych w przyszłości wolnych wyborów parlamentarnych.

Jesienią 1990 r., jeszcze przed wyborami prezydenckimi w Polsce, Kaczorowski zadeklarował publicznie, że po wyborze nowego prezydenta przyjedzie do Warszawy, aby przekazać mu swój urząd. W krótkiej, trwającej niecałe półtora roku prezydenturze Ryszarda Kaczorowskiego była to niewątpliwie najważniejsza decyzja.

Nie wszyscy w „polskim" Londynie podzielali takie stanowisko. Rada Narodowa w rezolucji przyjętej 20 października stwierdziła, że prezydent powinien przekazać insygnia władzy do kraju, a rząd RP zakończyć działalność dopiero po wolnych wyborach parlamentarnych.

W przededniu wyborów prezydenckich w kraju „polski" Londyn podzielił się na zwolenników premiera i przewodniczącego Solidarności. Początkowo emigracyjne władze, nie chcąc w żaden sposób ingerować w kampanię wyborczą w kraju, nie zajęły stanowiska wobec kandydatów ubiegających się o urząd prezydenta. Sytuacja zmieniła się po pierwszej turze wyborów. W oświadczeniu z 3 grudnia rząd RP na uchodźstwie wezwał do głosowania na Lecha Wałęsę, który ostatecznie zwyciężył w drugiej turze głosowania. Nazajutrz Kaczorowski przesłał gratulacje nowo wybranemu prezydentowi.

Koniec historycznej misji

22 grudnia 1990 r. po zaprzysiężeniu prezydenta-elekta prezydent Kaczorowski na Zamku Królewskim w Warszawie przekazał Wałęsie insygnia władzy prezydenckiej. Było to symbolicznym zakończeniem misji i działalności emigracji. Przekazanie insygniów pozwoliło też władzom na emigracji zaistnieć w społecznej świadomości rodaków w kraju. Była to też pierwsza po ponad 50 latach wizyta Kaczorowskiego w ojczyźnie.

Ryszard Kaczorowski nigdy nie zdecydował się przenieść na stałe do Polski. Do końca życia mieszkał w Londynie, jednak żywo interesował się sprawami kraju. Po 1990 r. wielokrotnie przyjeżdżał do Polski i brał udział w różnych uroczystościach. Stał się też osobą powszechnie znaną. Nie angażował się jednak w bieżące spory polityczne.

Gdy w 1994 r. premier Waldemar Pawlak nieoczekiwanie zaproponował Kaczorowskiemu stanowisko ministra obrony narodowej, ten odmówił ze względu na wiek (miał wówczas 75 lat). Natomiast z wielką godnością, ale bez pompatyczności, pełnił funkcję byłego prezydenta. Ujmował ludzi nienagannymi manierami i skromnością.

Świadectwem uznania dla drogi życiowej i postawy Kaczorowskiego są przyznane mu liczne wyróżnienia. Prezydent jest honorowym obywatelem 38 miast w Polsce, otrzymał też doktoraty honoris causa kilku krajowych uczelni.

Prezydent Kaczorowski zginął 10 kwietnia 2010 r. w katastrofie samolotu rządowego w Smoleńsku, udając się na obchody 70. rocznicy zbrodni katyńskiej. Został uroczyście pochowany w Panteonie Wielkich Polaków w Świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie. Dwa lata później, po analizie dokumentacji medycznej, śledczy doszli jednak do wniosku, iż ciało prezydenta w rzeczywistości zostało pochowane w innym grobie, co potwierdziła ekshumacja zwłok.

Ryszard Kaczorowski nie był zwycięskim wodzem, myślicielem politycznym, ideologiem czy przywódcą ważnego ruchu politycznego. Ale to właśnie jemu przypadła historyczna rola ostatniego emigracyjnego prezydenta, który doczekał wolnej Polski. Przekazując do kraju insygnia władzy prezydenckiej, z godnością zakończył misję emigracji politycznej.

eprasa.pl f6b46398b0

KGHM
POLSKA MIEDŹ

Jesteśmy liderem w produkcji miedzi i srebra.
Umożliwiamy rozwój nowoczesnego świata.

KGHM Polska Miedź S.A. | ul. M.Skłodowskiej-Curie 48 | 59-301 Lubin | www.kghm.com



eprasa.pl f6b46398b

Polski biznes bez kompleksów

Gospodarcze inicjatywy prezydenta Andrzeja Dudy realizowane są w kraju, a także w ramach polityki zagranicznej. Wspieranie polskiej gospodarki jest jednym z priorytetów jego prezydentury – mówi ***Adam Kwiatkowski***, sekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta RP, w rozmowie ze Stanisławem Koczotem („Gazeta Bankowa")



Fot. Andrzej Wiktor

Polska gospodarka stała się symbolem polskiego sukcesu. Jej wyniki, dynamika, osiągnięcia wielu polskich przedsiębiorstw robią mocne wrażenie nie tylko na ekonomistach, lecz również na przedstawicielach zagranicznego biznesu. Jakie znaczenie ma gospodarka w prezydenturze Andrzeja Dudy?

Adam Kwiatkowski: Wspieranie polskiej gospodarki jest jednym z priorytetów Pana Prezydenta, o czym świadczy niezwykle aktywna działalność jego na tym polu. Przykładem jest m.in. przyznawana co roku Nagroda Gospodarcza Prezydenta RP, projekty wspierające innowacyjne polskie firmy, czyli „Startupy w pałacu" i „Technologie Przyszłości", wizyty w przedsiębiorstwach, inicjatywy ustawodawcze czy konferencje tematyczne. Jest to tylko wycinek działalności Pana Prezydenta na polu gospodarki.

Nie można zapomnieć również o działalności Głowy Państwa w obszarze polityki zagranicznej, o tzw. dyplomacji gospodarczej. W br. niewątpliwie najważniejsza z nich była wizyta w Stanach Zjednoczonych, podczas której Pan Prezydent uczestniczył m.in. w Polsko-Amerykańskim Forum Nowych Technologii w Kalifornii oraz w Polskim Tygodniu Biznesu w Nevadzie. Pan Prezydent wziął udział także w otwarciu czterech zagranicznych biur Polskiej Agencji Inwestycji i Handlu na trzech kontynentach oraz dwukrotnie w Forum Ekonomicznym w Davos.

Aktywność prezydenta RP w dziedzinie promocji gospodarki ma wiele poziomów – od wspierania przedsiębiorczości, po spotkania z właścicielami firm i pracownikami. Jaki obraz gospodarki wyłania się z tych spotkań? O czym mówią przedsiębiorcy, pracownicy, jakich zmian oczekują?

Rzeczywiście, wspieranie przedsiębiorczości przez Pana Prezydenta ma charakter wieloaspektowy. Wymienić należy chociażby wizyty u polskich przedsiębiorców w siedzibach ich firm, udział w licznych wydarzeniach gospodarczych, takich jak Kongres 590 czy Forum Ekonomiczne w Krynicy, jak też w spotkaniach organizowanych przez Radę ds. Przedsiębiorczości oraz w posiedzeniach Narodowej Rady Rozwoju.

Ze spotkań tych wyłania się obraz polskiego przedsiębiorcy, który nie ma już kompleksów wobec światowych konkurentów. Ostatnio uczestniczyłem w imieniu Pana Prezydenta w konferencji zorganizowanej przez Radę ds. Przedsiębiorczości oraz Centrum Promocji Krajowej Izby Gospodarczej. Pokrzepiające jest, jak wiele polskich firm doskonale radzi sobie na rynkach zagranicznych. Cieszy też to, że administracja państwowa, zwłaszcza polskie instytucje rozwoju, odpowiada na zapotrzebowanie polskich przedsiębiorców i aktywnie wspiera ich w ekspansji międzynarodowej. Jest to jeden z celów Pana Prezydenta, aby zbliżyć do siebie administrację państwową i biznes, m.in. poprzez tworzenie platform wymiany doświadczeń.

Jednak przedsiębiorcy w Polsce nadal liczą m.in. na uproszczenie regulacji prawnych, by mogli skupić się na rozwoju. I tutaj Pan Prezydent wychodzi im naprzeciw z inicjatywami legislacyjnymi lub poprzez powoływanie podmiotów, których zadaniem jest analiza polskiej rzeczywistości gospodarczej i proponowanie rozwiązań ułatwiających im działalność.

Które inicjatywy prezydenta RP pozwoliły zmienić lub zmodyfikować polskie realia gospodarcze, zwiększyć znaczenie przedsiębiorczości, uprościć procedury działalności biznesowej?

Jak już wspomniałem, gospodarcze inicjatywy prezydenta Andrzeja Dudy realizowane są w kraju, a także w ramach polityki zagranicznej, m.in. poprzez udział w forach gospodarczych.

W ramach powołanej przez prezydenta RP Narodowej Rady Rozwoju działa sekcja „Gospodarka, praca, przedsiębiorczość", której członkowie zajmują się analizą trendów gospodarczych, przedstawiają opinie o kluczowych propozycjach programowych i legislacyjnych przedkładanych przez rząd oraz składają własne propozycje zmian i usprawnień. W ten np. sposób NRR wpłynęła znacząco na proces tworzenia Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju.

Wśród tegorocznych inicjatyw na szczególną uwagę zasługuje powołanie Rady ds. Przedsiębiorczości przy Prezydencie RP, która jest wynikiem konsultacji Pana Prezydenta ze środowiskami nauki i biznesu i stanowi forum konsultacyjno-doradcze prezydenta RP. Jej członkami są praktycy biznesu, naukowcy i prawnicy. Działania Rady koncentrują się przede wszystkim na szukaniu rozwiązań, które zapewnią przedsiębiorcom warunki dla stabilnego rozwoju. Służą temu dyskusje prowadzone na posiedzeniach Rady.

Rada ds. Przedsiębiorczości zainicjowała także cykl spotkań z udziałem Pana Prezydenta pod nazwą „Śniadania w Belwederze", podczas których prowadzone są rozmowy na temat sposobów ożywienia przedsiębiorczości w Polsce.

Wśród najnowszych inicjatyw legislacyjnych Pana Prezydenta można wymienić chociażby nowelizację Kodeksu spółek handlowych, której projekt przygotował. Jest ona korzystna dla mikro, małych i średnich przedsiębiorstw. Wprowadza możliwość udziału w zgromadzeniu wspólników spółki z o.o. za pomocą wykorzystania środków komunikacji elektronicznej, co z kolei umożliwia otwarcie się na podmioty zagraniczne.

Ważną inicjatywą prezydenta RP jest Polska Wystawa Gospodarcza. Projekt został zainicjowany w zeszłym roku, lecz termin głównej wystawy został przesunięty. Dlaczego? Czy projekt jest kontynuowany?

Polska Wystawa Gospodarcza to projekt powstały z inicjatywy prezydenta Andrzeja Dudy, którego celem jest m.in. prezentacja dorobku najlepszych polskich firm wyłonionych przez kapitułę w naborze wystawców PWG.

Inauguracja projektu odbyła się 28 września 2018 r. Główne wydarzenie, planowane początkowo na 2019 r., zostało przesunięte w czasie, z przyczyn obiektywnych, niezależnych od kancelarii, co jednak nie oznacza rezygnacji z projektu. Ze względu na jego szczególny charakter będzie on kontynuowany, poprzez realizację, do czasu głównej wystawy, różnorodnych wydarzeń towarzyszących, w różnej formule, w czasie których eksponowane będą zwycięskie produkty lub przekazywane informacje o nich. Wszelkie informacje dotyczące projektu są na bieżąco zamieszczane na stronie internetowej www.pwg.prezydent.pl oraz w mediach społecznościowych.

Do chwili obecnej, poza zrealizowaną ekspozycją zapowiadającą PWG, jej wystawców zaprezentowano podczas Kongresu 590 w Rzeszowie, w specjalnej strefie PWG. W przyszłym roku zaś w styczniu planujemy prezentację w Stalowej Woli, w ramach organizowanego tam eventu gospodarczego.

Co należy zrobić, aby pokazać się na PWG?

Nabór na wystawców Polskiej Wystawy Gospodarczej został rozstrzygnięty i zakończony. Wymogi, jakie należało spełnić, aby stać się wystawcą, określał specjalny regulamin. Przede wszystkim jednak należało zostać zgłoszonym przez jedną z ponad 120 instytucji zgłaszających, wśród których znalazły się instytucje publiczne, urzędy marszałkowskie, uczelnie wyższe, związki branżowe i organizacje pozarządowe. Nabór był prowadzony poprzez składane w formie elektronicznego formularza wnioski, które musiały spełnić określone w regulaminie warunki. Następnie wnioski były weryfikowane i oceniane przez specjalnie powołaną kapitułę złożoną

eprasa.pl f6b46398b0

z przedstawicieli świata nauki, mediów oraz instytucji publicznych oraz sektora pozarządowego na czele z prof. SGH Piotrem Wachowiakiem. Ostatecznie Kapituła PWG dokonała wyboru 90 spośród wszystkich zgłoszonych przedsiębiorstw. Obecnie nie przewidujemy wznowienia naboru, jednak w przypadku pojawienia się takiej potrzeby z pewnością na nią odpowiemy.

Niezwykle istotną częścią polskiej gospodarki jest rolnictwo. Polski eksport rolny rozwija się błyskawicznie – w tym roku jego wartość może przekroczyć nawet 30 mld euro. Co ważne, staje się coraz bardziej nowoczesne, polskie produkty z tego obszaru są rozpoznawalne na całym świecie. Jakie działania wspierające nasz sektor rolny podejmuje prezydent RP?

Pan Prezydent wielokrotnie podkreślał, że polityka sprzyjająca polskiej wsi jest jednym z jego głównych zadań. Rolnictwo jest i pozostanie strategiczną dziedziną polskiej gospodarki, jest fundamentem naszego bezpieczeństwa żywnościowego, dlatego działalność rolnicza powinna być objęta aktywną opieką państwa.

Pan Prezydent dostrzega bolączki polskiego rolnictwa, jak choćby te dotyczące kwestii dopłat, dlatego celem działań Głowy Państwa, ale też rządu, jest wywalczenie dopłat dla polskich rolników przynajmniej na średnim poziomie UE.

Pan Prezydent angażuje się również w rozmaite inicjatywy mające na celu wspieranie rozwoju polskiego rolnictwa. Przykładem może być choćby objęcie patronatu nad funkcjonowaniem Porozumienia Rolniczego, którego głównym celem jest prowadzenie dialogu społecznego w sprawach wsi i rolnictwa.

Głosem doradczym w kwestiach związanych z rolnictwem służą Panu Prezydentowi m.in. eksperci z Narodowej Rady Rozwoju skupieni w sekcji „Wieś, rolnictwo", których opinie i postulaty przekazywane są stronie rządowej.

Wśród działań wspierających i promujących rodzime rolnictwo, które realizuje Głowa Państwa, na uwagę zasługuje także organizowana corocznie Gala AgroLigi, podczas której Pan Prezydent wręcza nagrody najlepszym rolnikom i firmom z tej branży. Ponadto odwiedza gospodarstwa i siedziby rolniczych firm. Bierze także udział w wydarzeniach, wystawach i targach.

Istotnym działaniem Pana Prezydenta jest również zainicjowany i realizowany przez kancelarię cykl konferencji pod nazwą „Perspektywy dla mieszkańców obszarów wiejskich" prezentujący działania państwa wspierające rozwój polskiej wsi. W projekt ten zaangażowanych jest 13 ministerstw oraz Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa. Podczas spotkań poszczególne ministerstwa prezentują swoją ofertę dla obszarów wiejskich i ich mieszkańców. Jest to dobra okazja do wspólnej dyskusji z samorządowcami na temat rozwoju wsi.

> Wśród najnowszych inicjatyw legislacyjnych Pana Prezydenta można wymienić chociażby nowelizację Kodeksu spółek handlowych. Jest ona korzystna dla mikro, małych i średnich przedsiębiorstw

Wyrazem uznania i wdzięczności dla ciężkiej pracy polskich rolników są natomiast Dożynki Prezydenckie organizowane w Spale. W tym roku Pan Prezydent już po raz piąty podziękował rolnikom za trud ich pracy oraz za służbę dla polskiego społeczeństwa.

Nasza gospodarka musi stawać się coraz bardziej nowoczesna i innowacyjna. Wydaje się, że posiadamy wystarczająco liczne kadry dobrze wykształconych, pomysłowych przedsiębiorców i pracowników, zdolnych do tworzenia produktów i rozwiązań pozwalających osiągać sukcesy w coraz bardziej konkurencyjnych, globalnych realiach. W jaki sposób prezydent RP promuje rodzimą innowacyjność? Czy może się ona stać hasłem wywoławczym naszej drogi do gospodarczego sukcesu?

Wspieraniu rodzimej innowacyjności służą m.in. prezydenckie projekty, „Technologie Przyszłości" oraz „Startupy w Pałacu". Pierwszy podejmuje tematy wyzwań stojących przed polskimi przedsiębiorcami w obszarze innowacji w perspektywie najbliższych lat. Jego celem jest m.in. określenie warunków, które muszą zostać spełnione, aby polskie firmy stały się liderami w zakresie kluczowych technologii przyszłości. Dotychczas odbyły się trzy konferencje poświęcone zagadnieniom biotechnologii, elektromobilności oraz przemysłowi kosmicznemu, a także jedno spotkanie, w nieco innej formie, na temat przyszłości motorsportu w Polsce.

Z myślą o wspieraniu innowacyjnych pomysłów młodych polskich przedsiębiorców powstał drugi z wymienionych projektów „Startupy w Pałacu", którego głównym założeniem jest wsparcie tego środowiska w Polsce oraz innowacyjnych polskich firm w poszukiwaniu możliwości rozwoju. W ramach projektu organizowane są prezentacje najciekawszych inicjatyw przed potencjalnymi inwestorami, szefami spółek skarbu państwa, przedstawicielami instytucji grantowych i organizacji typu venture capital. Startupy otrzymywały także specjalne paszporty, dzięki którym ich przedstawiciele mogli uczestniczyć w zagranicznych misjach gospodarczych prezydenta RP w Szwajcarii, Szwecji, Izraelu, Finlandii oraz Słowenii. Wymiernym efektem tych działań jest m.in. nawiązywanie relacji biznesowych pomiędzy uczestniczącymi w nich podmiotami. W ramach projektu organizowane są ponadto cyklicznie „Śniadania startupowe" oraz branżowe konferencje tematyczne.

eprasa.pl f6b46398b0

Branża transportowa w Polsce – nadchodzi czas zawirowań

Branża transportowo-logistyczna jest jednym z kół zamachowych polskiej gospodarki. To ponad 150 tys. podmiotów dających pracę ponad 800 tys. ludziom i generujących łącznie ponad 270 mld zł obrotów. Branżę, która ma za sobą okres dynamicznego wzrostu, czeka jednak wiele wyzwań wynikających ze zmian w krajowym i międzynarodowym otoczeniu regulacyjnym, gospodarczym oraz technologicznym – przekonują w najnowszym raporcie eksperci Banku Pekao

Opublikowany przez Bank Pekao raport „Nadchodzi czas zawirowań. Jak poradzi sobie z nimi polska branża transportowa?" wskazuje polski sektor transportowo-logistyczny jako jedną z najbardziej dynamicznych gałęzi polskiej gospodarki. Od początku XXI w. był on drugą najszybciej rozwijającą się branżą pod względem wytwarzanej wartości dodanej brutto – ponad 8 proc. średniorocznie. To ponaddwukrotnie szybszy wzrost niż średnia dla Unii Europejskiej, wynosząca niewiele ponad 3 proc. Dynamika wzrostu była w Polsce szybsza niż w którymkolwiek kraju UE.

Udział sektora transportowego w łącznej wartości dodanej brutto Polski wzrósł o blisko 2,5 pkt. proc. do poziomu ponad 7 proc., przy średniej unijnej na poziomie niecałych 5 proc. Polskie firmy są niekwestionowanymi liderami międzynarodowych towarowych przewozów drogowych, obsługując blisko jedną trzecią pracy przewozowej wszystkich ciężarówek zarejestrowanych w krajach Unii Europejskiej. Wysoką dynamiką rozwojową charakteryzuje się też działalność magazynowa, pasażerski transport lotniczy czy przeładunki w portach morskich.

– Niezależnie od bezsprzecznych sukcesów, jakie branża transportowa odniosła w ostatnich latach, należy ona do tych sektorów gospodarki, które najpoważniej mogą odczuć zmiany zachodzące w ich krajowym i międzynarodowym otoczeniu regulacyjnym, gospodarczym oraz technologicznym. Niektóre z tych zmian mają wręcz rewolucyjny charakter i mogą zasadniczo wpłynąć na warunki gry. Co ważne, z punktu widzenia polskich firm niekoniecznie muszą to być zmiany na lepsze – mówi Paweł Kowalski, ekspert z Biura Analiz Makroekonomicznych Banku Pekao, autor raportu.

Wśród „game-changerów" analitycy Banku Pekao wymieniają niekorzystne zmiany w unijnym otoczeniu regulacyjnym. Chodzi przede wszystkim o tzw. pakiet mobilności oraz politykę środowiskową, preferującą przewozy kolejowe kosztem transportu drogowego, co może grozić zahamowaniem rozwoju towarowych przewozów drogowych. Istotnym wyzwaniem dla branży jest również niedobór pracowników wymuszający wzrost płac, co z kolei uderza w dotychczasową przewagę konkurencyjną polskich firm.

Jako inne bariery rozwojowe, eksperci Pekao wskazują m.in. niedostatki infrastruktury w transporcie kolejowym i rzecznym, wciąż ograniczone warunki dla rozwoju transportu intermodalnego czy narastające problemy z przepustowością lotnisk. Również trwająca rewolucja technologiczna może przynieść daleko idące zmiany w obszarach, takich jak rozwój napędów elektrycznych, autonomizacja pojazdów, digitalizacja oraz wykorzystanie sztucznej inteligencji w zarządzaniu procesami logistycznymi.

– Przewidujemy, że mimo istotnych wyzwań polska branża transportowa będzie w najbliższych latach odnotowywać wzrost popytu na swoje usługi. Nasze prognozy makroekonomiczne wskazują na stosunkowo łagodny przebieg spowolnienia gospodarczego i utrzymanie kilkuprocentowego tempa wzrostu wymiany handlowej. Istotne jest także umacnianie przez Polskę roli regionalnego hubu tranzytowego dzięki rozbudowie infrastruktury, szczególnie wzdłuż biegnących przez terytorium Polski korytarzy TEN-T i trasy Via Carpatia – dodaje Paweł Kowalski z Pekao.

Z analiz Banku Pekao wynika, że w optymistycznym scenariuszu obroty polskich firm z branży transportowo-logistycznej w horyzoncie do 2030 r. mogą rosnąć o ok. 4–5 proc. rocznie. To wprawdzie o około połowę wolniej niż w mijającej dekadzie, ale – jak wskazują autorzy raportu – nadal obserwujemy znaczącą przestrzeń do dalszego rozwoju.

Realizacja tego optymistycznego scenariusza będzie jednak wymagać wielu dostosowań strukturalnych zarówno od samej branży, jak i ze strony państwa. Po stronie firm wśród kluczowych kwestii znajdą się m.in. dostosowanie modeli biznesowych przewoźników drogowych do nowych regulacji unijnych, optymalizacja kosztowa, modernizacja taboru czy wdrożenie nowoczesnych technologii zarządzania procesami transportowo-logistycznymi.

Z kolei pole dla państwa otwiera się w obszarze skutecznej i szybkiej realizacji inwestycji infrastrukturalnych aktywizujących transport kolejowy i rzeczny, stworzenia korzystnych warunków dla rozwoju transportu intermodalnego czy wspierania rozwoju obsługującej transport działalności magazynowo-usługowej na terenie naszego kraju. Brak odpowiednich dostosowań do zmieniających się warunków grozi znacznie głębszym spowolnieniem dynamiki generowanych przez branżę obrotów, do około 2–3 proc. średniorocznie w latach 2019–2030.

eprasa.pl f6b46398b0

Nie straszcie Polaków kryzysem



Fot. Shutterstock

Ani w tym, ani w przyszłym roku żadnego kryzysu gospodarczego nad Wisłą nie będzie. Według Eurostatu polska gospodarka jest dziś drugą najszybciej rozwijającą się gospodarką w Unii Europejskiej



JANUSZ SZEWCZAK

Sprawowanie władzy, zwłaszcza w takim kraju jak Polska, gdzie opozycja i media zajmują się głównie szkodzeniem rządowi i własnemu krajowi, zawsze jest trudnym wyborem i decyzją: czy rząd ma być dla ludzi, czy dla reguł i wskaźników?

Totalna opozycja niczym Kubuś Puchatek im bardziej szuka „kryzysowego" Prosiaczka, tym bardziej tworzy bajki z mchu i paproci i zaklina rzeczywistość, zapowiadając, że to już tuż-tuż. Nawet niewielkie okresowe spowolnienie to tylko zwykły element cyklu koniunkturalnego, a cykliczność jest jedną z cech charakterystycznych gospodarki wolnorynkowej. Ani w tym, ani w przyszłym roku żadnego kryzysu gospodarczego nad Wisłą nie będzie.

Według Eurostatu polska gospodarka jest dziś drugą najszybciej rozwijającą się gospodarką w Unii Europejskiej. Pod koniec roku do zrównoważonego budżetu państwa brakuje zaledwie ok. 3 mld zł, przy zakładanym deficycie na poziomie 28 mld zł. Przez dziesięciolecia tak nie było i gdyby nie dodatkowe, przyspieszone wydatki – 5,3 mld zł więcej na składkę do budżetu Unii, 12,1 mld zł na 13. emeryturę oraz 4,5 mld zł więcej subwencji dla samorządów – już dziś ten budżet miałby wyraźną nadwyżkę.

Choć produkcja przemysłowa w październiku wzrosła rok do roku o 3,5 proc., sprzedaż detaliczna zaś w porównaniu z wrześniem bieżącego roku wzrosła o 7,4 proc., to zadufani, tendencyjni i źle życzący Polsce i Polakom totalni spece od „zielonej wyspy" i państwa teoretycznego załamują ręce nad „straszliwym" spowolnieniem gospodarczym. Bo PKB Polski wzrósł w trzecim kwartale 2019 r. „tylko" o 3,9 proc., choć niewykluczone, że po przeliczeniu może być to nawet 4 proc. Należałoby życzyć wszystkim państwom w Unii Europejskiej takiego spowolnienia.

Wystarczy odrobina dobrej woli i nieco mniej ignorancji, żeby wiedzieć, że ogromny wpływ na polski wzrost gospodarczy mają konsumpcja i sprzedaż detaliczna, polskie rodziny zaś już nie wydają całości swoich dochodów z 500+ (a to blisko 40 mld zł) w hipermarketach, ale zaczęły znaczącą część tych środków oszczędzać na przyszłość. A to dla swoich dzieci, a to na własne inwestycje, choćby kupno samochodu, więc to musi dawać chwilowy niższy efekt sprzedażowy i zakupowy i ma znaczący wpływ na całą gospodarkę.

Wiadomo też, że efekt inwestycyjny pod koniec roku zawsze słabnie, bo nie tylko idzie zima, lecz również znaczną część inwestycji starano się zakończyć jeszcze przed jesiennymi wyborami. Kończą się też pomału projekty unijne. Duże i średnie firmy w Polsce

56/1119/F

eprasa.pl f6b46398b0

mają odłożone na kontach bankowych setki miliardów złotych (ok. 300 mld zł), które zamrożone już nawet nie zarabiają same na siebie, leżąc na nisko oprocentowanych kontach, i mimo proinwestycyjnych zachęt i ulg, w tym również podatkowych (PIT, CIT i ZUS), nie bardzo kwapią się, by je zainwestować, zwłaszcza gdy w wielu branżach brakuje pracowników (łącznie nawet 200 tys.), którzy na dodatek żądają coraz wyższych wynagrodzeń. Nic dziwnego więc, że wzrost zatrudnienia nieco przyhamował, choć zyski przedsiębiorstw są nadal na bardzo przyzwoitym poziomie, a polski eksport notuje kolejne rekordy.

Nawet źle zarządzane wielkie polskie miasta, jak Warszawa, Gdańsk czy Łódź, nagle dostrzegły polski rząd i chcą od niego więcej pieniędzy na wszystko, choć ich głównym pomysłem na poprawę sytuacji finansowej są absurdalnie wysokie podwyżki opłat za media, coś na kształt nowego podatku lokalowego od śmieci, a nie od śmiecących, drastyczne podwyżki opłat za parkowanie, za miejską komunikację, przy dalszym wspieraniu i dofinansowywaniu LGBT, homopropagandy, in vitro czy obscenicznych sztuk w rodzaju „Klątwy". Oczywiście wszystkiemu winien rząd, bo obniża podatki i popsuł tak „piękny i mądry" plan, byśmy wszyscy harowali do 67 lat.

Ci sami ludzie domagają się, by rząd szybko zamykał kopalnie, w konsekwencji i elektrownie, napuszczając na niego dzieciaki, by zamiast do szkoły szły na strajk klimatyczny i w proteście głodowym nie jadły śniadania, choć przecież to oczywiste, że proces dekarbonizacji jest długoterminowy i bardzo kosztowny. Ów proces Polskę może kosztować 400–600 mld zł, a takich pieniędzy nikt nie ma. Unia Europejska zaś obcina fundusze na odejście od węgla i chce przeznaczyć zaledwie 35 mld euro na 50 regionów w krajach UE, co daje niewiele, bo po kilka miliardów złotych na region.

Jasne jest, że gospodarka, podobnie jak klimat, ma swoje cykle i stadia rozwojowe: raz się ociepla, raz się oziębia, a czasem nawet lodowacieje, bywa, że w listopadzie w Hiszpanii pada śnieg, a w Polsce kwitną róże. Finanse, kryzysy i wulkany mają to do siebie, że czasem wybuchają, dając wtedy swój gigantyczny wkład w emisję CO_2, jak ofiary toksycznych produktów bankowych. Nawet elektryczne auta, a zwłaszcza ich ogniwa i akumulatory, mają swój węglowy ślad i negatywny wpływ na liczbę miejsc pracy w gospodarce. Wszystko kosztuje, zawsze jest coś za coś, trzeba umieć wybierać i podejmować trafne decyzje gospodarcze, ale z korzyścią dla społeczeństwa, dla ludzi. Trzeba mądrze i racjonalnie mierzyć siły na zamiary, minimalizować koszty i wydatki, ale też nie ulegać kolejnym ideologiom, zaklęciom gospodarczym, a zwłaszcza bajkom z mchu i paproci opowiadanym przez totalną opozycję, że już za chwilę wszystko się zawali.

REKLAMA

Cukrzyca?
Stłuszczenie wątroby?

Akcja badań wątroby FibroScan®

Centrum Medyczne Synexus prowadzi **akcję bezpłatnych badań wątroby na urządzeniu FibroScan®** dla osób po 50 roku życia, które chorują na cukrzycę typu II lub stłuszczenie wątroby.







szczegóły:
22 223 17 22

www.przychodniasynexus.pl

SYNEXUS

Częstochowa Gdańsk Gdynia Katowice Łódź Poznań Warszawa Wrocław

Polską PESĘ ukarzemy, zagranicznej firmie nie podskoczymy

Chociaż planowana jeszcze w tym roku dostawa dwóch pierwszych nowoczesnych składów elektrycznych o nazwie Flirt dla Kolei Mazowieckich nie dojdzie do skutku, ich producent – szwajcarski Stadler – nie musi się martwić. Samorząd Województwa Mazowieckiego, który jest właścicielem Kolei Mazowieckich, nie zapowiada żadnych konsekwencji wobec zagranicznego dostawcy

Niestety, w analogicznej sytuacji polska PESA nie mogła liczyć na podobną wyrozumiałość Szybkiej Kolei Miejskiej w Warszawie. Zarządzany przez stołeczny samorząd przewoźnik błyskawicznie zerwał kontrakt z PESĄ, gdy ta zakomunikowała przewidywane na 87 dni opóźnienie dostawy pierwszego składu.

Problemy Stadlera i PESY z dotrzymaniem harmonogramu dostaw mają to samo źródło i wynikają z przeciągającego się procesu homologacyjnego nowych jednostek trakcyjnych. Stadler wyprodukował już dwa pierwsze flirty i wyraźnie tłumaczy, że opóźnienia wynikają ze zmiany przepisów, na podstawie których nowe składy zostają dopuszczone do ruchu. PESA także zdążyła już wyprodukować pierwszy skład Elf 2 dla SKM Warszawa i także tłumaczyła opóźnienie dostawy zmianą przepisów homologacyjnych. Reakcja miasta rządzonego przez Rafała Trzaskowskiego była jednak nieubłagana – zrywamy kontrakt z polskim producentem! Kilka tygodni później marszałek województwa mazowieckiego, odpowiadający za Koleje Mazowieckie, ma okazję w identyczny sposób „ukarać" zagranicznego dostawcę pociągów, ale o takich planach Adama Struzika nic nie słychać. W tej sytuacji naprawdę trudno nie dostrzec, jak dalece różni się traktowanie przez samorządowców PO i PSL polskich i zagranicznych firm.



Fot. Andrzej Skwarczyński

TRUDNE ŻYCIE NA RODZIMYM RYNKU

Zresztą historia bydgoskiej PESY, producenta nowoczesnych, wygodnych i bezpiecznych składów trakcyjnych, dowodzi, że firma ta nigdy nie miała łatwego życia na rodzimym rynku, a wyjątkowo trudno było jej zdobywać kontrakty właśnie w czasach rządów PO-PSL.

Pierwszy przykład dotyczy pociągów Dart PESY, które dziś wspólnie z Pendolino realizują przejazdy w barwach PKP Intercity. Jednak ten polski przewoźnik w minionych latach również zrobił bardzo wiele, by producent z Bydgoszczy nie dostarczył mu pociągów. Przypomnijmy, że PKP Intercity rozpisało po kolei trzy przetargi na 20 elektrycznych zespołów trakcyjnych. Pierwszy PKP IC ogłosiło 6 sierpnia 2008 r. Do przetargu stanęło sześciu chętnych: hiszpański CAF, francuski Alstom, hiszpański Talgo, konsorcjum włoskiego Ansaldobreda i Newagu, Bombardier wspól-

eprasa.pl f6b46398b0

nie z PESĄ oraz Siemens. Ponad dwa lata po rozpisaniu przetargu we wrześniu 2010 r. okazało się, że ofertę przesłał jedynie Alstom, który przejął od Fiata spółkę Fiat Ferroviaria. Stało się tak, gdyż w Specyfikacji Istotnych Warunków Zamówienia (SIWZ) początkowo były zapisy o tym, że pociągi mają mieć tzw. wychylne pudło, co umożliwi im pokonywanie łuków z większymi prędkościami. PESA nie miała żadnego doświadczenia w konstrukcji pojazdów z wychylnym pudłem i dlatego chciała przystąpić do przetargu wspólnie z Bombardierem, który jednak wycofał się miesiąc przed złożeniem dokumentów. Z powodu braku wychylnego pudła PESA wycofała się więc z udziału w postępowaniu. Ostatecznie jednak, jak wiemy, PKP IC zamówiło pendolino bez wychylnego pudła!

W drugim przetargu ogłoszonym przez PKP IC pierwszą pozycję zajął hiszpański CAF, ale z powodu braku informacji o konieczności przedłużenia wadium został wykluczony z postępowania. PESA i ZNTK Mińsk Mazowiecki, które zajęły miejsca drugie i trzecie, wykluczono na podstawie nieobowiązującego jeszcze wówczas przepisu o niemożliwości złożenia kilku ofert przez tego samego właściciela, a od 2008 r. ZNTK Mińsk Mazowiecki stały się częścią konsorcjum PESA. Ostatecznie przetarg wygrał Stadler z najdroższą ofertą w postępowaniu.

Przed trzecim przetargiem dla wszystkich było jasne, że jeśli w postępowaniu będzie taka sama punktacja, to ze względu na parametry techniczne i cenę wygra go PESA. PKP Intercity podjęło wówczas działania zmierzające do zmiany punktacji tak, żeby faworyzowały innego producenta. Specyfikacja Istotnych Warunków Zamówienia została przygotowana w sposób dyskryminujący PESA. Ostatecznie jednak równe warunki postępowania udało się przywrócić. I w lutym 2014 r. PKP Intercity rozstrzygnęło przetarg na korzyść producenta z Bydgoszczy. Przewoźnik zwlekał jednak z podpisaniem umowy na dostawę dartów, co doprowadziło do skrócenia czasu na opracowanie projektu, homologację i produkcję pojazdu z 20 do 13 miesięcy. Z tytułu opóźnienia PKP IC naliczyło wielomilionowe kary. Mimo to PESA dostarczyła pojazdy, ratując tym samym dofinansowanie unijne na zakup nowych składów dla PKP Intercity.

Kolejną ciężką batalię PESA musiała stoczyć o dostarczenie nowoczesnych wagonów piętrowych dla Kolei Mazowieckich. Samorządowy przewoźnik ogłosił przetarg na 22 nowe wagony w 2014 r. Częścią zamówienia były także dwie lokomotywy elektryczne, pracujące w systemie push-pull, a więc mogące pracować zarówno z przodu składu, jak klasyczna lokomotywa, ale także jako ostatni element całego zespołu trakcyjnego, pchając wówczas skład po torach. Specyfikacja przetargowa już na starcie eliminowała bydgoską spółkę z udziału, a faworyzowała zagranicznych producentów. W SIWZ pojawił się zapis, że firma musi się wykazać dostarczeniem pojazdów typu push-pull na rynek europejski. Siłą rzeczy żadna z polskich firm nie mogła spełnić tego wymogu, bo wcześniej nikt w Polsce takich wagonów piętrowych nie produkował. PESA złożyła odwołanie w tej sprawie do Krajowej Izby Odwoławczej, ale nie przyniosło to efektu. Jednak złożone w przetargu przez zagraniczne firmy oferty znacząco przekroczyły budżet Kolei Mazowieckich i nie zostały przyjęte. Dopiero w następnym przetargu poprawiono zapisy i w drugim podejściu udało się wygrać PESA, która w 2015 r. dostarczyła 24 pojazdy za ok. 267 mln zł, które stały się charakterystycznym elementem taboru KM, wykorzystywanym chociażby w kursowaniu bijącego rekordy popularności wakacyjnego „Pociągu słonecznego".

NIE TYLKO NA MAZOWSZU

Kolejny przykład trudnej współpracy PESA z polskimi samorządami pochodzi z Krakowa. MPK Kraków chciało zakupić kilka lat temu nowoczesne tramwaje, ale bez dofinansowania unijnego miasta nie byłoby stać na zrealizowanie tych planów. Krakowscy urzędnicy ogłosili przetarg, ale na wieść o tym, że dotacja unijna wciąż nie jest potwierdzona, wszystkie firmy wycofały się przetargu. Jedynie PESA zgodziła się podtrzymać ważność oferty, żeby pomóc MPK Kraków i uratować dotację na dofinansowanie zakupu tramwajów. Ostatecznie PESA umowę podpisała. Dostarczyła tramwaje z opóźnieniami, ale do końca 2015 r., co umożliwiło rozliczenie dotacji tuż przed końcem unijnej perspektywy. Zamiast wdzięczności ze strony MPK była jednak... walka z bydgoskim producentem.

W 2016 r. MPK Kraków wykluczyło PESA z przetargu na dostawę kolejnych 50 nowych tramwajów, argumentując, że firma nienależycie wykonała poprzednią umowę. PESA odwołała się do KIO oraz Sądu Okręgowego i w czerwcu 2017 r. sprawę wygrała. MPK uznało wynik przetargu, ale zanim doszło do podpisania umowy, upłynęła ważność wadium do oferty i termin ważności samej oferty. Zamawiający wezwał PESA do podpisania umowy 10 listopada (przed upływem ważności ofert konkurentów), wnosząc dodatkowe wymaganie poświadczenia posiadania środków lub zdolności kredytowej w wysokości min. 100 mln zł do 8 listopada. Dokumenty dotarły dzień później, więc MPK nie podpisało umowy z powodu niewniesienia gwarancji. W związku z tym MPK podpisało umowę z konsorcjum Solarisa i Stadlera.

* * *

Stojąc na peronie, często mamy okazję oglądać nowocześnie zaprojektowane, estetyczne i nowoczesne darty czy też elfy pochodzące z polskiej firmy. Możemy być dumni, że polskie pociągi niczym nie ustępują zachodnim pojazdom. Niestety nie wiemy, czy gdyby nie zadziwiające i często trudne do zrozumienia bariery, jakie napotykał polski producent ze strony krajowych przewoźników, tych nowoczesnych pociągów „made in Poland" nie jeździłoby po naszych torach znacznie więcej. Nie zobaczymy nowych pociągów PESA w barwach SKM Warszawa, za to pojedziemy pewnie nowymi szwajcarskimi składami Kolei Mazowieckich. Stanie się tak, mimo że i jeden, i drugi producent zmagał się z identycznymi opóźnieniami.

eprasa.pl f6b46398b0

Nie wszystko miód, co słodkie



Jest dobry sposób na rozpoznanie prawdziwego miodu już na półce sklepowej – naturalny ma tylko jeden składnik: miód, podczas gdy sztuczny ma ich minimum dwa

Wyobraź sobie sytuację: jest piątek, idziesz do swojego ulubionego sklepu zrobić codzienne zakupy. Dzisiaj na twojej liście znajduje się miód. Masz przed sobą dwa tuziny produktów i gatunków. Załóżmy, że interesuje cię wielokwiatowy – wszak to najpopularniejszy i najtańszy gatunek, a potrzebujesz go tylko do wypieku pierników, które wszyscy w rodzinie tak uwielbiają. Większość produktów jest w tym samym zakresie cenowym, ale cóż to? Dwa słoiki są tańsze o 5 zł. Szybko przeliczając, daje to cenę niższą o 25 proc. od pozostałych. Bierzesz słoik w dłoń i czytasz: „Miód nektarowy wielokwiatowy". Hmm, chyba się nadaje. W domu, wypakowując zakupy, dostrzegasz napisany małym drukiem w rogu etykiety tekst: „Miód sztuczny".

Co ciekawe, metoda ta jest stosowana przemysłowo już od czasów I wojny światowej i nie miała swojego początku w Polsce. Pionierami byli Niemcy, u których w tamtym okresie panował powszechny głód i niedobór żywności. Stąd pomysł na wytwarzanie w tamtejszych fabrykach substytutów naturalnych produktów, w tym miodu.

Na szczęście na rynku nadal istnieją marki produkujące i sprzedające naturalny miód, więc nie musimy zapo-

eprasa.pl f6b46398b0

minać o działaniu antyoksydacyjnym czy antybakteryjnym, o witaminach, enzymach, minerałach i kwasach organicznych tak potrzebnych naszemu organizmowi. O ich znaczeniu coraz częściej przekonują się osoby uważnie przygotowujące swoją dietę, np. sportowcy.

Z powodu ogromnej naturalnej wartości miodu, tak jak w przypadku złota, rozmaici handlarze próbowali przez wieki podrabiać oryginalny twór jak najmniejszym nakładem, lecz za to z ogromnym zyskiem. Sytuacja nie różni się znacząco w dzisiejszych czasach. Wszechobecne pestycydy, środki ochrony roślin, stosowane antybiotyki wywierają wpływ na to, co ląduje na naszych talerzach lub – w tym przypadku – w naszej herbacie lub pierniku. Gdy myśli się poważnie o oferowaniu jakościowych produktów, należy uwzględnić realia naszych czasów. Pszczoły, z największą organizacją i uformowanymi strukturami, są paradoksalnie najbardziej podatne na wszystkie zmiany w swoim otoczeniu. Obowiązkiem, lecz również możliwością każdego pszczelarza jest wybieranie najlepszych miejsc pracy dla siebie oraz swoich podopiecznych.

Miód kozacki jest zbierany na najczystszych obszarach Polski – Roztoczu i Puszczy Solskiej. Przez 120 lat zgromadzono tu niepowtarzalne wielopokoleniowe doświadczenie. Działalność nie jest oparta jedynie na tradycji, z doświadczeniem w parze idzie również innowacyjność – jedno z najnowszych i najdokładniejszych laboratoriów na świecie w branży pszczelarskiej.

Miód leśny



Las kryje w sobie wiele tajemnic i skarbów. Jednym z nich jest miód leśny. Pszczoły wytwarzają go z nektaru roślin i spadzi. Lokalizacja naszej pasieki w Puszczy Solskiej, czyli bezpośrednim sąsiedztwie Roztocza Środkowego, pozwala wykorzystywać pszczołom specyfikę ekosystemu leśno-łąkowego. Roślinność leśna daje pszczołom nektar i spadź, łąkowa – nektar z roślin miododajnych. Jest niezwykle aromatyczny.

- W kuchni – śmiało dodaj do mięs, ciasta, herbaty, lemoniady.
- W chorobie – poprawi samopoczucie, doda energii, zregeneruje organizm.
- W łazience – ulubieniec Kleopatry w kąpieli. Zawiera olejki eteryczne, które gwarantują prawdziwy relaks.

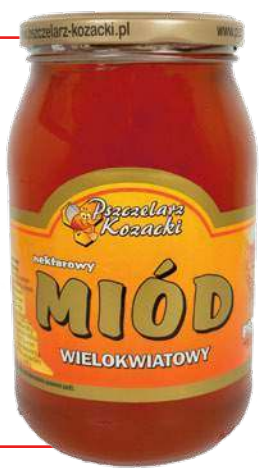
Miód leśny kozacki posiada silne właściwości wzmacniające i regenerujące organizm w stanach wyczerpania fizycznego oraz psychicznego. Polecany jest również w schorzeniach serca i układu krążenia oraz zaburzeniach trawiennych.

Miód rzepakowy

Tytuł wiosennego ratownika medycznego otrzymuje miód rzepakowy. Charakteryzuje go potężna ilość glukozy, która sprawia, że jego krystalizacja następuje kilka dni po miodobraniu.

- W kuchni – do herbaty, pierwszej chłodnej wiosennej lemoniady oraz kawy!
- W chorobie – pomoże w walce z zapaleniem jamy ustnej, w chorobach układu krążenia. Wypowie wojnę niedoborowi potasu oraz podwyższonemu ciśnieniu krwi. Przy oparzeniach – stosowany zewnętrznie zapobiegnie tworzeniu się pęcherzy. Przyśpieszy proces gojenia ran. Wzmocni organizm osłabiony zarówno psychicznie, jak i fizycznie.
- W łazience – nadrabia „w chorobie".

Miód wielokwiatowy



Fuzja składników i aromatów! Zastrzyk energii i prawdziwy kiler bakterii, który zwiększy odporność! Dla sportowców i wszystkich liczących kalorie – swoim smakiem pozwoli zapomnieć o słodyczach.

- W kuchni – jego zastosowanie może ograniczyć tylko twoja wyobraźnia. Zaprzyjaźni się z mięsami, dresingami, tortami, ciasteczkami.
- W chorobie – zatroszczy się o walkę z próchnicą, anemią oraz alergią. Często nazywany naturalnym antybiotykiem. Ma moc wzmacniającą – zarówno psychicznie, jak i fizycznie.
- W łazience – perfekcyjny balsam dla spierzchniętych ust.

Miód wielokwiatowy jest wskazany w leczeniu stanów alergicznych dróg oddechowych, serca i naczyń krwionośnych oraz wyczerpania fizycznego i psychicznego.

Fot. Shutterstock



Miód gryczany

To konserwatywny miód o ciemnym zabarwieniu. Obcując ze światłem, gryczany staje się prawie czarny. Pod wpływem krystalizacji zamienia się w twarde, grube kryształy zawieszone w miodowym osoczu. Pachnie bardzo intensywnie. To smakowy odmieniec rodziny miodowej. Często spotyka się z wielką akceptacją osób, które za miodem nie przepadają.

- W kuchni – do napojów, wypieków i… wytwarzania miodu pitnego!
- W chorobie – mówi się, że jest to jeden z najbardziej wartościowych miodów obok miodu spadziowego. Świetnie wpływa na układ krwionośny, zawiera duże ilości żelaza, które jest w pełni przyswajalne w przeciwieństwie do żelaza zawartego w mięsie.
- W łazience – krążą plotki, że ma właściwości odmładzające…

Miód gryczany jest stosowany w leczeniu układu chorób krążenia, miażdżycy, wątroby (działa odtruwająco) oraz niedokrwistości i braku żelaza. Sprzyja odbudowie komórek kostnych.

Trafili w dziesiątkę

Totalizator Sportowy świętuje pierwszy rok obecności na rynku e-commerce

Mocne wejście w rynek nowych technologii, jakiego przed 12 miesiącami dokonał Totalizator Sportowy (TS), zaowocowało rekordową wysokością podatku od gier, który zasili budżet państwa kwotą ponad 1 mld zł. Tak wysoka suma jest efektem zapoczątkowanej przed 12 miesiącami aktywności TS na rynku e-commerce. Spółka szybko przekonała do swoich elektronicznych usług wielu klientów, oferując wysoki poziom bezpieczeństwa i atrakcyjne formy rozrywki. W 2019 r. aż 40 proc. przychodów spółki – ponad 3,8 mld zł – będzie pochodzić z segmentu e-commerce.

Totalizator Sportowy zainicjował działalność elektroniczną dokładnie 5 grudnia 2018 r., umożliwiając graczom zakup najpopularniejszych gier liczbowych przez internet. Zgodnie z przepisami Ustawy o grach hazardowych TS uruchomił także jedyne legalne i bezpieczne kasyno internetowe w Polsce – Total Casino. Poszerzenie oferty o gry dostępne online było bez wątpienia największą zmianą w całej ponad 60-letniej historii TS. Wejście na rynek e-commerce było bowiem wielkim wyzwaniem technologicznym i wymagało budowy specjalnych systemów transakcyjnych, infrastruktury informatycznej oraz najlepszych zabezpieczeń technicznych. Dla klientów uruchomiono także contact center, w którym są obsługiwani przez konsultantów kilkanaście godzin na dobę przez siedem dni w tygodniu.

TRAFILI W GUSTA KLIENTÓW

W ciągu 12 miesięcy gracze Total Casino, jedynego legalnego kasyna internetowego, wykonali ponad 1,3 mld spinów, a w serwisie lotto.pl klienci zawarli ponad 45 mln zakładów. W tym czasie na obu platformach zarejestrowanych zostało ponad 320 tys. kont.

– Pod koniec zeszłego roku otworzyliśmy ogromną przestrzeń do rozwoju oferty w obszarze online, budując dwa silne produkty, w tym jeden pod zupełnie nową marką. Przyczyniliśmy się do tego, że polscy gracze po raz pierwszy uzyskali możliwość gry w sposób legalny, wygodny, bezpieczny i niebudzący wątpliwości fiskalnych. Rozwój naszej oferty e-commerce od początku jest oparty na ochronie gracza i przeciwdziałaniu uzależnieniom od hazardu, wymaga tego od nas nie tylko prawo, lecz także wynika to z wieloletniego doświadczenia związanego z zasadami odpowiedzialnej gry – mówi Olgierd Cieślik, prezes zarządu Totalizatora Sportowego.

Jak podkreślili przedstawiciele spółki, dalszy rozwój produktów e-commerce to przede wszystkim chęć jeszcze bardziej swobodnego, lecz także angażującego udziału w rozrywce, którą oferuje TS, zachowując przy tym najwyższe standardy odpowiedzialnej gry.

– Uruchamiając sprzedaż ulubionych gier LOTTO przez internet oraz Total Casino, staraliśmy się nie tylko dostosować naszą ofertę, tak by już w dniu premiery obie platformy odpowiadały na potrzeby naszych klientów. Skupiliśmy się także na przeprowadzeniu zmian w funkcjonowaniu samej spółki, dzięki czemu udostępnione naszym graczom produkty



eprasa.pl f6b46398b0

mogą być na bieżąco dostosowywane do ich oczekiwań. Tak też się dzieje. Dzięki wejściu na rynek e-commerce zostaliśmy firmą B2C, w której kwestie doświadczenia z klientem stały się priorytetowe i – co najważniejsze – niezbędne, jeżeli chodzi o dalszy rozwój naszej oferty. Tym samym realizujemy jedno z głównych założeń przyjętej w spółce strategii, zgodnie z którą to klient jest w centrum uwagi – dodaje Olgierd Cieślik, prezes zarządu Totalizatora Sportowego.

MILIONY Z INTERNETU

Przez cały czas spółka na bieżąco dostosowywała obie platformy, wsłuchując się w opinie klientów zarówno jeżeli chodzi o poprawę funkcjonalności, jak i wprowadzenie kolejnych gier. – Poza działaniami związanymi stricte z optymalizacją poszczególnych platform zadbaliśmy o stały rozwój oferty. Dużym skokiem jakościowym było wprowadzenie do Total Casino gier na licencji DC Comics, w przypadku lotto.pl uzupełniliśmy ofertę o Multi Multi i wyjątkowo popularne Keno, wprowadziliśmy możliwość gry systemowej czy w modelu subskrypcyjnym, czyli formie abonamentu na grę – podkreśla Maciej Kasprzak, dyrektor Departamentu Gier Online w Totalizatorze Sportowym. Dodaje, że to nie koniec niespodzianek, jeżeli chodzi o ten rok. – Jeszcze w grudniu udostępnimy naszym graczom możliwość gry w Ekstra Pensję oraz Kaskadę.

Dyrektor Departamentu Gier Online zwrócił także uwagę, że zarówno na lotto.pl, jak i Total Casino w ciągu 12 miesięcy odnotowano wiele wygranych, również tych wysokich. – W kwietniu szczęście online miał gracz, który trafił szóstkę w Lotto wysokości 3,3 mln zł, natomiast w sierpniu odnotowaliśmy 2,5 mln zł w Multi Multi Plus. Najwyższa jednorazowa wygrana w Total Casino padła kilka dni temu i wyniosła dokładnie 759 093,49 zł – podkreślił Maciej Kasprzak.

GRAMY PRZEZ SMARTFONY

Jak dodał przedstawiciel Totalizatora Sportowego, klienci platform online'owych mają także swoje przyzwyczajenia, np. jeżeli chodzi o rodzaj wykorzystywanych urządzeń. – W obu przypadkach większość gry odbywa się za pomocą urządzeń mobilnych, w tym za pośrednictwem aplikacji – podsumował Maciek Kasprzak, dodając, że zarówno na jednej, jak i na drugiej platformie wśród klientów przeważają mężczyźni i ludzie młodzi.

TS podkreśla, że równie ważny jak rozwój oferty gier jest także proces kształtowania świadomości odpowiedzialnego gracza. Wszystkie uruchomione gry online zostały dostosowane zarówno do wymagań ustawodawcy w tym zakresie, jak i do aktualnych potrzeb osób grających. Przede wszystkim użytkownik musi wykazać, że ma skończone 18 lat poprzez weryfikację dowodu osobistego. Dodatkowo gracze mają obowiązek wprowadzenia limitów swojej aktywności oraz środków finansowych przeznaczanych na grę, mają także możliwość czasowego zawieszenia gry. Oprócz wspomnianych zabezpieczeń gracz może wykonać test samosprawdzający, ma także dostęp do informatora o placówkach, które udzielają pomocy w zakresie problemów hazardowych. Co istotne, również pracownicy contact center, którzy mają bezpośredni kontakt z klientami, są regularnie szkoleni ze standardów odpowiedzialnej gry przez specjalistów z zakresu psychologii oraz psychoterapii. Spółka od początku podkreślała, że chodzi nie tylko o dostarczanie rozrywki, lecz także o to, by robić to w sposób odpowiedzialny i bezpieczny.

Pierwszy rok doświadczeń TS na rynku internetowym jest tak obiecujący, że spółka planuje dalszy rozwój swojej oferty w tym segmencie.

– Wejście na rynek e-commerce jest także wielkim procesem rozwoju całej spółki. W dalszej perspektywie chcemy nie tylko optymalizować nasze usługi, wprowadzając nowe metody płatności czy weryfikacji konta. W planach na przyszły rok uwzględniliśmy także dalsze poszerzanie oferty produktowej, z czego powinni się ucieszyć m.in. fani popularnych Zdrapek, chociaż to nie będzie koniec niespodzianek na lotto.pl. Trwają również zaawansowane prace, by uruchomić pierwsze polskie legalne Live Casino – zapowiada prezes Cieślik.

Fot. Shutterstock



eprasa.pl f6b16398b0

W e-zdrowiu priorytet jest jeden i jest nim pacjent

Ochrona zdrowia to dziedzina życia, która zdecydowanie zasługuje na cyfryzację. Każdego roku 27 mln Polaków odwiedza gabinety lekarzy rodzinnych. Codziennie do rąk polskich pacjentów trafia 2 mln recept, a cztery na dziesięć leków wykupionych w aptekach zostało przepisanych na e-receptach. Informatyzację służby zdrowia zapowiadał już w swoim pierwszym exposé w roku 2017 premier Mateusz Morawiecki i nie pominął jej w tegorocznych zapowiedziach działań nowego rządu. O tym, co już zostało zrobione, a co wciąż przed nami, z podsekretarzem stanu w Ministerstwie Zdrowia odpowiedzialnym za cyfryzację ***Januszem Cieszyńskim*** rozmawia Anna Raciniewska

Systematycznie, krok za krokiem, innowacja za innowacją, Ministerstwo Zdrowia wprowadza kolejne e-usługi upraszczające życie polskich pacjentów. Choć te zmiany w pierwszej chwili wydają się nam rewolucyjne, po kilku miesiącach zastanawiamy się, jak można było bez nich żyć?

Janusz Cieszyński: Tak z pewnością było z zeszłorocznym sukcesem ZUS, czyli elektronicznym zwolnieniem lekarskim. To był ogromny projekt odkładany od lat. Determinacja profesor Gertrudy Uścińskiej doprowadziła do wprowadzenia go w życie od 1 grudnia 2018 r. Dziś właściwie wszystkie zwolnienia lekarskie są wystawiane w postaci elektronicznej. Z kolei od 1 stycznia 2019 r. w każdej polskiej aptece można zrealizować e-receptę – to dzięki wysiłkowi farmaceutów i pracy, którą z nami wykonali w ciągu całego roku 2018. To był kluczowy moment: dopiero wtedy, gdy e-receptę można było zrealizować wszędzie, mogliśmy z pełną odpowiedzialnością rozpocząć pracę ze środowiskiem lekarskim, przekonując je do wystawiania recept w tej postaci. Ten proces trwał przez cały rok 2019 i właśnie zbliżamy się do kolejnej ważnej daty – 8 stycznia 2020 r. Od tego dnia e-recepta ma być dostępna w każdym gabinecie lekarskim.

Kolejnym naturalnym krokiem wydają się e-skierowania. Czy to w ogóle możliwe?

Pracujemy nad tym. Zakończyła się już faza pilotażu. Wyciągnęliśmy wnioski i chcemy wdrożyć ulepszone rozwiązania na przyszły rok. Naszym celem jest to, aby zapisanie się na wizytę do specjalisty czy na zabieg w szpitalu było możliwe bez wychodzenia z domu. Do rejestracji wystarczyłby, podobnie jak w przypadku e-recepty, 4-cyfrowy kod oraz numer PESEL pacjenta.

Czy to oznacza, że możemy się spodziewać dobrego „skutku ubocznego" jakim będą krótsze kolejki do lekarzy?

Prawdopodobnie poprawi to również organizację ochrony zdrowia, jednak nie to jest najważniejszą korzyścią z cyfryzacji. E-usługi mają duży potencjał i szereg oczekiwanych przez pacjentów funkcjonalności. Jedną z nich jest wprowadzona możliwość wystawiania e-recepty ważnej rok, po to, aby można ją realizować częściowo. To oszczędność czasu lekarza i wygoda pacjenta. System e-zdrowie to dla lekarzy nowa jakość pracy: otrzymują wiarygodne źródło informacji na temat tego, jak naprawdę leczą się ich pacjenci: lekarz widzi, co zostało zlecone oraz czy i jak recepta została zrealizowana.

To rzeczywiście kopalnia wiedzy. Czy te dane są udostępniane także pacjentowi?

Tak, bo to pacjent jest właścicielem swoich danych. Dzięki serwisowi pacjent.gov.pl można w każdej chwili, na komputerze czy na smartfonie, uzyskać dostęp do informacji na swój temat. Po zalogowaniu na Internetowe Konto Pacjenta. Przetwarzanie tych najwrażliwszych danych – medycznych – odbywa się pod ścisłą kontrolą. Na mocy ustawy jedyną grupą, która ma do nich dostęp, są lekarze rodzinni – nasi przewodnicy po systemie ochrony zdrowia. Każdemu kolejnemu lekarzowi specjaliście do dostępu do danych

eprasa.pl f6b46398b0



Fot. Andrzej Wiktor

potrzebna jest indywidualna zgoda pacjenta. Taką zgodę można udzielić również rodzinie, która schorowanemu lub starszemu pacjentowi pomoże wykupić leki, a potem przypomni o stosowaniu się do zaleceń lekarskich. Rodzice, którzy zgłosili dziecko do ubezpieczenia, mają pełen wgląd do historii leczenia aż do ukończenia przez nie 18. roku życia i pełną orientację w działaniach lekarskich.

Jak e-receptę przyjęło środowisko lekarskie?

Zainteresowanie jest duże, porównywalne do tego, które na analogicznym etapie towarzyszyło w zeszłym roku wprowadzaniu e-zwolnienia. Warto pamiętać, że tydzień przed terminem wprowadzenia obowiązkowych zwolnień elektronicznych około 60 proc. z nich wydawano w tej postaci. A już w kolejnym tygodniu – praktycznie wszystkie. Lekarze chętnie biorą udział w szkoleniach. Do dziś już 50 tys. lekarzy wystawiło co najmniej jedną e-receptę. Można to zrobić zarówno w programie dostarczonym przez przychodnię, ale również przy pomocy naszej bezpłatnej aplikacji dostępnej na stronie gabinet.gov.pl. Każdy lekarz może bez żadnych dodatkowych kosztów zalogować się i zacząć wystawiać e-recepty.

Chciałabym tutaj jeszcze dopytać o te recepty: które lekarz wystawia dla siebie („pro aucthore") i swoich bliskich („pro familiae"). Czy nadal będą dostępne?

Jest wielu lekarzy seniorów, którzy korzystają tylko z tradycyjnych papierowych recept. I nie zamierzamy tutaj na siłę kogokolwiek informatyzować. Recepty pro auctore i pro familiae będą nadal po 8 stycznia 2020 r. akceptowane w formie papierowej.

Warto wspomnieć przy okazji, że wszystkie recepty papierowe wystawione wcześniej będą nadal ważne po 8 stycznia. Ponadto trzeba brać pod uwagę także zdarzenia losowe, jak niemożliwość dostępu do systemu z powodu braku energii elektrycznej czy internetu lub problemy techniczne – i wtedy zawsze pozostaje opcja recepty papierowej. Priorytet jest jeden i jest nim pacjent. Nie może być sytuacji, że ktoś nie będzie miał dostępu do leku, bo system nie działa.

To, co niezwykle istotne i trzeba głośno podkreślać: e-recepta nigdy nie wymaga od pacjenta bycia „cyfrowym"...

Absolutnie. Pacjent ma trzy sposoby, aby zrealizować swoją e-receptę. Może po rejestracji na swoim koncie w portalu pacjent.gov.pl otrzymać SMS lub mail z 4-cyfrowym kodem, który podaje się w aptece wraz z numerem PESEL. Innym sposobem jest zeskanowanie w aptece kodu kreskowego uzyskanego w aplikacji Ministerstwa Cyfryzacji – mObywatel. Trzecim sposobem jest tzw. wydruk informacyjny wyglądający jak tradycyjna recepta. Znajduje się na niej kod do zeskanowania w aptece, ale również wyczerpująca informacja dla pacjenta na temat dawkowania leku po wykupieniu. Jak więc widać, pacjent zupełnie niezinformatyzowany nie jest w żaden sposób wykluczony. Choć jako ciekawostkę mogę powiedzieć, że najstarszy lekarz, który wystawił e-receptę, miał 92 lata, a najstarszy pacjent, który e-receptę otrzymał – miał lat 112 – czyli wiek nie jest tu żadną przeszkodą.

Do wejścia w życie obowiązkowej e-recepty został niecały miesiąc. Wciąż jeszcze ścierają się różne opinie, jednak jesteśmy blisko celu...

Jest wiele różnych głosów, natomiast bez dobrej współpracy z lekarzami i całym środowiskiem medycznym nigdy nie osiągnęlibyśmy tego etapu zaawansowania. Mamy wielu entuzjastów mocno wspierających e-zdrowie. Są też sceptycy. Jednak to jest rolą resortu, aby dostarczyć im narzędzia, wiedzę, wesprzeć ich finansowo i organizacyjnie. Dlatego przeznaczyliśmy prawie 100 mln zł, aby pomóc sfinansować zakup oprogramowania i sprzętu w związku z wejściem w życie rozwiązań e-zdrowia. Przygotowaliśmy zachęty dla lekarzy rodzinnych, którzy mogą wcześniej zdecydować się wejść do programu. I wydaje się, że te mechanizmy działają skutecznie, gdyż obserwujemy systematyczny wzrost liczby recept wystawianych elektronicznie. Na początku roku 2019 było to około 2,5 tys. e-recept dziennie, a dzisiaj średnio ponad milion. Niedługo polscy lekarze wzorem swoich kolegów z innych europejskich krajów, które wdrożyły wcześniej te rozwiązania, zauważą też oszczędność czasu. W Szwecji lekarze stwierdzili, że e-recepta podarowała im dodatkowe 15-30 minut do wykorzystania w pracy z pacjentem.

eprasa.pl f6b46398b0



Coś jeszcze wymyślę



CEZARY KOWALSKI

Może nie pierwszy, może nie drugi, ale na podium musi być... Robert Lewandowski w najbardziej prestiżowym piłkarskim plebiscycie świata „France Football" zajął dopiero ósme miejsce. Stało się tak pomimo tego, że po kolejnych strzeleckich rekordach „Lewego" na różnych frontach pisano, iż zbliżył się do ścisłej piłkarskiej czołówki jak nigdy wcześniej. Jasne, że geniusz Leo Messi jest poza skalą i nie ma co dyskutować z wyborem najlepszego piłkarza mijającego roku (choć nie wygrał Ligi Mistrzów z Barceloną ani Copa America z Argentyną), ale przed Polakiem znaleźli się także Virgil van Dijk, Cristiano Ronaldo, Sadio Mane, Mohamed Salah, Kylian Mbappé i Alisson.

Prezes PZPN Zbigniew Boniek skomentował wybór 180 dziennikarzy z całego świata dosadnie, nazywając Złotą Piłkę wielkim g...

Analizując jednak ranking na chłodno, do takiego, w naszym ujęciu zawodu, przyczyniły się trzy sprawy. Po pierwsze, brak odpowiedniego lobby na światowym poziomie. Wydaje się, że w całej niemal modelowej karierze Roberta właśnie ten element kuleje. Owszem, RL9 to jest rozpoznawalna marka w Europie, a zwłaszcza w Polsce i w Niemczech, ale w obu Amerykach, Afryce oraz przede wszystkim w Azji prawie nieznana. Na czym to lobbowanie miałoby konkretnie polegać, można długo pisać, ale na pewno nie na stawianiu drinków głosującym przedstawicielom egzotycznych krajów. Chodzi raczej o jeszcze większe medialne i marketingowe otworzenie się Roberta na świat. Dbałość o te pozaeuropejskie rynki, udzielanie wywiadów, ogólnie rozumianą promocję, podpisywanie kontraktów reklamowych z firmami o globalnym, a nie lokalnym zasięgu itd. To później wraca właśnie przy okazji takich wydarzeń jak plebiscyt „France Football".

Po drugie, obecność w drużynie, która byłaby w stanie coś osiągnąć w Lidze Mistrzów. Jeśli Bayern dotrze wreszcie z Lewandowskim do finału tych rozgrywek, a nie odpadnie w przedbiegach, czyli na etapie 1/8 finału, jak to było w minionym sezonie, szanse Roberta rosną automatycznie. Śmiem twierdzić, że ma to nawet większe znaczenie niż, powiedzmy, dojście z reprezentacją Polski do ćwierćfinału mistrzostw Europy. Możemy się na to zżymać, ale to właśnie LM decyduje o wielkości współczesnych piłkarskich gladiatorów i ich hierarchii. Nie ma cię tutaj w znaczący sposób, to nie ma cię praktycznie wcale. Tak to działa. I Robert to świetnie wyczuwał, udzielając przed dwoma laty słynnego obrazoburczego wywiadu niemieckiemu tygodnikowi, w którym próbował przekonać właścicieli Bayernu do głębszego sięgnięcia do kieszeni i zatrudniania nowych zawodników za gigantyczne kwoty. Tak też się stało i właśnie ten sezon będzie testem, czy dodatkowe pieniądze wydano rozsądnie. Inną opcją jest wciąż możliwy transfer do któregoś z dwóch klubów, które od dziesięciu lat dzielą się zwycięstwami w plebiscycie FF. Czyli Barcelony i Realu. Pierwszy z oczywistych względów (każdy będzie tam w cieniu Messiego) nie wchodzi w grę. W drugim możliwość transferu i wejścia w rolę gwiazdy „Los Blancos" została nieco przespana. Odszedł przecież Cristiano Ronaldo, nie było przez moment Zinédine Zidane'a, który obudził dziś swojego rodaka Karima Benzemę. Można było atakować, spróbować skorzystać z okazji, zamiast przedłużać kontrakt z Bayernem.

Po trzecie, bez względu na europejską ligę, w której Robert występuje (ewidentnie Bundesliga jest mniej medialna i popularna w świecie niż liga hiszpańska czy angielska), musi – reprezentując swój klub na arenie międzynarodowej – dokonać czegoś spektakularnego. Tak jak wówczas, kiedy jako zawodnik Borussii Dortmund strzelił w półfinale Ligi Mistrzów cztery gole Realowi. Przecież to nie jest przypadek, że właśnie wtedy zajął swoje najwyższe, piąte, miejsce w plebiscycie FF. Wrażenie robiłyby też decydujące gole, w tych najistotniejszych fazach Ligi Mistrzów, dające awans, zdobywane w trudnych momentach. Coś, co pozostawałoby w pamięci niezaangażowanych emocjonalnie przedstawicieli Czadu, Surinamu, Nikaragui czy Jamajki, czyli dysponujących takim samym głosem w plebiscycie jak Polacy czy Niemcy. Dokładnie jednym. Z całym szacunkiem, ale Robertowi to się akurat w mijającym roku, za który jest rozliczany (głosowanie zakończyło się na początku listopada), nie udawało. Cztery bramki w fazie grupowej wbite Crvenej Zvezdzie, gole strzelane Łotwie czy Macedonii Północnej, czy nawet całe ich serie w Bundeslidze to za mało, aby przekonać futbolowych elektorów z całego świata.

„Poczekajcie spokojnie, coś jeszcze wymyślę" – powiedział w swoim stylu Lewandowski, zachowując klasę, ale będąc jednocześnie ewidentnie zniesmaczony kolejną odległą pozycją we francuskiej zabawie, jaką jednak jest ten plebiscyt.

A co, jeśli nigdy mu się nie uda? Nic się nie stanie. W sercach polskich kibiców RL9 od dawna jest już numerem jeden.

Autor jest komentatorem Polsat Sport

Fot. Shutterstock/MediaPictures.pl

eprasa.pl f6b46398b0



Tajemniczy narwal

Czym jest zagadkowy narwal, którego ząb, użyty w walce z terrorystą na moście w Londynie, pojawił się w mediach całego świata?



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Kiedy śledzi się doniesienia o zamachu nożownika w Londynie, zawsze jako jeden z głównych wątków pojawia się ząb narwala. Niejednokrotnie przy tym informacje medialne o narwalu, nazywanym na podstawie zewnętrznego podobieństwa np. rybą, wyglądają, jakby ich autorzy korzystali ze średniowiecznego bestiariusza albo z jakiejś starożytnej relacji podróżnika, który udał się w nieznane rejony świata, gdzieś na morza zewnętrzne, poza słupy Heraklesa, i opisał bestie, które tam żyją.

JEDNOROŻEC

Narwal bowiem, tak jak w dawniejszych czasach, wciąż okryty jest nimbem tajemnicy, niemal mitu – z tych samych co dawniej powodów. Zamieszkuje głębie odległych rejonów zimnych arktycznych mórz, jedne z najbardziej niedostępnych rejonów świata, środowisko wyjątkowo rzadko przez ludzi odwiedzane. Nadal więc, o ile narwal jest znany, to znany jest podobnie jak w dawnych wiekach raczej pod postacią zęba z galerii osobliwości, za którym być może gdzieś tam kryje się zagadkowe stworzenie.

W ten właśnie sposób dawno temu na świecie pojawił się jednorożec. Hipotez wyjaśniających korzenie mitu o jednorożcu jest kilka, jednak ta z narwalem stojącym u jego początków jest przynajmniej w naszej części świata jedną z najbardziej prawdopodobnych. Róg jednorożca na wielu obrazach i rzeźbach to wręcz dokładna kopia zęba narwala.

Człowiek ma naturalną potrzebę poznawania i wyjaśniania tego, co go otacza. Jeżeli niektórych elementów brakuje, są one dopisywane – bardziej lub mniej trafnie. Takie działanie cechuje nie tylko sferę legend. Hipotetyczne uzupełnianie luk w wiedzy na podstawie tego, co wiemy, to przecież metoda stosowana również w nauce.

W przypadku narwala elementów układanki było niewiele: ząb i opowieści o odległych krainach. Wbrew pozorom zęby, zwłaszcza u ssaków, potrafią bardzo wiele powiedzieć o przynależności systematycznej, trybie życia, pożywieniu itp. Ba, na podstawie jednego zęba Georges Cuvier, ojciec paleontologii żyjący na przełomie XVIII i XIX w., potrafił dokonać rekonstrukcji całego, dawno wymarłego zwierzęcia – i wcale nie tak często się mylił.

W przypadku jednorożca ząb w ogóle jednak nie został uznany za ząb, lecz za róg. Później do bardzo nietypowego tworu, mającego postać spiralnie skręconej, długiej na niemal trzy metry włóczni, dorysowane zostało z wyobraźni stworzenie. Stworzenie, które miało być równie niezwykłe jak ząb, który stał się rogiem. Rogiem mającym oczyszczać, leczyć, chronić przed trucizną, dysponować wielką mocą i w ogóle być panaceum na zło. Ząb narwala jako magiczny róg jednorożca, przywożony niekiedy z północnych mórz, gdzie polowali na niego Inuici, w Europie osiągał wówczas wielką cenę.

MORSKI SSAK

Narwal jednozębny *Monodon monoceros* jest morskim ssakiem, waleniem z rzędu narwalowatych, spokrewnionym z białuchą. Narwale dorastają do 6 m długości ciała i ok. 1,5 t masy. Samce są większe od samic, i to one są obdarzone niezwykłym zębem wyrastającym z lewej strony górnej szczęki, który czasem, tak jak u słoni, nazywa się ciosem. Uzębione samice, podobnie jak dwuzębne samce, są rzadkością. Narwale, mimo że oddychają powietrzem atmosferycznym, potrafią nurkować na głębokość 1,5 tys. m. Żywią się rybami, preferując – jak się wydaje – halibuty, dorsze, zębacze, niewielkie stynkowate rybki z rodzaju Mallotus, które prawdopodobnie zasysają do paszczy; zjadają także krewetki i kalmary – a przynajmniej wszystkie te zwierzęta znajdowano w ich żołądkach. Mają rozwinięty system komunikacji dźwiękowej i dopływają, jak się sądzi, wyjątkowo daleko jak na walenie na północ.

W opisach narwali w ogóle dużo jest stwierdzeń „sądzi się, że", „jak można przypuszczać" itp., bo tak naprawdę niewiele wiemy o ich życiu. Rola wydłużonego zęba nie jest do końca znana. Przypuszcza się, że jest atrybutem samców – tak jak kolorowe, okazałe upierzenie u ptaków, i że może pełnić funkcję narządu zmysłów. Wykorzystanie zęba jako broni lub narzędzia kruszącego lód jest mniej prawdopodobne. Narwale nadal jednak są w dużej mierze zagadką, a wiele dzisiejszych przypuszczeń jest zapewne, jak dawniej, mitami. Jak mało wiemy o zwierzętach tamtych stron (nie tylko tamtych zresztą), pokazuje przypadek rekinów grenlandzkich, od dawna przecież poławianych, u których mimo to dopiero niedawno stwierdzono wyjątkową długowieczność pozwalającą na dożywanie 400 lat.

Jednorożec, co dziś godne szczególnej uwagi, pojawiał się w sztuce średniowiecznej w otoczeniu Maryi. Tylko Ona, jako Dziewica, mogła schwytać niezwykłe stworzenie. Ponieważ zaś jednorożec symbolizował Chrystusa, zestawienie jednorożca i Maryi, jako tej, za sprawą której Jezus przyszedł na świat, nabiera jeszcze głębszego znaczenia.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl f6b46398b0

OD MARII ANTONINY DO BJÖRK

Inspirujące i nienasycone

Czternaście fascynujących kobiet. Ich historie, ich portrety i ich kuchnia utrwalona w 99 sprawdzonych przepisach. Daniach czasami wymagających, jak piętrowy tort Marii Antoniny, innym razem prostych, jak naleśniki Astrid Lindgren. Zaskakujących, niczym wulkaniczny chleb Björk i pobudzających zmysły, jak przekąski tworzone z myślą o Marilyn Monroe czy solidne dania Sophii Loren. Niekiedy przełamujących pikantną nutą np. słodycz potraw szykowanych dla Fridy Kahlo lub wyrafinowanych minimalizmem nawiązującym do stylu Coco Chanel... W każdym przypadku inspirujących i różnorodnych jak osobowości ich bohaterek. Kobiet, które zainspirowały Marianne Pfeffer Gjengedal i Klaudię Igę Peres do stworzenia książki „Nienasycone" (wyd. Dwie Siostry).

Absolwentki Akademii Sztuk Pięknych – jedna z Warszawy, druga z Oslo – spotkały się w Norwegii. Marianne pracowała tu jako stylistka żywności, Klaudia poznawała tajniki jej fotografowania. Dwie artystki związane ze światem reklamy żywności wpadły na pomysł niecodziennego kulinarnego albumu. Projekt ten pozwolił im nie tylko przedstawić na nowo sylwetki kilkunastu sławnych kobiet, ale dał też szansę na doświadczenie czegoś niezwykłego. I podzielenie się tym z czytelnikami.

Poszły dalej niż inni autorzy. Wykorzystując zebrane informacje, postanowiły dosłownie wejść w świat swoich bohaterek – w ich stroje; zrekonstruowane otoczenie i „scenografię" ich czasów. Swoją podróż w czasie utrwaliły podczas stylizowanych fotograficznych sesji.

Zgłębiały rozmaite kierunki w sztuce i techniki tworzenia portretów, ale też wyszukiwały ciekawostki o kulinariach związanych z konkretnymi postaciami oraz – szerzej – z miejscem i czasem, w których żyły. Jak mówią, chciały się zbliżyć do bohaterek poprzez ich codzienność. Także kuchnię. Podróżowały w czasie i przestrzeni, przyrządzając ich potrawy, a poznając te smaki i ten styl, poznawały ich życie.

Szperały w materiałach źródłowych, by przywołać lub wykreować ulubione dania fascynujących je kobiet. Na potrzeby książki zmodyfikowały wiele starych receptur. Dostosowały je do współcześnie dostępnych składników. Każdy przepis sprawdziły, a potem skosztowały powstałych dań. W przedświąteczny czas – sugerują – warto się przyjrzeć truflom Coco Chanel. Świetnie nadają się na prezent.

Jolanta Gajda-Zadworna



Trufle karmelowo-koniakowe (ok. 50 szt.)

Sos karmelowy (składniki): 100 g cukru, 2 łyżki wody, 2 łyżki masła, 100 ml śmietanki kremówki, szczypta soli w płatkach.

Trufle (składniki): 300 g gorzkiej czekolady, 100 ml śmietanki kremówki, sos karmelowy, 50 ml koniaku, 100 ml (40 g) kakao.

Wykonanie: Rondel o grubym dnie postaw na niezbyt wielkim ogniu, wsyp cukier i dodaj wodę. Mieszaj do rozpuszczenia cukru. Zostaw syrop na średnim ogniu, nie mieszając. Cukier najpierw zastygnie w białą, twardą masę, a następnie rozpuści się, tworząc karmel. Pod koniec gotowania pilnuj karmelu i poruszaj lekko rondlem, jeżeli cukier nie zdążył całkiem się rozpuścić. Do złotego karmelu wlej śmietankę i dodaj masło. Na początku mieszanina będzie mocno bulgotać, więc uważaj. Wmieszaj sól i zostaw do wystygnięcia.

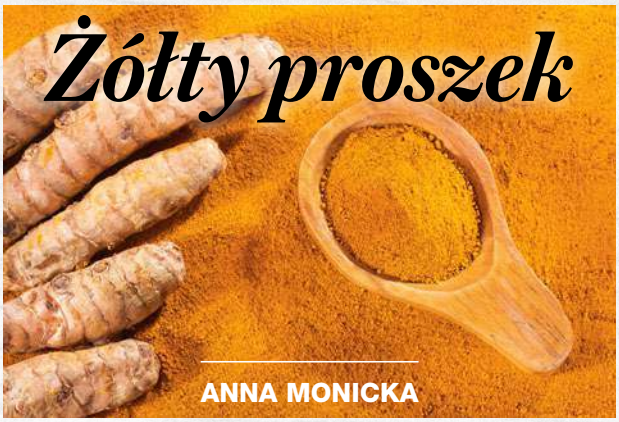
Czekoladę i śmietankę rozpuść razem w kąpieli wodnej, a potem odstaw na 20–30 min do wystygnięcia. Do masy wmieszaj sos karmelowy, a na koniec koniak. Mieszaj do otrzymania gładkiej masy, a następnie przelej do miski. Przykryj folią spożywczą i wstaw do lodówki na co najmniej 3 godz. Nabieraj porcje masy łyżką do melona lub zwykłą łyżką i formuj kulki rękami. Obtaczaj w kakao. Przechowuj w szczelnym pojemniku w lodówce – dobrze jest wysypać pojemnik warstwą kakao. Przed podaniem ogrzewaj do temperatury pokojowej, o ile dasz radę tak długo czekać.



eprasa.pl f6b46398b0

SŁODKO-SŁONY

Żółty proszek



ANNA MONICKA

To ona daje niesamowite, rozchodzące się błyskawicznie po całym ciele, ciepło hinduskim potrawom. I wspaniały, głęboki słonecznożółty kolor. Kurkuma, czyli ostryż Zohary albo indyjski szafran. Roślina wykorzystywana w ziołolecznictwie od tysięcy lat, u nas traktowana raczej jak orientalna przyprawa. Warto się nią zainteresować, bo wiele badań wskazuje na to, że jest najsilniejszym roślinnym przeciwutleniaczem i jak żadna inna chroni przed rakiem.

Parę lat temu kurkuma była znana i modna tylko w hipsterskich kręgach, bajońskie sumy płaciło się w ekologicznych kawiarniach za napój, obok imbirowego, traktowany jak luksusowy drink. 20 zł za szklankę naparu. Sproszkowanej trzeba było szukać w hinduskich marketach (kolega przywoził mi z Londynu od zaprzyjaźnionego Pakistańczyka), a o świeżej bulwie można było pomarzyć. Teraz jest w większości sieciówek, w aptekach i zielarniach masz do wyboru do koloru kapsułek z kurkuminą, samą i mieszaną z piperyną, imbirem, chilli. Mam nawet znajomych, którzy po wakacjach w Indiach zainwestowali w maszynę do kapsułkowania żółtego proszku i sami robią swoje tabletki. Twierdzą, że nie będą kupować suplementów niewiadomego pochodzenia, które nie mają standaryzowanej dawki preparatu. Jedzą więc domowe i nie chorują. Nawet jeśli złapią jakiegoś wirusa, ich organizm radzi sobie znacznie lepiej z jego pokonaniem.

Przypomniałam sobie o kurkumie, gdy i mnie dopadł paskudny szarpiący kaszel. Przepisów na napoje kurkumowe znajdziecie pewnie mnóstwo, ale mój ulubiony i najskuteczniejszy to mieszanka startego imbiru i ostryżu (korzenie wielkości kciuka) z kilkoma ziarenkami kardamonu, kawałkiem cynamonu i trzema–czterema goździkami. Oczywiście pieprz kajeński, żeby kurkuma się lepiej wchłaniała. Zalewam to wszystko wrzątkiem i parzę kilkanaście minut, a potem słodzę miodem i uzupełniam sokiem cytrynowym, pomarańczowym lub mandarynkowym. Ten ostatni jest najzdrowszy, bo najlepiej rozpuszcza tłuszcz i oczyszcza wątrobę. Filiżankę wypijam rano, a resztę zabieram w termosie do pracy i popijam cały dzień. Już po pierwszym czułam się lepiej i nie był to efekt placebo. Osłabione ciało ruszyło do boju, a ostry smak natychmiast postawił na nogi.

WILCZYM OKIEM

Kacza zupa



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Kiedy mróz zaczyna ścinać wody, pozostawiając coraz mniejsze, kurczące się, wolne od lodu przestrzenie na rzekach, stawach i jeziorach, nadchodzi pora na kaczą zupę. Skojarzenie kulinarne jest tu jedynie skojarzeniem, kacza zupa to bowiem trochę slangowa, ornitologiczna i opisowa nazwa ciekawego zjawiska przyrodniczego.

Część ptaków wodnych na zimę odlatuje z Polski. Niektóre jednak, w tym liczne kaczki, żeby uniknąć zawsze niebezpiecznej podróży, decydują się pozostać w ojczyźnie. Do pospolitszych krzyżówek i eleganckich, kontrastowych czernic dołączają kaczki z północy i północnego wschodu, nieraz gatunków w Polsce rzadkich, intrygujących i przy innych okazjach niewidywanych: świstuny z tajgowych i tundrowych jezior, rożeńce o długich ogonach, cyraneczki, gągoły o dziwacznych głowach, łaski na ryby nurogęsi z haczykowatymi dziobami, szlachetnie łososiową piersią i skierowaną w tył czuprynką, a także piękne bielaczki.

Wszystkie te ptaki szukają niezamarzniętych powierzchni wody, wraz ze spadającą temperaturą coraz bardziej się kurczących fragmentów rzek, zwłaszcza na miejskich, cieplejszych odcinkach, miejsc zrzutu wód z elektrociepłowni, parujących, niezamarzających oparzelisk na mokradłach. Tam się gromadzą, by żerować, nurkując (tzw. kaczki nurkujące, zwane grążycami, których sylwetka odznacza się ogonem opływowo wchodzącym w wodę) lub tylko zanurzając szyje w wodzie (tzw. kaczki pływające, czyli pławice, o ogonach zadartych).

Miejsca takie, małe ogniska różnorodności, głosów i kolorów, z niezamarzniętą wodą otoczoną kruchym lodem, zabezpieczają je także przed drapieżnikami, a przynajmniej przed tymi poruszającymi się po lądzie. Kaczki starają się więc pilnować, by oczka nie zamarzały, pilnie wiosłując łapami i wprawiając wodę w ruch.

Kacza zupa, o innym jednak składzie i w formie wielkich niekiedy stad, pojawia się się także u morskich wybrzeży Bałtyku, sprawiając, że zima na plaży jest wyjątkowym okresem dla obserwatorów ptaków liczących na spotkanie z uhlami, setkami tysięcy markaczek żerujących na ławicach omułków i wieloszczetach, z lodówkami o sterówkach ogona wąskich, długich i sterczących niczym szpada, a może nawet z miękkopiórymi edredonami.

eprasa.pl f6b46398b0

Niemodna pokora

„Gdzie będzie pycha, tam będzie i hańba, a gdzie pokora, tam mądrość” (Platon)



Alina Czerniakowska

Dziś, niezależnie od warstwy społecznej, wykonywanego zawodu i wieku, dominują pycha, zarozumialstwo, przekonanie o własnej mądrości, nieomylności w każdej dziedzinie życia. Najgorsze, że im kto ma mniejszą wiedzę, często tylko gdzieś ledwie zasłyszaną, zdawkową, tym pewniej i bardziej autorytatywnie się wypowiada, upiera przy swojej rzekomej mądrości. Ludzie bez umiejętności krytycznego spojrzenia na siebie i chociażby odrobiny wstydu, bez żenady wypowiadają się na wszystkie tematy i jeszcze pouczają innych. Świetnie znają się na polityce, ekonomii, medycynie, historii, przedstawiają tezy nieuzasadnione żadnym logicznym argumentem, bo przecież jest demokracja, wolno im, po co szukać prawdziwych autorytetów.

Brak szacunku dla ludzi, którzy często długie lata poświęcili zgłębianiu wiedzy w danej dziedzinie, bo każdy sam wie wszystko najlepiej. Szybkie kariery, moda na tupet, kreowanie wizerunku „postępowego Europejczyka”, wszystkie sztuczne zabiegi bycia nowoczesnym wypaczają charaktery, zwalniają od myślenia, ślęczenia nad książkami, skoro wystarczy zwykłe cwaniactwo, by być podziwianym celebrytą. Niemodne stały się takie cechy, jak skromność, wstyd, pokora i szacunek dla tych, którzy wiedzą więcej, są po prostu mądrzejsi.

Wielki uczony prof. Tadeusz Kotarbiński pod koniec swojego długiego życia, w ostatnim zachowanym wywiadzie, powiedział na podsumowanie: „Czuję się, jakbym stał na początku drogi, bo wiem, że nic nie wiem”. Podobnie uważał Jan Paweł II. Nauka budzi zadumę w człowieku nad własną kondycją, możliwościami, podkreślał, że „prawdziwie duża wiedza uczy pokory, bo człowiek wie, jak wiele rzeczy nie wie, jak mały jest we wszystkim...”.

Konsekwencje braku solidnej wiedzy, lecz przede wszystkim braku umiejętności krytycznego patrzenia na siebie, czyli właśnie pokory, widać wszędzie, zarówno w życiu społecznym, jak i rodzinnym. Przecież wszystko zaczyna się od domu, potem szkoły. A teraz już nie wychowuje się w kulcie szacunku dla ludzi starszych, nestorów rodu, solidnej nauki, miłości do książek, do biblioteki, wystarcza powierzchowna, chaotyczna wiedza internetowa, często oparta na plotce, domysłach lub świadomie wypisywanych bzdurach w celach marketingowych. Niestety, dzisiaj pokora kojarzona jest często z brakiem zaradności, sprytu, nieśmiałością – z „obciachem”, mówiąc slangiem młodzieżowym.

W kontekście tych rozważań warto się zastanowić nad słowami wielkiego pisarza: „Wiedza daje pokorę wielkiemu, dziwi przeciętnego, nadyma małego. Nic tak nie ogranicza prawdziwej wiedzy, jak przekonanie, że się wie to, czego się nie wie” (Lew Tołstoj). Szacunek, pochylenie głowy i milczenie przed tymi, którzy posiadają wielką wiedzę i talent, nikogo nie uniża, a wręcz przeciwnie, wywyższa, świadczy o klasie człowieka. Można o tym wszystkim poczytać w dziełach cytowanego przeze mnie prof. Kotarbińskiego, dzisiaj zapomnianego: „Cała wielkość człowieka jest w jego pokorze przed Bogiem i ludźmi”.

Jednak otaczająca nas rzeczywistość daleka jest od tych wszystkich pięknych myśli, wystarczy popatrzeć na zachowania różnych osób publicznych, które powinny być wzorem dla całego społeczeństwa, tymczasem ich wypowiedzi są często tak żenujące, że nawet trudno je komentować, może najlepiej zbyć uśmiechem, potraktować jako blef dla dodania sobie animuszu i przykrycia prawdy o sobie?

Ostatnio prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski, stojąc przed licznymi kamerami, podsumowywał rok swojej prezydentury i trochę jakby zapomniał, co ma powiedzieć, myliły mu się słowa. Wtedy śmiało wyręczyła go przewodnicząca Rady Warszawy Ewa Malinowska-Grupińska, stwierdzając autorytatywnie, że „były to prawdziwie europejskie dokonania” (sic!). Podczas gdy każdy mieszkaniec Warszawy i Polski zapamiętał jedynie stolicę w oparach fekaliów spływających tysiącami litrów do naszej królowej rzek Wisły i dalej do Bałtyku. Potem całe miesiące docierały do nas informacje o milionowych przekrętach przy budowie sławetnej Czajki, rzekomo nowoczesnej oczyszczalni ścieków, tak hucznie otwieranej przez ówczesnego premiera Tuska i jego koleżankę, prezydent Hannę Gronkiewicz-Waltz.

Można dawać wiele takich przykładów z prawie każdego dnia naszych wybrańców, bo np. co wspólnego ma z klasą i wspomnianą pokorą zachowanie nowego marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego, który już na wstępie porównał się z Janem Pawłem II! Ktoś powie, że chwile zapomnienia, kim się naprawdę jest, każdemu się zdarzają, tym bardziej że obok stali tacy nowi senatorowie, jak Krzysztof Kwiatkowski czy Stanisław Gawłowski, znani z różnych poważnych nadużyć, zarzutów prokuratorskich, aresztowań itd., a gratulował im sam mecenas Pociej! Pytanie tylko, jak do tego wszystkiego mają się słowa wypowiedziane przez przewodniczącego Państwowej Komisji Wyborczej na początku uroczystości powołania owych senatorów: „Geneza urzędu Senatora sięga starożytnego Rzymu, a w Polsce – Rady Królewskiej, czyli grona najznakomitszych dostojników, którzy doradzali władzy”.

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl f6b46398b0

Złote serce marszałka



Jerzy Jachowicz

Szanowny Panie Marszałku, przekazuję ten liścik przez pana senatora ziemi kujawskiej, nie chcąc, aby przypadkowo dostał się w niepowołane ręce. Od pierwszych dni po wybraniu Pana na stanowisko marszałka nieżyczliwi Panu ludzie dążą do zniszczenia Pana opinii uczciwego i oddanego całym sercem swym pacjentom lekarza. Krwiożerczy ci ludzie, podjudzani przez PiS, chcą ugodzić w Pana pozycję polityka wyrastającego w swojej partii na jednego z liderów. Na męża stanu. Jakże przykrym zaskoczeniem dla polityków władzy było Pana wystąpienie telewizyjne następnego dnia po wyborze na marszałka Senatu. Jak musiało ich zaboleć pańskie exposé. Z Pana osobą i jego codzienną, obfitująca w ogrom zadań działalnością nadchodzą nowe, lepsze czasy. Jest Pan ich uosobieniem.

Biorąc pod uwagę nawał obowiązków, jakie na Pana spadły, tym bardziej jestem Panu wdzięczna za osobiste zainteresowanie się moją sprawą, zakończone decyzją nominacji na objęcie kierownictwa tak ważnej placówki na mapie kulturalnej Kujaw.

Największą satysfakcję sprawiła mi jednak ocena Pana Marszałka mojej prywatnej działalności, która tylko dzięki niefortunnemu zbiegowi okoliczności wyszła na jaw i stała się przedmiotem procesu sądowego. Na szczęście, zdaniem sądu, wymalowane przeze mnie napisy na oknach i drzwiach niektórych biur poselskich „Czas na sąd ostateczny" i „PZPR" należy uznać za czyny o znikomej szkodliwości społecznej. Tym samym kwalifikowały się one do uniewinnienia.

Jak mi przekazano, Pan Marszałek dostrzegł o wiele istotniejsze elementy moich działań, w tym także wcześniejszych, związanych z propagowaniem tęczowej aureoli. Miał Pan określić je jako cenne, spontaniczne, którymi kierują wyłącznie szlachetne pobudki.

Dziękując za pomoc, zapewniam, że Pana ocena będzie mi drogowskazem na nowym stanowisku.

Aldona Podkwietna

CO MNIE WKURZA

Ściągawki dla posłów



Katarzyna Łaniewska

Przyglądając się niektórym posłom poprzedniej kadencji, pisałam, by zrobić castingi na parlamentarzystów. Ale zaniechałam tego satyrycznego pomysłu, bo któż by był jurorem?

Patrząc na niektórych posłów tej kadencji, myślę, że ściągawki dla nich są absolutnie konieczne. Chyba nie zdają sobie sprawy z tego, że zasiedli w ławach sejmowych, aby służyć nie tylko swoim wyborcom, lecz i wszystkim Polakom. To jest ciężka, poważna i odpowiedzialna praca, a nie sposób na zaspakajanie swoich ambicji, brylowanie w mediach i na salonach, pobieranie nie najgorszych pieniędzy i wyśmiewanie się z tego, co się dzieje. Myślę, że taka ściąga pomogłaby im w technicznych sprawach, żeby wiedzieli, jak się odnaleźć w parlamencie. Co im przysługuje, a czego robić nie powinni. Na pewno nie znaleźli się tam po to, by rozrabiać i starać się w sposób nielicujący z postawą posła przypodobać tej części społeczeństwa, która jest przeciwko temu, co chce zrobić rząd. To smutne, że to się już zaczęło.

Zaczęło się od bezczeszczenia hymnu narodowego. Poseł, który ośmielił się zacząć tak wystąpienie, powinien za tą mównicą upaść, nigdy nie wstawać i stamtąd nie wychodzić. Wydawało nam się, że w tej kadencji będzie już inaczej. Że nie będą tylko przeszkadzać i przedłużać obrady. Niestety zobaczyliśmy jeszcze gorsze obrazki. Przepraszam, że używam takiego słowa, ale to małpiarnia. Chociaż małpy zachowują się czasem godniej. Po bardzo dobrym exposé premiera występuje jego przeciwnik polityczny, pan Grzegorz. Jego wystąpienie jest jednym wielkim zapisaniem kłamstwa – plugawił wszystko, co ważne. Proszę sobie wyobrazić, jakie trzeba mieć nerwy, żeby opanować w sobie chęć odpowiedzenia na to i nie dać się sprowokować. Ciągle są wyciągane podłe i nieprawdziwe sprawy. Ile zdrowia musi to kosztować premiera.

W tej ściądze powinno być przykazanie: ponoś odpowiedzialność za swoje słowa. U nas nie ma odpowiedzialności. Sprawy w sądach trwają długo, a sądy, wiemy, jakie ferują wyroki. Jak będą działały dalej Senat i Sejm w takim układzie? Zobaczymy. Szkoda, że niweczą zapały rządu. W imię czego nie chcą służyć Polsce? Myślałam, że zniechęcą się, kiedy zobaczą, że Polska idzie ku dobremu. Czy to z zawiści i zazdrości? Oby rozumy nie zostały pogrzebane, a mądrość wróciła do ludzi.

eprasa.pl f6b46398b0

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Kolejne starcie



www.wojciechreszczynski.pl

W walce trzeciej władzy z władzą ustawodawczą i wykonawczą dominuje na zewnątrz gra pozorów, która utrudnia społeczeństwu zrozumienie istoty konfliktu

Bunt prawniczych elit, szczególnie liczącego w sumie ponad 10 tys. środowiska sędziów, nabiera przyspieszenia. Jego początek to objęcie w 2015 r. władzy w państwie przez antysystemową, prawicowo-konserwatywną partię Prawo i Sprawiedliwość i zapowiedź zmian w sektorze sprawiedliwości, zgodnie z oczekiwaniem olbrzymiej większości polskiego społeczeństwa. Dlatego 2015 r. to koniec przyjacielskiej symbiozy elit władzy III RP ze środowiskiem sędziów zdominowanym przez peerelowskie kadry, z biegiem lat uzupełnianym nowym, ale wyselekcjonowanym prawniczym narybkiem. Szansę na awans mieli tylko ci, którzy akceptowali status quo: kierownictwo, zwyczaje i stare nawyki „nadzwyczajnej kasty", co zresztą nie było takie trudne dla młodych wychowanych w podobnych prawniczych rodzinach.

Pierwszy prezes Sądu Najwyższego Adam Strzembosz głęboko się pomylił, mówiąc w 1990 r., że wymiar sprawiedliwości sam się oczyści. Co bardzo dziwne, nadal tkwi w tym błędzie, wspierając bunt sędziowskiej kasty, niby zagrożonej populizmem i autorytaryzmem „pisowskiej" władzy. Krytykuje wymianę sędziowskich elit na stanowiskach, nie uznaje „nowej" KRS ani wyboru do niej sędziów, a przede wszystkim zwalcza ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobrę. Trwająca ponad 30 lat amnezja sędziego Strzembosza musi mieć jakieś głębsze przyczyny. Jakiej natury, bo przecież nie biologicznej, mimo jego sędziwego wieku, trudno jeszcze powiedzieć. Ale znając życie, zawsze jest jakaś przyczyna.

Co charakterystyczne, w tej walce trzeciej władzy z władzą ustawodawczą i wykonawczą dominuje na zewnątrz gra pozorów, która utrudnia społeczeństwu zrozumienie istoty konfliktu. Kiedy sędziowskie elity mówią o niezależności, niezawisłości, praworządności, demokracji, nigdy nie mówią, o co naprawdę im chodzi, gdyż jawna walka z obecnym obozem władzy przeczyłaby tym słowom zaklęciom. Dlatego na pytanie o wspólną obecność na ulicy protestujących sędziów z podsądnymi reakcją Donalda Tuska jest tylko nieskrywana wściekłość na dziennikarza.

Nowa gwiazda judykatury, sędzia z Olsztyna Paweł Juszczyszyn, dobrze wie, że uczciwa konkurencja w zawodzie prędzej czy później zatrzyma drogę jego awansu zawodowego. A poza tym nie lubi obecnej władzy, w czym nie jest przecież odosobniony w tym środowisku, tym samym nie lubi też sędziów, którzy orzekają jak on, ale zostali wytypowani z przyzwolenia „nowej" KRS. Dołączył więc do zbuntowanych sędziów, wzywając do „niezależności" i „odwagi względem polityków", a przecież przyczyna odwołania go z delegacji do Sądu Okręgowego w Olsztynie, zawieszenia w sędziowskich obowiązkach i poddania procedurze dyscyplinarnej wzięła się z kompletnie przemilczanej przez niego chęci poznania nazwisk sędziów polecających nowych kandydatów do KRS. Zamiast rozstrzygać apelację od wyroku w jednej ze spraw cywilnych, bardziej interesowało go, kto wspierał sędziego orzekającego dziś w pierwszej instancji, kto go popierał w jego staraniach bycia sędzią. Stąd jego pismo do kancelarii Sejmu z żądaniem udostępnienia list poparcia „nowej" KRS. Sędzia Juszczyszyn się skompromitował, bo zapomniał, że najważniejszym aktem sprawczym o prawie do orzekania jest autonomiczna decyzja prezydenta RP, czyli sędziowska nominacja. No cóż, ale skoro zdaniem pierwszej prezes Sądu Najwyższego Małgorzaty Gersdorf każdy sędzia ma prawo pytać każdą władzę każdego szczebla, o co zechce, i domagać się obowiązkowej odpowiedzi?

Tak samo działa Naczelny Sąd Administracyjny. W swoim wyroku narzucił kancelarii Sejmu obowiązek ujawnienia nazwisk sędziów, którzy poparli wybór kandydatów do KRS. A chodzi tylko o to, kto jest z nami, a kto przeciwko nam. Sejm zwleka z odpowiedzią, gdyż uruchomił, i słusznie, Urząd Ochrony Danych Osobowych, no ale Sejm – ustawodawcę – może nękać każdy sędzia i zrobił to Paweł Juszczyszyn.

Przy okazji podobnie zachęcające do walki z władzą są wyroki Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie uchylające decyzje komisji weryfikacyjnej. Niestety równie głęboko destrukcyjna staje się wewnętrzna walka w gronie sędziów Trybunału Konstytucyjnego.

Na sprawę sędziego Juszczyszyna rząd zareagował szybko i stanowczo. Przypomniał, że akt powołania sędziego nie podlega kontroli sądowej. Oskarżył zbuntowanych sędziów o manipulację wyrokami TSUE, bezprawne kierowanie apeli do innych sędziów o powstrzymanie się od orzekania, podważanie zaufania do wymiaru sprawiedliwości. Ogólnie mówiąc – domaga się zaprzestania naruszania konstytucyjnego porządku i udziału w politycznym sporze. Warto ten spór obserwować. Wydaje się, że jest to dziś główna linia frontu walki postkomunistycznego systemu wymiaru sprawiedliwości, bez którego totalna opozycja traci grunt pod nogami, z usilnie reformującą się Polską. Za tydzień pewnie kolejne starcie.

eprasa.pl f6b46398b0

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Sfora



Witold Gadowski

W dzisiejszej Polsce powstała praktyka polowania z nagonką, w którym „sforę psów", które gonią ofiarę, niestety stanowią ludzie mieniący się dziennikarzami. Bez różnicy, czy chodzi o kogoś znanego, kto naraz wypowiedział niepopularny – w poprawnościowym kręgu celebrysiów – sąd, czy też o polityka, który nagle stracił wsparcie popierającego go dotychczas lobby.

Tzw. dziennikarze szczególnie do obszczekiwania upodobali sobie tych, którzy mają odwagę nazywać rzeczy po imieniu. Wtedy nie ma taryfy ulgowej – zwykle rozpoczynają poprawnościowi dziennikarze lewej strony, a kończy się na działaniach dziennikarzy strony prawej. Wszyscy czują się w obowiązku, aby naszczekać i – jak się uda – ugryźć. Jest to tym łatwiejsze, że po prawej stronie namnożyło się ostatnio towarzystwa nieposiadającego własnych poglądów ani osiągnięć, ale poszczute ujada z zapałem najdurniejszej myśliwskiej sfory.

Tematem, który łączy ujadaczy z lewej i prawej strony „dziennikarstwa", jest kwestia „antysemityzmu", tu sfora nie przepuści nikomu. Przy czym oczywiście „antysemityzmem" uznają nie to, co w rzeczywistości kwalifikuje się do takiego oskarżenia, a więc durne uogólnianie złych cech na cały naród żydowski, posądzanie Żydów o najbardziej niecne postępki tylko z racji samej przynależności etnicznej czy też rozpowszechnianie przybyłych z Rosji kłamstw na temat tego narodu. „Antysemityzmem" dla lewicowych i prawicowych aspirantów do dziennikarskiego zawodu jest np. obrona polskiego interesu przed bezpodstawnymi roszczeniami agresywnych i mocno merkantylnych grup diaspory żydowskiej, które w ściąganiu z Polski haraczu upatrzyły sobie całkiem zgrabny interes. Poprawniacy – z mozołem łańcuchowych burków – pilnują, aby nikt się na ten temat publicznie nie odezwał, bo jak się odezwie, to natychmiast rusza polowanie.

Podobnie ma się rzecz z naszymi stosunkami ze Stanami Zjednoczonymi: tu wśród nich panuje wyjątkowo krótka smycz – albo popieramy bezwarunkowo wszelkie działania amerykańskiej administracji, albo jesteśmy „ruskimi szpiegami".

Czy nie czujecie, jak w naszym dyskursie publicznym zaczyna brakować powietrza. Jak wokół unosi się intelektualny smród niedouków i podróbek dziennikarskiego fachu? Jeszcze chwila i swoje niedorozwinięte kapelusze zaczną nam wszystkim, przymusowo, wciskać na głowy.

Zapomniany wieszcz



Lech Makowiecki

Robiąc pospieszny research przed wielkim testem o narodowych wieszczach, natrafiłem na fragment zapomnianego już tekstu Zygmunta Krasińskiego: „Przyjdą takie czasy, że będzie się popierać zepsucie obyczajów. Ze świętej religii uczyni się straszaka, aby obrzydzić ją wszystkim szlachetnym sercom. Podłość będzie nagradzana orderami lub zaszczytami. Lud ogłupiać będą wódką lub innymi elementami, elity szlifami i stanowiskami, a za głowę tych, co będą stawiać opór, wystawi się watahy, cenę, aby się rozprawić z nimi w stosownej chwili...".

Trudno po latach odmówić autorowi profetycznej przenikliwości. I choć udało mi się dotrzeć do finału telewizyjnego show, to jednak nie dzięki znajomości takich cytatów, lecz zgaduj-zgaduli: czy Słowacki bardziej lubił psy, konie czy słowiki? Tymczasem przesłanie naszych romantycznych wizjonerów bardzo by się nam dziś przydało. W tamtych czasach nikt nie miał złudzeń (jak dziś towarzysz Czarzasty) – co do niosących nam „wolność" carskich sołdatów. Chyba że targowiczanie. Dekalog był ówczesnym Polakom droższy od hedonistycznego, egoistycznego i głupkowatego „rób ta, co chceta". I nikt piękniej od tamtych poetów nie opiewał naturalnej, heteroseksualnej miłości mężczyzny i kobiety. Dzisiejsza profanacja wiary przez środowiska lewackie, inwazja ideologii gender, feministyczno-gejowskie akcje zohydzające tradycyjną rodzinę czy pedofilny zamach na niewinność dzieci („tęczowe piątki" w szkołach) budziłyby niechybnie niesmak/zdumienie/wściekłość naszych romantyków! Środa, Jachira, Owsiak, Hartman, Wojewódzki, Nergal et consortes... Cóż, jaka epoka, tacy wieszcze.

PS Żeby zakończyć optymistycznie, kolejny cytat: „Cokolwiek będzie, cokolwiek się stanie/ Jedno wiem tylko: sprawiedliwość będzie/ Jedno wiem tylko: Polska zmartwychwstanie..." („Tęsknota" Zygmunt Krasiński). Ale to nie stanie się samo. A już tym bardziej wbrew nam samym.

eprasa.pl f6b46398b0

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Rosół raz!



Aleksander Nalaskowski

Przyznam, że niektóre pomysły prawne budzą moje zdumienie, a niekiedy strach. Świadczą bowiem nie tylko o niebezpiecznych zakusach władzy, lecz nade wszystko o znikomych kompetencjach kreatywnych „prawodawców".

Od czasu do czasu wraca pomysł, aby wprowadzić mandaty, których wysokość będzie uzależniona od wysokości dochodów ukaranego. To nie tylko idiotyczne, lecz i podłe. Narusza bowiem jeden z podstawowych kanonów wszystkich cywilizowanych konstytucji i zasad ustroju demokratycznego, gdzie wszyscy obywatele są równi wobec prawa. Złamanie tej zasady wprowadzi niebezpieczny element tzw. demokracji uznaniowej. Jeśli za wykroczenie drogowe albo nieuprzątnięcie śniegu przed posesją jeden ma zapłacić więcej, a inny mniej, to jaka tu równość wobec prawa?! To hucpa, a nie praworządność. I głupota. Czy przejechanie na czerwonym świetle przez studenta jest mniej groźne niż takie samo naruszenie Kodeksu drogowego przez milionera? Czy u jednego śnieg jest cięższy, a u innego lżejszy? Naprawdę?

Jeśli za wykroczenie drogowe albo nieuprzątnięcie śniegu przed posesją jeden ma zapłacić więcej, a inny mniej, to jaka tu równość wobec prawa?!

Można zresztą wpaść na kolejny pomysł i zróżnicować karę za przestępstwa karane więzieniem. Karę odsiadki można by liczyć w procentach. Na przykład za jakieś przestępstwo orzekano by 20 proc. życia, które (wedle statystyk) komuś zostało. Jeśli mężczyźni w Polsce żyją średnio ok. 75 lat, to 50-latek za rozbój otrzymałby przestępstwo 20 proc. z 25 lat. To daje pięć lat. Natomiast 25-latek za to samo dostałby już 10 lat. I jaka piękna sprawiedliwość! Naprawdę tak ma wyglądać równość wobec prawa? Czyjego prawa? Wywiedzionego z jakiejś doktryny, zasady?

Już nie mogę słuchać policjantów z drogówki gadających do kamery, że dbają o bezpieczeństwo kierowców. To zaakceptowana hipokryzja. Te całe podchody z „suszareczkami", te nieoznakowane auta i powszechna nieobecność tam, gdzie naprawdę jest niebezpiecznie, przyprawiają mnie o mdłości. To ordynarne wyrabianie norm finansowych i łupienie obywateli. Najzwyklejsze na świecie wyrywanie kasy rodakom. Że też tego nikt nie chce uregulować, a wszyscy chcą jedynie karać. Nie znoszę tych chojraków w białych czapeczkach, którzy mówią do mnie „panie Aleksandrze", którzy w sobotę w nocy każą mi dmuchać w alkomat (jakim prawem zakładają, że jestem pijany?), tych rutynowych kontroli bez powodu (jestem wszak rutynowo uczciwy). No i to władcze: „Będzie mandacik". Wtedy mam ochotę powiedzieć „Pocałuj mnie pan w pupeczkę". Aby było jasne, jako kierowca mam zerowe konto punktowe, a ostatni mandat płaciłem kilka lat temu. Najczęściej mój staż za kierownicą jest dłuższy niż wiek kontrolujących mnie funkcjonariuszy. Poza jedną czy dwiema niegroźnymi stłuczkami parkingowymi nie spowodowałem żadnego wypadku, nikt przeze mnie nie ucierpiał. Proszę zatem o uwzględnienie tego w ewentualnym karaniu mnie mandatami. Proszę bardzo – 40 lat bezwypadkowej jazdy to obniżenie o 40 proc. kwoty mandatu. Pomysł tak samo logiczny jak uzależnienie kary od dochodów. Posunąłbym się dalej, bo dość mam funkcjonariuszy, którzy spisują mnie tak wolno, jakby co dopiero nauczyli się pisać i mój czas jest im przy tym obojętny. Niekiedy studiowali mój dowód osobisty, jakby to była rozprawa filozoficzna. Niechaj więc funkcjonariusz ma prawo trzymać mnie 5 min. Powyżej tego limitu możliwość ukarania mnie czymkolwiek spadłaby do zera.

Podobny stosunek mam do podatków. Dlaczego ma być podatek kroczący? W którymś momencie przy ogromnej kwocie daniny człowiek się najzwyczajniej zniechęca do pracy, rozwoju i innowacyjności. A przecież jesteśmy na froncie walki o innowacyjność, prawda? Warto zauważyć, że z podatku biedaka i milionera dla nich obu to samo wynika. Te same drogi, inwestycje państwowe, obronność. Normalny świat polega na tym, że im więcej płacę, tym więcej dostaję. I tu się wszystko zgadza. Bo bogaci biorą więcej... w tyłek. Majętność państwa nie bierze się z grabieży milionerów i wykrywania kolejnych afer, ale z uszczelnienia codzienności. To tolerowanie powszechnej praktyki „wpuszczania w koszty" wszystkiego, co się da, z pobierania faktur na paliwo od znajomych i przedstawiania ich jako swoich, z przedstawiania wycieczek zagranicznych jako „wyjazdów biznesowych", z rozliczania wesela jako „imprezy integracyjnej". Milionerzy zapewne też oszukują, łącznie zapewne na miliardy, ale małe cwaniaczki prowadzące działalność gospodarczą to suma oszustw za biliony! Państwo solidarne to nie tylko 500+, ale również solidarny udział w jego tworzeniu i utrzymywaniu. W przeciwnym razie „kroczem do socjalyzmu", i to w najgorszym jego wydaniu. Bezlitośnie karać i łupić należy tylko przestępców, których wśród najlepiej zarabiających jest tak naprawdę niewielu. A przykład Romana Kluski i Optimusa to przestroga przed traktowaniem każdego zamożnego jako złodzieja. Naprawdę, opamiętajcie się w tej mandatowo-podatkowej kreatywności, bo zarżniecie znoszącą złote jaja kurę i tylko raz ugotujecie z niej rosół.

1/0119/F

eprasa.pl f6b46398b0

PRZEZ ŚWIETLIK

Na progu



Wiktor Świetlik

Z Kim Dzong Una śmiać się łatwo, jak się nie jest jego poddanym. Fizycznie przypomina wielkiego bobasa. Wszystkie jego jądrowe pomysły opatentował już wielki w swoim szaleństwie i zamordyzmie dziadek, a rozstrzeliwanie ministrów z działek lotniczych, jakkolwiek okrutne, tchnie groteską. Jednak pan Kim tym razem mnie – prostego zjadacza światowych mediów – zaskoczył.

Północnokoreański wódz otworzył nowe miasto Samjiyon. Samo w sobie nie byłoby to nadmiernie szokujące, w końcu jak się jest szaleńcem kierującym Koreą Północną, można czasem sobie miasto zbudować, najwyżej kilka innych miast istnieć z głodu przestanie. Ciekawsze jest odkrycie, którego przy tej okazji dokonali polscy, uwaga, uwaga, „skoczniołazowie", czyli miłośnicy zwiedzania skoczni narciarskich – hobby, które zawdzięczamy Adamowi Małyszowi i jego triumfom sprzed niemal 20 lat. Jak się więc okazuje, „skoczniołazowie" na skąpych zdjęciach odkryli, że nad nowym miastem koreańskiego bobasa górować będzie wielka, bo ponad 90-metrowa, skocznia narciarska. Mówiąc krótko – trudno chłopu odmówić nie tylko rozmachu, ale i fantazji. W zdychającym z głodu, odizolowanym kraju stawia sobie skocznię. Kto mu zabroni?

Takie skocznie powstają i wokół nas, choć może nie tak spektakularne. Z samej Brukseli z efektownym telemarkiem niedawny prezydent Europy miał nadlecieć rozgromić PiS. Niestety, po przeliczeniu aktywów i pasywów zrezygnował, po raz drugi zrejterował, co okrzyknięto, a jakże, przejawem jego geniuszu politycznego. Na pocieszenie został szefem Europejskiej Partii Ludowej. Wiecie, kto był przed nim? A jeszcze wcześniej? Nikt nie wie, bo to funkcja ważna jak bycie kierownikiem warszawskiego telegrafu w 2012 r. Bez znaczenia i symboliczna. Ma jednak jedną zaletę, że zdaje się jest objęta jakimś immunitetem. Ewentualna odsiadka znowu odczeka, a na razie można się zająć walką o demokrację w dzikim nadwiślańskim kraju i salonowym potępianiem zamieszkującego go pospólstwa. Z wyżyn kolejnej brukselskiej skoczni, tak potrzebnej i prestiżowej jak ta zbudowana przez Kim Dzong Una w północnokoreańskich górach.

Ktoś powiedziałby – widać każdy ma taką skocznię i takiego bobasa, na jakich zasłużył. Ale to przesada, nie zasłużyliśmy ani my, ani oni.

REKLAMA



kasastefczyka.pl
801 600 100
(koszt wg taryfy operatora)

KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

Pożyczka Fit umożliwia konsolidację zobowiązań zaciągniętych wyłącznie w innych instytucjach finansowych. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.
Przykład reprezentatywny z dnia 2.01.2018 r. dla Pożyczki Fit: Całkowita kwota kredytu wynosi 47 880 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (prowizją: 0 zł, opłatą za dwa przelewy: 120 zł) wynosi 6%. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 6,23%. Czas obowiązywania umowy – 119 miesięcy, 118 miesięcznych rat równych: 536,19 zł oraz ostatnia, 119. rata: 536,57 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 63 806,99 zł, w tym odsetki: 15 806,99 zł. Okres kredytowania od 12 miesięcy do 120 miesięcy.

eprasa.pl f6b46398b0

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Art. 141 i art. 178

Kodeks wykroczeń zajmuje się publicznym używaniem wulgaryzmów



Ryszard Makowski

Art. 141: „Kto w miejscu publicznym umieszcza nieprzyzwoite ogłoszenie, napis lub rysunek albo używa słów nieprzyzwoitych, podlega karze ograniczenia wolności, grzywny do 1500 złotych albo karze nagany". Tyle teoria. Praktyka jest taka, że jeden licencjonowany opozycjonista na wiecu we Wrocławiu ryczał przez mikrofon: „Namawiam państwa do cytowania Frasyniuka, do cytowania więźniów stanu wojennego: »J...ć pisiora«". Dla uściślenia, namawiał do cytowania samego siebie. Ludzie różnymi cytatami próbują wejść do historii.

Problemem nie jest jednak zwykły ordynus z pianą na ustach. Problemem jest to, że jego łaskawe audytorium stanowili także sędziowie. Ci świeczkowi zwolennicy konstytucji chyba jej nie czytali. Art. 178: „3. Sędzia nie może należeć do partii politycznej, związku zawodowego ani prowadzić działalności publicznej nie dającej się pogodzić z zasadami niezależności sądów i niezawisłości sędziów".

Rewolty wybuchają przeważnie jako protest przeciwko niesprawiedliwości. U nas paradoksalnie rokosz robią ci, którzy za ewidentną niesprawiedliwość III RP ponoszą odpowiedzialność. Kasta słynie ze zdemoralizowania i materialnej pazerności. Inny były opozycjonista Józef Pinior, dziś oskarżony o korupcję, demonstrował razem z sędzią orzekającym w jego sprawie. Dobre by to było w komedii pomyłek, u nas niestety popularna jest tragedia pomyłek. Sądowych.

Ktoś rzucił hasło dotyczące kasty: „Wszyscy won!". I to jest chyba słuszna diagnoza.

eprasa.pl f6b46398b0

Zawistowski prezentuje: NIK



Wycinki z przeszłości

Tę piękną świąteczną ilustrację zamieścił na okładce miesięcznik „Plon" z grudnia 1938 r. Ale w poradnikowym piśmie i w tym numerze dominowała tematyka ściśle rolnicza. Z jednym wyjątkiem. Oto pismo apelowało do kobiet, by znalazły czas dla siebie, by się rozwijały i były aktywne społecznie:

„Robota nie powinna panować nad gospodynią i przypominać jej raz po raz: nie masz czasu, bo ja, robota, czekam! Gospodyni, która umiejętnie rozłoży sobie pracę, na pewno znajdzie czas na inne sprawy, niezwiązane z obejściem, dziećmi i kuchnią.

W nadchodzące święta trzeba pomyśleć, jak znaleźć czas dla siebie. Dla siebie to nie znaczy, żeby małemu Jaśkowi zeszyć podartą bluzę lub żeby sobie sprawić spódnicę. Czas dla siebie powinien być obrócony na przemyślenie jakiejś sprawy, którą nasuwa życie, na czytanie, na przyswojenie sobie pewnych wiadomości. Można czytać pisma i książki pożyczane z bibliotek domów ludowych.



Matka powinna też, poza codzienną robotą, znaleźć czas i ochotę na swobodną pogadankę, na pośmianie się z dziećmi. Wszystko to wzbogaca rozum i sprowadza wewnętrzną pogodę. Powinna być kobieta także gospodynią także szerszego gospodarstwa – samorządowego i państwowego".

Jak widać, dzisiejsze feministki świata nie odkrywają.

(mk)

Z Wileńszczyzny



Leszek Długosz

Tak sobie wyobrażano jeszcze w 1945 r. sytuację w Wilnie. Autor, syn Wileńszczyzny. Tam urodzony, wykształcony, z wejściem Rosjan musiał uciekać. Aresztowany, zesłany w głąb Związku Sowieckiego, zdołał jednak dotrzeć do Iranu i dołączyć do wojska Andersa. Pozostał już na emigracji. Początkowo we Włoszech, potem jak większość tych spod Monte Cassino emigrował do Anglii. Poeta, pisarz, redaktor, krytyk, uczony, profesor akademicki... Ale pewnie najbardziej – syn Wileńszczyzny.

Józef Bujnowski 1910–2001
„Rozsypiemy ajery* po ścieżkach"

Między nami rachunek się zamknie
bo o miłość tu walka
O serce –
Na królewskim Jagiełłów zamku
Podamy braterskie ręce

My litewskich, białoruskich łąk
znamy usta i dusze, i pieśni –
nam nie rozerwać rąk
związanych wcześniej.

Domy nasze pod cieniem drzew
Powiązały i Grunwald, i Azja –
My o wspólny walczymy śpiew,
My walczymy o serce inwazję.

Opasała Wilija gród
I do Niemna błękitem wpada
Taki sam nad rzekami lud
I ta sama w opowieściach ballada

Nowy czas wspólny zdarzy nam los
Nowe dni zdarzą wspólne szczęście
– w różnych dźwiękach, bez zawiści, na głos
święte imię powiemy częściej

Rozsypiemy ajery po ścieżkach*
W naszych progach gościnność przychylna
Bo tak samo w sercu nam mieszka
Ziem tych stolica – WILNO

* ajery – liście tataraku, którymi w czasie uroczystości przystrajano domy, kościoły, drogi...

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**75** zł	**139** zł	**245** zł
wSIECI HISTORII	–	**29** zł (3 wydania)	**54** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**158** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl f6b46398b0

OD A DO ZYBERTOWICZA

Turbo przeciw turbo

„Jeśli oni są tacy beznadziejni, to dlaczego tak dają nam w kość?” – powiedział red. Jacek Żakowski czy nie? Nie tak dawno na Twitterze tak brzmiące słowa redaktora przytoczył prof. Stanisław Żerko. Nader interesującą odpowiedź na to pytanie zawiera „Turbopatriotyzm” – książka dr. hab. Marcina Napiórkowskiego z Instytutu Kultury Polskiej UW. Ukazała się w ciągle nam bieżącym roku 2019.

ZAJAWKA

Tylna okładka książki informuje o jej zawartości. Pierwsze zdanie nie musi budzić wątpliwości: „Kto chce lepiej zrozumieć współczesną Polskę, powinien uważniej przyjrzeć się jej modelom patriotyzmu”. Nie musi, choć wątpliwości budzić może mówienie o patriotyzmach w liczbie mnogiej. Bo przecież sporo osób jest przekonanych, że tak naprawdę istnieje tylko jeden słuszny model – nasz patriotyzm. Ten drugi to przecież albo nacjonalistyczne szaleństwo, albo kosmopolityczna mistyfikacja.

Znacznie gorzej już jest ze zdaniem drugim zajawki: „Naszą sferę publiczną organizuje nie zderzenie dwóch partii, lecz znacznie od niego głębszy podział na Polskę Uśmiechniętą, której symbolem stał się czekoladowy orzeł Bronisława Komorowskiego, i Polskę Ufortyfikowaną – kroczącą w Marszu Niepodległości i opisywaną barwnie w przemówieniach polityków prawicy. To softpatriotyzm i turbopatriotyzm”.

To zdanie razi mnie swoją nieadekwatnością, ba, pewną ahistorycznością. Napisane w roku 2019, kilka lat po ogłoszeniu hasła opozycji totalnej, po pełnych agresywnej retoryki (i zachowań!) marszach KOD oraz „artystycznych” sukcesach portalu SokzBuraka, któremu na Twitterze jawnie kibicują znani politycy Platformy, zdawało się zapowiadać rażącą jednostronność autora książki.



To książka nie tylko naukowa, lecz i ważna społecznie. To książka, na której bazie możemy z sobą rozmawiać

NA SZCZĘŚCIE

Szczęśliwie już kolejne zdanie zajawki oraz, co najważniejsze, analiza prowadzona w całej książce tę obawę uchylają. Zajawka mówi bowiem dalej o soft- i turbopatriotyzmie: „Z jednej strony otwartość, optymistyczny pochód ku przyszłości, ale też zadowolenie, które łatwo zmienia się w samozachwyt i pełne pogardy ignorowanie tych, którzy w wyobrażonym »marszu na Zachód« pozostali z tyłu. Z drugiej – lęk przed obcością i utratą tożsamości, fascynacja przeszłością, ale też godna uwagi umiejętność przywracania dumy i godności”.

Najważniejsze jest to, że ten fragment dobrze oddaje zawartość całej książki. Analiza jest dobrze wyważona.

DOBRA ROBOTA

„Turbopatriotyzm” Napiórkowskiego to poważne przedsięwzięcie badawcze, którego autor chwilami się wznosi na wyżyny badawczej bezstronności. Powiem szczerze, że gdybym sam postawił przed sobą zadanie maksymalnie zobiektywizowanego opisu świata softpatriotyzmu – który, jak zasugerowałem przed chwilą, ani nie jest taki soft, a można by mieć wątpliwości, czy tam, gdzie jest soft, zawsze występuje też patriotyzm – to pewnie nie przekroczyłbym poprzeczki Napiórkowskiego.

Powodów do wysokiej oceny jest więcej. Nie tylko książka ta, wbrew moim obawom z samych początków lektury, spełnia bowiem dobre standardy naukowości (obszerność bazy empirycznej, opanowanie literatury przedmiotu, w tym rozlicznych teorii, dystans analityczny), to w dodatku jest dobrze napisana. W odróżnieniu od wielu akademickich gniotów, w których ważne treści często są całkowicie zasnute przez scjentyfikalny żargon oraz niedbałość konstrukcyjną i stylistyczną wywodu, Napiórkowski zastosował przyjazny dla czytelnika styl narracji.

WAŻKA SPOŁECZNIE

Dlatego też można powiedzieć, że jest to książka nie tylko naukowa, lecz i ważna społecznie. W analizach autora „Turbopatriotyzmu”, jak w dobrze oszlifowanym lustrze, mogą się przejrzeć bowiem uczestnicy bodaj czy nie wszystkich stron naszej publicznej quasi-debaty.

To książka, na której bazie możemy z sobą rozmawiać. Zacząłbym od kwestii u Napiórkowskiego tylko muśniętej. Mianowicie: czy turbopatriotyzm, przy wszystkich swoich celnie przez autora wypunktowanych słabościach, nie jest w sumie nie najgorszą reakcją na przegięcia żarłocznego turbokapitalizmu?

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja | 31/0919/F

eprasa.pl f6b46398b0

ŚPIEWNIK KOLĘD

W TYGODNIKU SIECI

W SPRZEDAŻY OD 9 GRUDNIA



- Najpiękniejsze kolędy i pastorałki z nutami
- 2 płyty z kolędami:
  - w wykonaniu Jasnogórskiego Chóru
  - z wersją instrumentalną do wspólnego śpiewania podczas świąt

Kup tygodnik z kolędami w cenie 10,90 zł

w wybranych punktach sprzedaży m.in.:

• Empik • Relay • InMedio • 1-Minute • Tabak • Media Star • Poczta Polska

Salony prasowe: • Kolporter • Ruch • Garmond Press

Stacje benzynowe ORLEN i LOTOS

Partnerzy wydania:

LOTTO

KGHM POLSKA MIEDŹ

eprasa.pl f6b46398b0

LOTTO

Lotteria ŚWIĄTECZNA

Milion szans na miliony



Do wygrania 1 000 000 zakładów Lotto!

2 x Toyota Yaris



20 x ASUS ZenBook



290 x karta prezentowa 1000 zł



200 x bon upominkowy 500 zł



Kup dowolny produkt za min. 6 zł. Wybierz grę Lotto i dodatkowo zyskaj szansę na jeden z MILIONA zakładów Lotto.

18+

Zgodnie z obowiązującym prawem w grę liczbowe i loterie pieniężne mogą grać wyłącznie osoby, które ukończyły 18. rok życia.

Pamiętaj, zachowaj kupon loterii promocyjnej!

Graj w punktach LOTTO i na lotto.pl

Regulamin loterii dostępny na **www.lotteriaswiateczna.pl**. Okres sprzedaży promocyjnej trwa od **26 listopada 2019 r.** do wyczerpania puli kodów promocyjnych przewidzianych przez organizatora, nie dłużej jednak niż do **31 grudnia 2019 r.** Organizator loterii: Totalizator Sportowy Sp. z o.o., ul. Targowa 25, 03-728 Warszawa.

eprasa.pl f6b46398b0